

Virginia Woolf
Do Latarni Morskiej

(To the lighthouse)

Tłumaczył Krzysztof Klinger

OKNO

Tak, oczywiście, o ile jutro będzie ładnie – powiedziała pani Ramsay. – Ale będziesz musiał wstać raniutko – dodała.

Te słowa sprawiły jej synowi taką radość, jak by wyprawa była nieodwołalnie postanowiona i cudowne przeżycie, którego z dawna wyglądał, było tuż, tuż – jak by minęła ciemność nocy i płynęli łodzią do Latarni.

James Ramsay mając lat sześć należał już do wielkiego klanu ludzi, którzy nie potrafią reagować na życie całą gamą różnych uczuć; barwa ich nastroju w danej chwili jest całkowicie zależna od tego, czy od przyszłości spodziewają się radości, czy smutku. U takich ludzi, nawet we wczesnym dzieciństwie, każde drgnienie w skali doznań potrafi krystalizować i przekształcać bieżącą chwilę zależnie od tego, czy pada na nią mrok, czy jasność. Siedząc teraz na podłodze i wycinając lodówkę z ilustrowanego katalogu domu towarowego „Army and Navy” przeżywał wielką błogość pod wpływem słów matki; nasycał obrazek swą radością. Taczki, kosiarka, szum topoli, liście blednące przed deszczem, krakanie wron, szuranie szczotek, szelest odzieży – wszystko to obdarzone tajemnym językiem miało swoją barwę i odrębność, układało się w jemu tylko zrozumiałe wzory. Było tak, chociaż chłopiec wydawał się wcieleniem sztywnej i bezkompromisowej surowości przy swym

wysokim czole i przenikliwych niebieskich oczach, nieskazitelnie szczerych i czystych, lecz zawsze z lekka krytycznych na widok ludzkiej lekkomyślności. Matka obserwując, jak wycina starannie nożyczkami kontur lodówki, widziała go w wyobraźni przystrojonego w czerwień i gronostaje na ławie adwokackiej lub kierującego doniosłymi sprawami państwowymi w dobie kryzysu.

– Ale pogody nie będzie – powiedział ojciec zatrzymując się przed oknem salonu.

Gdyby James miał w tej chwili pod ręką siekiere, pogrzebacz czy jakąś inną broń, którą mógłby zatopić w piersi ojca i uśmiercić go na miejscu, toby ją natychmiast chwycił. Pan Ramsay wzbudzał w sercach dzieci krańcowe uczucie samą swoją obecnością – wystarczyło, żeby przystanął, cienki i wąski, jak ostrze noża, i sarkastycznie się uśmiechnął. Nie tylko z zadowoleniem odbierał iluzje synowi i ośmieszał żonę, tysiąc razy lepszą od niego pod każdym względem (według mniemania Jamesa), lecz także pysznił się wewnątrz z precyzji swych sądów. Bo to, co powiedział, było słuszne. Zawsze bywało słuszne. Nie umiał mówić nieprawdy; nigdy nie usiłował igrać z faktami; nigdy nie łagodził przykrego słowa, by sprawić przyjemność lub oddać przysługę jakiejś ludzkiej istocie, a już najmniej własnym dzieciom; poczęte z jego lędźwi, winny być od dzieciństwa świadome tego, że życie jest trudne, że fakty nie podlegają kompromisom, a droga do baśniowej krainy, w

której gasną najwspanialsze nadzieje i nasze wątłe barki toną w ciemnościach (tu pan Ramsay zwykle wyprostowywał plecy i zmrużywszy małe niebieskie oczy spoglądał na horyzont), wymaga przede wszystkim odwagi, prawdy i wytrwałości.

– Może jednak będzie ładnie, spodziewam się raczej pogody – powiedziała pani Ramsay, niecierpliwie poruszywszy czerwono – brązową pończochą, którą robiła na drutach. Jeśli ją skończy dziś wieczór i jeśli wreszcie wybiorą się do tej Latarni, to pończochę dostanie latarnik dla swojego chłopczyka, zagrożonego gruźlicą biodra: no a wraz z nią stos starych tygodników, trochę tytoniu i w ogóle wszystko, co się przewala pod ręką, a nie jest już potrzebne i zaśmieca tylko pokój; trzeba dać jakąś rozrywkę tym biedakom zanudzonym na śmierć całodziennym siedzeniem bez żadnej roboty prócz czyszczenia lampy, przycinania knota i grzebania w skrawku ogródka. „Jak wam by się podobało żyć na takim odludziu przez miesiąc cały lub dłużej nawet, zwłaszcza przy burzliwej pogodzie, na skale o rozmiarach tenisowego kortu? – pytała nieraz. – I nie otrzymywać listów ani gazet, nikogo nie widywać, nie widzieć się z żoną, nie wiedzieć, co się dzieje z dziećmi, czy nie są chore, czy nie zrobiły sobie czegoś złego, nie połamaly rąk lub nóg; tydzień za tygodniem patrzeć wciąż, jak tłuką się posępne fale, jak nadchodzi straszny sztorm i okna pokrywają się wodnymi rozbryzgami; wiatr rzuca ptaki o szkło Latarni, a cała wysepka kołysze się i nie można nosa

wytknąć na dwór z obawy, by nie zmiotło człowieka do morza. Jak wam by się to podobało?” – pytała zwracając się zwłaszcza do córek i dodawała już odmiennym tonem, że rodzinie latarnika trzeba pomagać, czym tylko można.

– Dmie z zachodu – powiedział Tansley, „ten ateista”, wystawiając na wiatr swoje rozstawione, kościste palce. (Towarzyszył on panu Ramsayowi w jego wieczornej przechadzce po tarasie.) Oznaczało to, że wiatr był najbardziej nie sprzyjający dla wyprawy do Latarni. Rzeczywiście, Tansley zawsze mówił nieprzyjemne rzeczy, przyznawała pani Ramsay; nieznośne było, że tak to podkreślał i jeszcze bardziej rozczarowywał Jamesa. Ale mimo to nie pozwalała dzieciom, by się z niego wyśmiewały. „Ateista”, przezywały go, „nasz ateista”. Rose kpiała z niego, Andrew, Jasper i Roger kpili z niego, a nawet stary bezzębny Badger ugryzł go kiedyś za to, że był (jak to wyraziła Nancy) jeszcze jednym młodzieńcem narzucającym stale swe towarzystwo, gdy o wiele przyjemniej byłoby im pozostać samym.

– Cóż to za głupstwa – powiedziała surowo pani Ramsay. Choć posiadała skłonność do przesady, którą miały po niej dzieci, i choć niewątpliwie zapraszała za dużo ludzi, tak iż niektórych musiała lokować w mieście, nie znosiła braku kurtuazji wobec gości; raziło ją to zwłaszcza w stosunku do biednych jak myszy kościelne, a „wyjątkowo zdolnych”, według jej męża, młodych ludzi, jego gorących wielbicieli, przybywających tu na wakacje. Właściwie protegowała całą odmienną płeć z przyczyn dla

siebie niejasnych; może za ich rycerskość, męstwo, może za to, że zawierali traktaty, rządili Indiami i kierowali finansami państwa; może wreszcie za ich stosunek do niej (to każda kobieta zauważa z przyjemnością), za to coś ufego, dziecięcego i pełnego szacunku, co stara kobieta mogła przyjąć od młodych ludzi bez narażenia swej godności; biada tej dziewczynie – aby żadna z jej córek nie była taka! – która nie czułaby do głębi, jak wiele jest wart taki szacunek i co oznacza.

Surowym głosem powiedziała Nancy, że się im nie narzucał. Sami go przecież zaprosili.

Trzeba z tego znaleźć jakieś wyjście. Może przecież istnieć jakiś prostszy, mniej uciążliwy sposób – wzdychała. Gdy spojrzawszy do lustra zobaczyła siwe włosy i zapadnięte policzki pięćdziesięcioletniej kobiety, pomyślała, że jednak można było lepiej pokierować mężem, pieniędzmi i jego książkami. Gdy o nią szło, to nigdy, ani na chwilę nie żałowała swoich decyzji, nie uciekała przed trudnościami, ani nie ociagała się w spełnianiu obowiązków. Groźnie teraz wyglądała, ale jej córki – Prue, Nancy i Rose, zerkając znad talerzy po surowym odezwaniu się matki o Tansleyu, umiały zabawiać się z dawna pielęgnowanymi niezbożnymi projektami życia, w przyszłości odrębnego od życia matki; miało to być życie bardziej podniecające, powiedzmy w Paryżu, bez zajmowania się stale jakimś mężczyzną; wszystkie one kwestionowały po cichu takie wartości, jak szacunek, rycerskość, Bank Anglii,

Imperium Indyjskie, upierścienione ręce i koronki, chociaż uznawały, że było w tym wszystkim coś pięknego, co przemawiało swoją męskością do ich dziewczęcych serc i kazało im, zgromadzonym przy stole pod okiem matki, uznawać jej dziwną surowość, jej doskonałą grzeczność. Chociaż strofowała je ostro za tego nieszczęsnego „ateistę”, narzucającego się im... a raczej zaproszonego na dłuższy pobyt na wyspę Skye, przypominała im królową, która myje nogi żebrakowi.

– Jutro nie da się dobić do Latarni – powiedział Charles Tansley, stojąc przy oknie z jej mężem, i zatarł przy tym ręce. O, miała już tego dosyć! Chciała, żeby ją i Jamesa zostawili w spokoju. Spojrzała na Tansleya. Był rzeczywiście mizernej postaci, same garby i doły, jak go dzieci określały. W kriketa grać nie mógł, bo potykał się i powłóczył nogami. „To sarkastyczny gbur”, mówił o nim Andrew. Wiedzieli, że najbardziej lubił spacerować bezustannie z panem Ramsayem i gadać o tym, kto zdobył to, a kto owo, kto jest najwyższą klasą w pisaniu wierszy łacińskich, kto jest błyskotliwy, ale w gruncie rzeczy niezbyt solidny, kto bez wątpienia jest „najzdolniejszym człowiekiem Balliol College”, kto chwilowo siedział w Bristolu lub Bedfordzie i przygasał nieco, ale się jeszcze o nim będzie słyszało, gdy jego „Prolegomena” (z dziedziny matematyki czy filozofii), których parę pierwszych kart w odbitce korektorskiej Tansley ma przy sobie i może pokazać panu Ramsayowi, ujrzą światło dzienne. Takie były tematy ich rozmów.

Pani Ramsay czasami sama nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Któregoś dnia zauważyła, że fale są wysokie jak góry, na co Charles Tansley odpowiedział: – Tak, jest trochę burzliwie. – Pewnie pan jest przemoknięty do nitki? – zapytała. – Zmoczony, ale nie całkowicie przemoknięty – odrzekł, macając rękawy i skarpetki.

Dzieci mówiły, że nie to mu biorą za złe. Nie jego twarz i nie jego maniery; drażnił je on sam, jego stosunek do wszystkiego. Kiedy się mówiło o czymś ciekawym, o ludziach, muzyce, historii, wszystko jedno o czym, nawet gdy się stwierdzało, że wieczór jest taki piękny, więc dlaczego nie posiedzieć trochę na dworze, to Charles Tansley dopiero wtedy się zadowolił, gdy poddał w wątpliwość wszystko, co było powiedziane, i przekręcił na swój kwaśny sposób; w jego ustach pomysł odarty z uroku tracił sens i stawał się ośmieszający. Dzieci opowiadały także, że gdy pewnego razu znalazł się w galerii obrazów, chciał wiedzieć, co sądzą o jego krawacie. Czyż jego krawaty – Rose spytała się matki – mogą się komukolwiek podobać?

Gdy tylko posiłek się kończył, ośmioro dzieci państwa Ramsayów wymykało się ukradkiem od stołu do swoich pokojów, jedynych twierdz w tym domu, w których można było pomyśleć w samotności o różnych ważnych i mniej ważnych rzeczach: o krawacie Tansleya, uchwaleniu nowej ustawy parlamentarnej, ptakach morskich i motylach czy o ludziach. A potoki światła zalewały tymczasem ich mansardy, oddzielone od siebie

tylko cienkim przepierzeniem; wyraźnie było słycać kaźde stąpnienie i szlochy słuźącej Szwajcarki, której ojciec umierał na raka w dolinie Grisons; słońce wędrowało po kijach do kriketa, flanelowych spodniach, słomkowych kapeluszach, kałamarzach, garnuszkach z farbami do malowania, źukach i czaszkach małych ptaszków, a od długich strzępiastych pasm wodorostów przyszpilonych do ścian czuć było solą i morszczyinem, czym takźe pachniały i ręczniki, szorstkie od piasku z kąpieli.

Pani Ramsay ubolewała, że w źycie jej dzieci tak wcześnie wciskają się różnice zdań, spory i uprzedzenia. Tak krytycznie nastawione były do świata! I takie głupstwa potrafiły mówić! Wyszła ze stołowego pokoju trzymając za rękę Jamesa, który z nikiem innym nie chciał pójść. Jakimź nonsensem wydawało się jej – Boże drogi – wymyślanie różnic, gdy ludzie juź i bez tego dostatecznie się różnili. Wystarczy tych prawdziwych różnic, myślała stojąc przy oknie salonu, zupełnie wystarczy. Miała na myśli biednych i bogatych, moźnych i nisko urodzonych, przy czym tych wysoko postawionych obdarzała, aczkolwiek z lekkim oporem, pewnym szacunkiem, bo czyź sama nie miała w żyłach krwi bardzo szlachetnego, choć nieco mitycznego, włoskiego rodu, którego córy rozsiane po dziewiętnastowiecznych salonach Anglii tak uroczo seplenily – i taki ognisty przejawiały temperament? To po nich odziedziczyła dowcip, sposób bycia i usposobienie, nie po ospałych Anglikach czy

zimnych Szkotach. I znów wróciła do problemu biednych i bogatych, do spraw, które widywała na własne oczy co tydzień, co dzień, tu lub w Londynie, gdy odwiedzała jakąś wdowę czy borykającą się z życiem matkę rodziny; wędrowała z torebką przewieszoną przez ramię i z notesem, w którym starannie zapisywała ołówkiem kolumny cyfr, dotyczących zarobków i wydatków, zatrudnienia i bezrobocia, w nadziei, że dzięki temu przestanie być prywatną osobą, której filantropia spełnia częściowo rolę środka łagodzącego jej własne oburzenie, a częściowo zaspokaja jej osobistą ciekawość, lecz przyczyni się w jakimś stopniu do *badania* naukowych nad problemami społecznymi; miała zupełnie skromne wykształcenie, więc myśl ta bardzo jej imponowała.

To były sprawy nie do rozwiązania, myślałaś w tej chwili, trzymając Jamesa za rękę. A ten młodzian, z którego się tak wyśmiewano, przyszedł za nią do bawialni i stał teraz przy stole, niezręcznie kręcąc coś w rękach i czując się obco, co widziała, nawet nie patrząc na niego. Odeszli już wszyscy: dzieci, Minta Doyle z Paulem Rayleyem, Augustus Carmichael i jej mąż. Odwróciwszy się więc, powiedziała z westchnieniem: – Czy bardzo się pan wynudzi, jeśli pan pójdzie ze mną, panie Tansley? – Ma jakiś drobiazg do załatwienia w mieście. Napisze tylko parę listów, co zajmie jakieś dziesięć minut, włoży kapelusz i pójdą. I rzeczywiście, po dziesięciu minutach pojawiła się z parasolką i koszykiem gotowa do wyjścia. Mijając kort tenisowy, zatrzymała się jeszcze przy panu

Carmichaelu, wylegającym się na słońcu, by zapytać, czy mu czego nie potrzeba; jego żółte kocie oczy były otwarte i zdawały się odbijać kołysanie gałęzi i wędrówkę chmur, ale nie można z nich było wyczytać ani jego ukrytych myśli, ani uczuć.

Zatrzymawszy się przy nim powiedziała ze śmiechem, że planują wielką wyprawę: idą do miasta. Więc może mu czegoś potrzeba, znaczków, papieru listowego czy tytoniu. Nie, nic nie potrzebował. Ujął w ręce woreczek na tytoń i błysnął oczami, jak by chciał się zrewanżować czymś grzecznym za jej przymilne zachowanie (była uwodzicielska, acz trochę nerwowa), lecz nie mógł się na to zdobyć, pogrążony w szarozielonej senności, tak zresztą jak wszyscy w tym domu; nie odczuwał potrzeby słów, objęty jakąś ogromną, bezwładną życzliwością dla wszystkich tu i na całym świecie, ponieważ do szklanki przy posiłku południowym wpuścił kilka kropel czegoś, czym się tłumaczyła, jak sądziły dzieci, kanarkowożółta smuga na jego mlecznobiałych wąsach i brodzie. Mruknął, że nic mu nie potrzeba.

– Byłby z niego wielki filozof – powiedziała pani Ramsay, gdy szli drogą w stronę rybackiej wioski – gdyby nie jego nieszczęsne małżeństwo. – Trzymając nad sobą bardzo prosto czarną parasolkę i posuwając się z takim wyrazem oczekiwania na twarzy, jak by za każdym rogiem spodziewała się spotkania z kimś, opowiedziała Tansleyowi całą historię o tym, jak Carmichael miał miłość z jakąś dziewczyną w Oxfordzie, za czym

przyszło wczesne małżeństwo, bieda, wyjazd do Indii, tłumaczenie jakiegoś poemaciku, zdaje się, że bardzo piękne, próby uczenia młodzieży języka perskiego czy hinduskiego (ale do czego to wiodło?), no i takie właśnie leżenie na trawniku, jakie dopiero co widzieli. Tansleyowi to pochlebiało; kojąco podziałał na niego fakt, że mu pani Ramsay opowiedziała tę całą historię, gdy przedtem tak go lekceważono. Po prostu odżył. Poczł się Zadowolony z siebie jak nigdy, bo pani Ramsay dawała do zrozumienia, że wielkość intelektu męskiego nawet w okresie upadku zniewala wszystkie kobiety, a ona wcale nie wini tej dziewczyny i sądzi, że małżeństwo było jednak zupełnie szczęśliwe. Tansley był tak rozanielony jak nigdy i zastanawiał się, czyby nie zafundować teraz pani Ramsay na przykład przejażdżki powozem. A co do jej torby, To czy nie mógłby jej ponieść? Ale odpowiedziała, że nie, że torbę zawsze nosi sama I rzeczywiście tak było. Wyczuł to. Z wielu uczuć, które nim owładnęły, jedno szczegłł nie podnieciło go i poruszyło z niezrozumiałych dla niego powodów. Chciałby, by pani Ramsay mogła widzieć, – jak w todze uniwersyteckiej bierze udział w pochodzie. Asystentura, profesura – czuł się zdolny do wszystkiego i już się widział... ale na cóż to ona patrzy? Na człowieka przylepiającego afisz. Wielki, ruszający się na wietrze arkusz spłaszczyl się i każde pociągnięcie po nim szczotką ukazywało nowe nogi, obręcze, konie, jakąś lśniącą czerwień i błękit, aż wreszcie pół ściany zostało pokryte

afiszem cyrku: stu jeźdźców, dwadzieścia tresowanych fok, lwy, tygrysy... Pochylając się do przodu, bo była krótkowzroczna, wyczytała, że ... „odwiedzi nasze miasto”. Nagle wykrzyknęła, że człowiek z jedną ręką nie powinien stać tak na szczycie drabiny, i bo to bardzo niebezpieczne. Lewe ramię urwała mu żniwiarka dwa lata temu.

– No, to chodźmy do tego cyrku! – zawołała ruszając naprzód, jak by ci wszyscy jeźdźcy i konie napełnili ją dziecięcą radością i kazali zapomnieć o przed chwilą odczuwanej litości.

– Chodźmy – powtórzył jej słowa, wymawiając je tak zmienionym głosem, że aż się skrzywiła z zakłopotaniem. Chodźmy do cyrku. Nie. Nie mógł tego pochwalić i nie mógł tego uznać za słuszne. Dlaczego nie? – zdziwiła się. Co mu w tym nie odpowiada? W tej chwili lubiła go szczerze. Czyż go w dzieciństwie nie brano z rodzeństwem do cyrku? – Nigdy – odparł tak, jak by zapytała dokładnie o to, na co chciał odpowiedzieć. Palił się, by jej opowiedzieć, dlaczego go nie brano do cyrku. Stanowili dużą rodzinę, dziewięcioro braci i sióstr, a ojciec był człowiekiem pracy. – Mój ojciec jest aptekarzem, proszę pani. – Charles Tansley utrzymywał się sam od trzynastego roku życia. Niejedną zimą przechodził bez palta. Nigdy nie mógł rewanżować się (wycedził sztywno te słowa) w college’u. Musiał oszczędzać swoje rzeczy, by trwały dwa razy dłużej niż u innych, a palił najtańszy tytoń, machorkę, jaką żują starcy

w portach. Ciężko pracował – przez siedem godzin dziennie. Obecnie tematem jego pracy jest wpływ czegoś tam na kogoś – szli znów naprzód i pani Ramsay nie rozumiała, co mówił, wpadały jej tylko w ucho od czasu do czasu oderwane słowa:.. dysertacja.. asystentura... lektorat... docentura. Nie była w stanie śledzić za tym brzydkim akademickim żargonem, który mu tak wartko płynął z ust, ale pomyślała sobie, że już rozumie, dlaczego sprawa pójścia do cyrku wyprowadziła go, biedaka, z równowagi, i kazała mu puścić wodze opowieści o ojcu, matce, braciach i siostrach. Postanowiła dopilnować, by się więcej z niego nie wyśmiewali; zapowie to Prue.

Domyślała się, że chętnie by potem opowiadał, jak to był z Ramsayami na Ibsenie. Tak, straszny z niego zarozumialec i nieznośna piła. Na przykład teraz, choć już doszli do miasta i znaleźli się na głównej ulicy, pełnej turkotu wozów jadących po kocich łbach, on ciągle jeszcze gadał o osiedlach, nauczaniu i robotnikach, o tym, że trzeba pomagać własnej klasie społecznej, i o wykładach, aż w końcu pani Ramsay pomyślała, że najwidoczniej wróciło mu pełne zaufanie do siebie i że otrząsnął się z tego, co w nim cyrk poruszył. Znów miała ciepłe uczucie dla niego. A on zamierzał mówić dalej, lecz domy ustąpiły po obydwu stronach drogi i wyszli na przystań; mieli przed sobą całą zatokę, a pani Ramsay nie mogła się powstrzymać, by nie . zawołać: – Och, jak pięknie! – Leżało przed nią wielkie zwierciadło błękitnej wody z surową, odległą szarzyzną Latarni Morskiej w

środku; po prawej stronie, tak daleko, jak tylko oko mogło sięgnąć, fałdowały się i rozsypywały nisko i miękko zielonkawe, piaszczyste diuny, porośnięte dziką, fruującą na wietrze trawą. Wyglądały, jak by uciekały do jakiejś księżycowej krainy, nie zamieszkałej przez ludzi.

– Co za widok! – powiedziała przystając, a oczy jej zrobiły się intensywnie szare, co zwykle tak zachwycało jej męża.

Stała na chwilę, a potem dodała, że już zebrali się artyści. I rzeczywiście, o parę kroków od nich stał jakiś malarz, w panamie i żółtych bucikach, poważny, cichy i tak pochłonięty swą pracą, że choć go obserwoowało z dziesięciu małych chłopaków, on z wyrazem wielkiego zadowolenia na okrągłej, czerwonej twarzy wpatrywał się w coś i maczał czubek pędzla w miękkiej, zielonej czy różowej farbie. Od trzech lat, to znaczy od czasu, kiedy tu był pan Paunceforte, opowiadała, malowano tylko takie obrazy: zielone i szare, z cytrynowymi żaglówkami i różowymi kobietami na plaży. Przyjaciele jej babki, ciągnęła, gdy przechodząc dyskretnie zerknęła na obraz, zadawali sobie więcej trudu; najpierw sami mieszały farby, potem gruntowali obraz i owijali mokrym płótnem, by utrzymać wilgoć.

Pan Tansley wyraził przypuszczenie, że pani Ramsay chciała zwrócić jego uwagę na to, iż obraz tego jegomościa jest ubożuchny, zdaje się, że tak się to mówi? Ż. e te kolory są nędzne, nieprawdaż? Pod wpływem

niezwykłych uczuć, które w nim powstawały przez cały spacer, a zbudziły się w ogrodzie w chwili, gdy się zaofiarował nieść jej torbę, i rosły w mieście, gdy chciał opowiedzieć wszystko o sobie, zaczął patrzeć na siebie samego i na wszystko, czego w ogóle dotąd doznał, jak na coś trochę zafałszowanego. Ogromnie to było dziwne uczucie.

Stał teraz w bawialni nędznego domku, do którego przyprowadziła go pani Ramsay, i czekał na nią; poszła na górę odwiedzić pewną kobietę. Słyszał jej szybkie kroki na piętrze, pogodny, a potem zasmucony głos i przypatrywał się makatkom, puszkom na herbatę, szklanym kloszom, niecierpliwie jej oczekując; niecierpliwie wyczekiwał chwili powrotu, zdecydowany nieść jej torbę. Usłyszał wreszcie, jak wychodzi, zamyka drzwi i mówi, że powinni trzymać okna otwarte, a drzwi zamknięte i zwracać się do niej po wszystko, czego potrzebują (widocznie mówiła do dziecka), i oto już jest koło Tansleya, staje na chwilę w milczeniu i zupełnie bez ruchu (jak by tylko udawała tam coś na górze, a teraz znów była sobą) przed portretem królowej Wiktorii w błękitnej wstędze orderu Podwiązki; a on nagle zrozumiał źródło swego stosunku do niej. Tak, tak – nigdy nie widział nikogo tak pięknego jak ona.

Z gwiazdami w oczach i welonem na włosach, z cyklamenami i dzikimi fiołkami... Cóż za głupstwa chodzą mu po głowie? Pani Ramsay ma co najmniej pięćdziesiąt lat i ośmioro dzieci. Kroczy przez łąny

kwiatów i przyciska do piersi ułamane pączki i jagnięta, co padły na drodze; z gwiazdami w oczach i wiatrem we włosach... Wziął jej torbę.

– Do widzenia, Elsie – powiedziała i poszli ulicą, ona z parasolką rozpiętą nad sobą z taką miną, jak by za każdym zakretem drogi spodziewała się kogoś spotkać, a Charles Tansley po raz pierwszy w życiu pełen niezwyklej dumy. Mężczyzna kopiący rów kanalizacyjny przerwał pracę, opuszczając w dół ramię, by spojrzeć na nią, a Charles Tansley był coraz bardziej dumny wśród wiatru, cyklamenów i fiołków, bo szedł pierwszy raz w życiu z piękną kobietą. Niósł jej torbę.

2

– Do Latarni nie popłyniemy, James – powiedział stojąc przy oknie z zakłopotanym wyrazem twarzy. Usiłował jednak ze względu na panią Ramsay złagodzić wrażenie nadając swemu głosowi dobroduszny ton.

Ależ to nieznośny człowiek, pomyślała pani Ramsay, po cóż to tak wałkować?

3

– A może, gdy się zbudzisz, zobaczysz, że słońce świeci i ptaszki śpiewają – powiedziała ze współczuciem gładząc włosy synka, któremu oschła uwaga ojca, że pogody nie będzie, zupełnie zgasła humor. Wyprawa do Latarni była jego namiętym marzeniem, a tu, jak by ojciec nie dość powiedział na ten temat, jeszcze ten wstrętny człowiek przychodzi i znów wszystko rozjątrza.

– Może jednak będzie pogoda – powiedziała pieszcząc włosy dziecka.

Nic więcej nie mogła zrobić, by go pocieszyć; pozostawało tylko podziwiać lodówkę i przerzucać kartki katalogu domu towarowego „Army and Navy” w nadziei, że trafi na jakieś grabie lub kosiarkę pełną zębów i uchwytów, wymagających wielkiej zręczności i ostrożności przy wycinaniu. Młodzi ludzie po prostu parodiują jej męża, rozmyślała. Gdy on powie, że będzie deszcz, oni z tego robią zdecydowaną burzę.

Kiedy odwracała stronicę szukając rysunku grabi lub kosiarki, przeszkodziło jej w tym głucho mruczenie, przerywane od czasu do czasu odgłosem fajek wyjmowanych i wkładanych do ust, co upewniło ją, że mężczyźni znów sobie pogodnie gawędzą (choć nie słyszała tego, co mówią, bo siedziała przy oknie); ale mruczenie to, które trwało już od pół godziny i łagodnie łączyło się z dźwiękiem piłek uderzanych kijami i z

ostrymi krzykami dzieci – No, to masz! No, to masz! – grających w kriketa, niepostrzeżenie ustało: doszedł ją monotonny szum fal bijących o brzeg; wybijały one miarowy i kołyszący jej myśli rytm, śpiewany przez przyrodę, coś jak powtarzający się bez końca wiersz starej kołysanki, znanej jej z czasów siedzenia przy dzieciach: „Czuwam nad tobą i chronię cię”. Lecz czasami, zupełnie nagle i niespodziewanie, zwłaszcza wtedy, kiedy myśl odrywała się od tego, czym zajmowały się w tej chwili jej ręce, głos fal nie był taki dobrotliwy, lecz jak widmowy werbel bębnowy, bezlitośnie odmierzających życie, zmuszał do myślenia o tym, że wyspa, wchłonięta przez morze, ulegnie kiedyś zniszczeniu, i ostrzegał ją, której dni toczyły się szybko jedno za drugim, wypełnione różnymi zajęciami, że wszystko jest tak złudne jak tęcza. Ten dźwięk, ukryty i zagłuszony przez inne, uderzył teraz w jej uszy i sprawił, że uniosła oczy w przerażeniu. Mężczyźni po prostu przestali rozmawiać – tym się to tłumaczyło[^] Przechodząc od wielkiego napięcia, które nią owładnęło przed chwilą, do zupełnie przeciwnego nastroju, chłodnego, rozbawionego i nawet trochę złośliwego, który był jak by przeciwwagą jej niepotrzebnych wzruszeń – zauważyła, że biedny Charles Tansley został porzucony. Mało się tym przejęła. Jeśli mąż jej wymagał ofiar (a wymagał), to mu chętnie poświęci Tansleya za to, że tak pogardliwie potraktował jej synka.

Po chwili, z podniesioną głową czekała, nasłuchując, na

zwykły, regularnie powtarzający się odgłos; usłyszawszy z tarasu, gdzie tam i z powrotem spacerował jej mąż, rytmiczny dźwięk, coś na wpół mówionego, na wpół nuconego, coś niby rechot, niby śpiew, uspokoiła się znów, że wszystko w porządku, – zajrzawszy do książki na kolanach znalazła w niej obrazek przedstawiający scyzoryk o sześciu ostrzach, przy wycinaniu którego James będzie musiał bardzo uważać. Naraz zabrzmiał mocno w jej uszach nagły krzyk, jak by na wpół zbudzonego lunatyka, coś w rodzaju:

„Pod gradem kul i szrapneli... „

Odwróciła się niespokojnie i popatrzyła, czy jeszcze ktoś tego nie usłyszał. Na szczęście, w pobliżu była tylko Lily Briscoe, a to nie miało znaczenia. Widok tej dziewczyny, stojącej na brzegu trawnika i malującej, przypomniawszy jej, że powinna wciąż trzymać głowę możliwie w tej samej pozycji. To malowanie Lily! Pani Ramsay się uśmiechnęła. Z takimi małymi, chińskimi oczami i pofałdowaną twarzą Lily nigdy nie wyjdzie za mąż; jej malowania nie można brać naprawdę poważnie, ale to jest niezależne stworzenie, i za to ją pani Ramsay lubiła, więc przypomniawszy sobie daną obietnicę, pochyliła we właściwy sposób głowę.

Niewiele brakowało, a byłby przewrócił jej sztalugi – szedł wprost na nią, machając rękami i wykrzykując: „Śmiałośmy w siodłach siedzieli”, ale na szczęście skręcił ostro i odjechał, by umrzeć z chwałą, zapewne wśród wzgórz Bałakławy. Nikt tak nie śmiesz i jednocześnie tak nie zatrważa jak on, ale dopóki jest krzykliwy i gestykuluje z ożywieniem, nic jej nie grozi, bo na pewno nie przestanie i nie będzie się przyglądał jej obrazowi. Tego by Lily Briscoe nie zniosła. Nawet teraz, gdy patrzyła na kompozycję, rysunek i kolor, i panią Ramsay siedzącą przy oknie z Jamesem, jednocześnie obserwowała czujnie swoje otoczenie, aby się ktoś nie zbliżył niepostrzeżenie i nie zerknął na jej obraz. Mając wzrok pobudzony tak intensywną obserwacją, że aż barwy ścian i zasłon w oddali płonęły w jej oczach, uświadomiła sobie, że ktoś wychodzi z domu i idzie w jej stronę; po krokach odgadła, że to William Bankes, a nie pan Tansley, Paul Rayley, Minta Doyle czy kto inny, więc tylko pędzel jej drgnął, ale sama była zupełnie spokojna. Nie potrzebowała zdejmować obrazu na trawę, mógł zostać bezpiecznie na sztalugach. Koło niej stał William Bankes.

Oboje mieszkali w tym samym domku w wiosce, więc wychodząc czy wchodząc, czasami późnym wieczorem, dzielili się na słomiance przy drzwiach drobnymi uwagami na temat zupy, dzieci, tego lub owego: uczyniło to z nich sprzymierzeńców. Gdy przystanął przy niej teraz ze swoją rozsądną miną (był to botanik, starszy wdowiec,

pachnący mydłem, czyściutki i skrupulatny, i mógłby z powodzeniem być jej ojcem), to ona stała dalej spokojnie. przyglądał się jej buciikom i doszedł do wniosku, że są doskonałe, bo dają palcom u nóg pełną swobodę. Mieszkając w jednym domu z nią zauważył, jaka jest porządna; wstawiała wcześniej i jeszcze przed śniadaniem szła samotnie malować. Była chyba biedna i brak jej było wdzięku i pięknej cery, którą się odznacza panna Doyle; ale w jego oczach zdrowy rozsądek Lily dawał jej przewagę nad tamtą dziewczyną. Na przykład w tej chwili, kiedy pan Ramsay zbliżał się do nich, wołając coś i gestykulując, był pewien, że panna Briscoe rozumiała sytuację.

„Ktoś pobłądził...”

Pan Ramsay wpatrywał się w nich, ale zdawał się ich wcale nie widzieć! Obydwoje poczuli się jakoś nieswojo, patrzyli na coś, co nie było przeznaczone dla ich oczu. Przekroczyli granice spraw intymnych. I pewnie dlatego, szukając pretekstu do oddalenia się, by nie słyszeć pana Ramsaya, jak przypuszczała Lily, pan Bankes zaproponował jej przechadzkę, mówiąc, że się przyjemnie ochłodziło. Mogła z nim pójść, czemu nie. Ale z trudem oderwała oczy od swego obrazu.

Zasłona była jaskrawofioletowa, a ściana oślepiająco biała. Nie miała zamiaru zmieniać jaskrawego fioletu i oślepiającej bieli, bo tak właśnie to widziała, jakkolwiek od czasu wizyty pana Paunceforte'a zapanowała moda używania eleganckich kolorów: bladych, na pół

przejrzystych. A oprócz koloru był przecież i kształt. W głowie układał się jej obraz jasno, bez wahań, ale gdy brała do ręki pędzel, wszystko się odmieniało. Właśnie w momencie dzielącym widzenie od przelania go na płótno opadały ją nieraz demony i doprowadzały prawie że do łez; to przejście od koncepcji do wykonania czyniły tak strasznym, jak straszne jest przejście przez ciemny pokój dla dziecka. Jakże często czuła, że walczy z ogromnymi przeciwnościami i dla podtrzymania odwagi mówiła sobie: „Ależ ja tak to właśnie widzę, tak to widzę”, przytrzymując biedne resztki malarskiej wizji, którą tysiące jakichś mocy usiłowało jej wyrwać. A gdy zaczęła malować w swój chłodny, acz dramatyczny sposób, narzuciły jej się i inne refleksje – że jest nieporadna, że do niczego nie doszła – prowadzi jedynie gospodarstwo ojcu w okolicy Brompton Road, że musi dobrze nad swoimi odruchami panować, by się nie rzucić do kolan pani Ramsay (jak dotąd, dzięki Bogu, umiała się od tego powstrzymać) i nie powiedzieć jej – ba, ale cóż mogła jej powiedzieć? „Jestem w pani zakochana?” Nie, to by nie była prawda. A może: „Zakochana jestem w tym wszystkim tutaj?” – i objąć ruchem ręki żywopłot, dom i dzieci? To byłoby całkiem niemożliwe i bez sensu. Nie można mówić tego, co się myśli. Włożyła starannie pędzle do pudełka, jeden koło drugiego, i zwróciła się do pana Bankesa: – Jakże zimno zrobiło się nagle! Chyba słońce mniej grzeje? – Rozejrzała się wokół: było jeszcze zupełnie jasno, trawa miała nadal miękki,

ciemnoszmaragdowy kolor, dom lśnił jak gwiazda wśród zieloności i amarantowych kwiatów męki pańskiej, a kruki ostro skrzeczały pod wysokim, niebieskim niebem. W powietrzu coś się poruszało i pobłyskiwało, machając srebrnymi skrzydłami. Był już wrzesień, połowa września, po szóstej wieczorem. Powędrowali przez ogród w zwykłą drogę, minęli kort tenisowy i trawnik i doszli aż do przerwy w gęstym żywopłocie, strzeżonej przez wysokie, płomiennoczerwone kwiaty: z tego miejsca błękitna woda zatoki wydawała się jeszcze bardziej niebieska.

Chodzili tam regularnie co wieczór, wiedzeni jakąś potrzebą. Jak by ta woda, odpływając, przypinała żagle ich myślom, drętwiącym na łądzie, a ciałom zsyłała wprost fizyczną ulgę. Najpierw pulsująca niebieska barwa zalewała całą zatokę, od czego rozszerzały się w nich serca, a ciała zdawały się płynąć, by w następnej chwili zamrzeć pod kłującym chłodem czarnych, pomarszczonych fal. Wtedy, wysoko, za wielką, ciemną skałą tryskała niemal co wieczór fontanna białej wody; trzeba było jej dobrze wypatrywać, ale cóż za rozkosz, gdy nadeszła; a gdy się tak czekało na nią i czuwało, fala za falą ronila miękko perłową błonę na jasną, półkolistą plażę.

Stali i uśmiechali się. Odczuwali wspólną radość zrodzoną z ruchu fal, z bystrego biegu żagłówki, która odciawszy płat zatoki zatrzymała się, zadrżała – i opuściła żagiel; a potem, idąc za głosem instynktu domagającego się wykończenia obrazu po tym szybkim ruchu, spojrzeli

na dalekie diuny i zamiast radości odczuli smutek, trochę dlatego, że scena się nie dopełniła, a trochę z tego powodu, że dalekie widoki przetrwają o milion lat patrzącego na nie człowieka (tak myślała Lily) i stapiają się już z niebem, ogarniającym ziemię w stanie zupełnego spoczynku.

Patrząc na rysujące się w oddali wzgórza piasku, pan Bankes myślał o drodze przez Westmorland i o kroczącym nią Ramsayu, otoczonym samotnością, która leżała w jego naturze. Ale pan Bankes przypomniał sobie – musiało to zdarzyć się na jakimś spacerze – jak jakaś kura rozcapierzyła skrzydła chroniąc stadko swych kurcząt, a wtedy Ramsay zatrzymał się i wskazując ją laską powiedział: „to ładne, jakie to ładne”, a pan Bankes pomyślał, że ukazuje to Ramsaya od nieoczekiwanej strony, świadcząc o jego prostocie i upodobaniu zwykłych, drobnych rzeczy; a jednak, wydało mu się, że właśnie na tym odcinku drogi zerwała się ich przyjaźń. Później Ramsay ożenił się i różne rzeczy złożyły się na to, że przyjaźń ich straciła soki żywotne. Z czyjej winy tak się stało, trudno powiedzieć, ale potem było już tylko powtarzanie dawnego, nic nowego nie przybywało. Spotykali się jedynie po to, by odnawiać wspomnienia. W tym niemym monologu w obliczu diun Bankes stwierdził, że mimo to przyjaźń dla Ramsaya nie zmaląła i nie zwiędła, leżała cały czas w tej zatoce wśród piaszczystych wzgórz, jak ciało młodzieńca pogrzebane w torfie i zachowujące czerwień warg.

Z powodu tej przyjaźni, a także, by samego siebie przekonać w duszy, że się zaskorupił i nie usechł – Ramsay żył wśród wiru dzieci, a on, Bankes, był bezdzietnym wdowcem – pragnął, by Lily Briscoe nie lekceważyła sobie Ramsaya (na swój sposób wielkiego człowieka) i by rozumiała, jak sprawy między nimi stoją. Poczęta dawno temu, przyjaźń ich wygasła na drodze w Westmorland, tam gdzie kura skrzydłami chroniła swe kurczęta; a potem Ramsay się ożenił, losy ich potoczyły się różnymi drogami bez niczyjej winy i pozostała tylko skłonność do widywania się gwoli wspominkom.

Tak. Tak to było. Zakończył swe rozważania i odwrócił się od tego widoku. Zbierając się do powrotu, tym razem inną drogą, pan Bankes poczuł, że gdyby nie te piaszczyste pagórki, nie przyszłyby mu do głowy myśli o przyjaźni, która leżała pogrzebana w torfie zachowując czerwień warg, i nie czułby się tak pobudzony do innych jeszcze myśli – na przykład o Cam, małej dziewczynce, najmłodszej córce Ramsaya. Zrywała właśnie na brzegu kwiatki. Dzika była i gwałtowna. Gdy niania jej mówiła: „Daj panu kwiatek”, nigdy nie chciała tego zrobić. Nie! Nie! I nie! Ścisnęła pięści i tupnęła nogami. Wtedy pan Bankes czuł swój wiek, stawał się smutny, a na jego przyjaźń padał jakiś cień; musiał widocznie wyglądać staro i niepociągająco.

Ramsayowie nie byli bogaci i tylko cudem dawali temu wszystkiemu radę. Ośmioro dzieci! To nie byle co wyżywić ośmioro dzieci z filozofii!

A oto jeszcze jedno z nich, tym razem Jasper, wybierający się, by ustrzelić ptaka, jak się wyraził z nonszalancją. Zakołysał w przejściu ręką Lily, niby ramieniem pompy, na co pan Bankes odezwał się z goryczą, że ona jest tak przez wszystkich młodych Ramsayów lubiana. Trzeba było myśleć także o nauce dzieci (pani Ramsay miała na pewno trochę własnych zasobów), nie mówiąc już o bucikach i pończochach, o tym i wszystkim, co tak niemiłosiernie drą te „wielkie chłopaczyska”, jeden w drugiego wyrośnięty i kanciasty. O tym, by rozróżnić, jak który ma na imię i jaka jest kolejność ich wieku, Bankes nawet nie marzył.

Nazywał ich w myślach niby królów i królowe Anglii. Cam Bezbożna, James Bezlitosny, Andrew Sprawiedliwy, Prue Piękna, bo Prue będzie się odznaczała urodą, sądził, nie może być inaczej, a Andrew zdolnościami. Gdy szli aleją, a Lily Briscoe odpowiadała: tak lub nie, uzupełniając jego komentarze (była zakochana w nich wszystkich i rozmiłowana w całym ich świecie), pan Bankes rozważał życie pana Ramsaya; to mu zazdrościł, to znów współczuł, że pan Ramsay pozbawił się całej aureoli samotnictwa i surowości towarzyszącej jego młodym latom i obarczył się ostatecznie prozaicznymi i zaprzatającymi umysł drobiazgami życia domowego. Coś mu one jednak dawały – musiał przyznać pan Bankes; przyjemnie byłoby na przykład, gdyby Cam wsadziła mu kwiatek w klapę marynarki lub wdrapała mu się na ramię, jak to robiła z ojcem, gdy chciała popatrzeć na obrazek

przedstawiający wybuch Wezuwiusza; jednocześnie zabiły jednak jakąś część jego osobowości – dawni przyjaciele wyraźnie to odczuwali. Ciekawe, co sobie o nim mógłby pomyśleć ktoś obcy? A co o nim sądzi Lily Briscoe? Czy można nie zauważyć, że obrósł przyzwyczajeniami, dziwactwami i dał folgę swoim słabościom? Zdumiewające było, jak człowiek z jego intelektem mógł się tak poniżyć – powiedzmy, że to może zbyt ostre wyrażenie – tak przykładać wagę do pochwał ludzkich.

– Ależ niech pan pomyśli o jego dziele – powiedziała Lily.

Za każdym razem, gdy „myślała o jego dziele”, widziała wyraźnie przed sobą duży stół kuchenny. Sprawił to Andrew. Gdy go się kiedyś spytała, o czym są książki jego ojca, wyjaśnił: „O podmiocie i przedmiocie oraz o naturze rzeczywistości”. A kiedy powiedziała: „Boże kochany, nie mam pojęcia, co to znaczy” – doradził jej: „Niech pani pomyśli o stole kuchennym wtedy, gdy go pani nie widzi”.

Odtąd, kiedykolwiek myślała o pracy pana Ramsaya, widziała przed sobą wyszorowany stół kuchenny. Teraz – kiedy dochodzili do sadu, umieścił się w rozwidleniu konarów gruszy.

Z bolesnym wysiłkiem skoncentrowała uwagę nie na srebrzystej, chropowatej korze drzewa ani na jego liściach o rybim kształcie, lecz na widmowym kuchennym stole, jednym z tych szorowanych sosnowych stołów, o

wyraźnych słojach i sękach (ich zaleta – muskularna tężyzna – ujawnia się latami całymi), który właśnie tkwił tam, z czterema nogami w powietrzu. Naturalnie, jeżeli ktoś spędzał wszystkie swe dni na patrzeniu na te kanciaste istoty, sprowadzając urocze wieczory, pełne różowych, błękitnych i srebrnych obłoczków do białego, sosnowego stołu o czterech nogach (a czynić tak zwykły najwspanialsze umysły), to kogoś takiego nie można oceniać jak zwykłego śmiertelnika.

Panu Bankesowi podobało się, że Lily kazała mu „pomyśleć o jego dziele”. Myślał o nim bardzo często. Ileż to razy mówił: „Ramsay należy do ludzi, którzy najlepsze swe rzeczy tworzą przed czterdziestką”. Jego wkład w filozofię zawierał się w małej książeczce, napisanej, gdy miał lat dwadzieścia pięć, a to, co robił potem, było tylko w większym lub mniejszym stopniu rozszerzeniem i powtórzeniem. – Ale jeżeli chce się być rzeczowym i sprawiedliwym, to trzeba pamiętać, że ilość ludzi wnoszących coś nowego do jakiegokolwiek dziedziny – myślał głośno, gdy starannie uczesany, nadzwyczajnie precyzyjny i rozsądny zatrzymał się na chwilę pod gruszą – jest bardzo mała. – Nagle jak by ruch jego ręki wyzwolił jakiś potok wrażeń, na Lily spłynęła wielka fala różnych uczuć, które w niej wywoływał. To było pierwsze doznanie. A następnie przeniknęło ją głębokie zrozumienie jego charakteru; poczuła się wprost sparaliżowana intensywnością swego objawienia – to była ta jego dobroć połączona z surowością. Mam szacunek dla

wszystkiego (zwróciła się do niego w myślach), czym pan jest; pan nie jest próżny, pan jest w pełni obiektywny, pan jest więcej wart od pana Ramsaya; pan jest najwartościowszym człowiekiem, jakiego znam; nie ma pan ani żony, ani dziecka (bez jakichś seksualnych uczuć pragnęła otoczyć opieką jego samotność), pan żyje dla nauki (mimo woli ukazały się jej przed oczami pokrojone kartofle); chwalenie pana byłoby obrazą, szlachetny, bohaterski człowieku o czystym sercu! Jednocześnie pamiętała jednak, że pan Bankes wziął w podróż na wyspę swojego lokaja, że nie znosił psów na krzesłach, potrafił godzinami głądzić o soli w jarzynach (aż pan Ramsay wychodził z pokoju trzaskając , drzwiami) i niegodziwości angielskich kucharek.

Jaki więc wniosek z tego wszystkiego? Jak należało sądzić ludzi, co myśleć o nich? Jak trzeba łączyć to i tamto, by wyciągnąć wniosek, że się ich lubi albo nie lubi? A zresztą, co te słowa w ogóle znaczą? Stała pod gruszą, wstrząśnięta, zalewana powodzią różnych wrażeń dotyczących tych dwóch mężczyzn; nie mogła nadążyć za swoją myślą, która była jak głos zbyt szybko dyktujący słowa, by je ołówek mógł zapisać; a to był jej własny głos, bez żadnego podpowiadania wygłaszający rzeczy sprzeczne, ale tak ważne i głęboko słuszne, że nawet pęknięcia i guzy kory na gruszy zostały utrwalone w jej pamięci na zawsze.

W panu jest jakaś wielkość, ciągnęła swoją myśl, a pan Ramsay jest jej pozbawiony. To mały, samolubny, próżny

i ego – tyczny człowiek; jest zepsutym tyranem, który zamęcza panią Ramsay, ma jednakże coś (zwróciła się do pana Bankesa), czego pan nie posiada – ostre odcięcie się od życia towarzyskiego, pogardę dla drobiazgów, miłość do psów i własnych dzieci. Ma ich ośmioro, a pan ani jednego. Przypomniała sobie, jak to któregoś wieczoru Ramsay zszedł na dół w dwóch płaszczach i kazał pani Ramsay, by mu przystrzygła włosy, które sypały się do formy od puddingu. Wszystkie te myśli tańczyły przed nią jak chmara komarów, każda oddzielnie, ale wszystkie zdumiewająco uporządkowane w niewidzialnej, elastycznej sieci; wirowały w jej głowie, kłębiły się wśród konarów gruszy, gdzie tkwił jeszcze obraz wyszorowanego stołu kuchennego, symbol jej głębokiego szacunku dla intelektu pana Ramsaya; aż wreszcie jej coraz szybciej i szybciej przedąca się myśl pękła pod wpływem nadmiernego nateżenia; poczuła ulgę; w pobliżu rozległ się strzał – i stadko wystraszonych, wrzeszczących szpaków uciekające przed śrutem rozpierchło się w powietrzu.

– To Jasper! – powiedział pan Bankes. Skręcili na taras w stronę, w którą poleciały szpaki. Idąc za szybko lecącymi ptakami, przeszli przez dziurę w wysokim żywopłocie i wyszli wprost na pana Ramsaya?, który ich przyjął tragicznym:

„Ktoś pobłądził!”

Oczy jego, szklące się od wzruszenia i pełne dramatycznego napięcia, spotkały się na sekundę z ich

wzrokiem; przez chwilę załśnił w nich błysk rozpoznania. Zaraz jednak wzniosł rękę do twarzy, jak by pod wpływem irytacji i wstydu pragnął zasłonić się przed ich spojrzeniem. Zdawało się, że ich prosi, by powstrzymali na chwilę coś, co było nieuniknione, że chce im przekazać swoje dziecięce wprost niezadowolenie z tego, że mu przerwano; a jeśli go już odkryli, to nie da się całkowicie pokonać, nie pozwoli pozbawić się tego rozkosznego uczucia, którego się wstydzi i którym się jednak rozkoszuje. Odwrócił się gwałtownie i zatrzęsął przed nimi drzwiami do swetra wnętrza. Lily Briscoe i pan Bankes popatrzyli z zakłopotaniem w niebo i zauważyli, że stadko szpaków, rozproszone strzałem Jaspera, usadowiło się na szczytach wiązów.

5

– A jeśli nie będzie jutro pogody – powiedziała pani Ramsay podnosząc oczy na Lily Briscoe i Williama Bankesa przechodzących koło niej – to wybierzemy się innym razem. A teraz – mówiła myśląc o tym, że wdzięk Lily tkwi w jej chińskich oczach, ukośnie osadzonych w białej, pomarszczonej twarzyczce, czego wielu mężczyzn nie umiało zauważyć – a teraz wstań i pozwól mi zmierzyć ci nogę; może mimo wszystko wybiorą się do Latami, więc trzeba sprawdzić, czy nie podłużyć

pończochy jeszcze o parę cali.

Uśmiechając się, bo właśnie w tej chwili przyszedł jej do głowy znakomity pomysł – William i Lily powinni się pobrać – wzięła pończochę i nie wyjmując drutów przymierzyła ją do nogi Jamesa.

– Stój spokojnie, kochanie – powiedziała, bo James, zazdrosny o chłopca latarnika, nie miał ochoty służyć jako manekin i naumyślnie się wiercił; no, a jeśli się będzie kręcił, to w jaki sposób ma zobaczyć, czy pończocha jest zbyt długa, czy zbyt krótka?

Podniosła wzrok do góry – co za licho ogarnęło jej najmłodszego i najukochańszego? – i patrząc na pokój, na krzesła, pomyślała, jakie to wszystko jest podniszczone. Wnętrznosci krzesel, jak się niedawno wyraził Andrew, sypały się na podłogę, no, ale co za sens, zadawała sobie pytanie, kupować ładne krzesła, żeby się tu niszczyły przez zimę, kiedy dom, zostawiany pod opieką staruszki dozorczyńni, ocieka wprost wilgocią? Ale niech tam – czynsz wynosi dokładnie dwa i pół pensa, dzieci kochają go, mężowi dobrze robi pobyt o trzy tysiące a ściśle mówiąc o trzy setki mil od biblioteki, wykładów i studentów i jest dosyć miejsca dla gości.

Najzupełniej tu wystarczały maty, polowe łóżka i te szkielety krzesel i stołów, które odbyły już swoją służbę w Londynie, parę fotografii oraz książki. Książki, myślała, same się mnożyły. Nigdy nie miała czasu, by je czytać. Niestety! Nawet tych, które jej ofiarowano z własnoręczną dedykacją poety: „Tej, której życzeniom należy być

posłusznym...” „Szczęśliwszej Helenie naszych czasów”... wstyd powiedzieć, ale ich nie czytała. A książki Crooma o umyśle... – Kochanie, stój spokojnie – powiedziała – ... i Batesa o dzikich obyczajach Polinezyjczyków... żadnej z nich nie można posłać do Latarni. Przyjdzie chwila, rozmyślała, kiedy dom będzie w takim stanie zniszczenia, że w końcu trzeba będzie coś zrobić. Gdyby chociaż dzieci nauczyły się wycierać nogi i nie wносиły plaży do mieszkania, to już byłoby coś. Na kraby musiała się godzić, skoro Andrew naprawdę pragnął je badać; z kolei skoro Jasper uważał, że można gotować zupę z wodorostów morskich, także nie można było temu zapobiec; albo na przykład zbiory Rose – muszle, trzciny, kamienie; tak, jej dzieci były utalentowane, ale każde w zupełnie innej dziedzinie. A skutek tego był taki – westchnęła, trzymając pończochę przy nodze Jamesa i obrzucając wzrokiem cały pokój od sufitu do podłogi – że meble z każdym latem stawały się coraz bardziej obdarte. Mata płowiała, a tapety odrywały się od ścian. Wzoru w róże nie można już było na nich rozpoznać. A poza tym jeśli wszystkie drzwi w domu są stale rozwarte i w całej Szkocji nie ma ślusarza, który by umiał naprawić zasuwki, to rzeczy muszą się psuć. Na cóż się zda narzucać zielony kaszmirowy szal na ramy obrazu, jeśli po dwóch tygodniach i tak nabiera koloru szczawiowej zupy. Zwłaszcza te drzwi ją denerwowały – wszystkie stale otwarte. Zaczęła nasłuchiwać. Drzwi od salonu, jak i od hallu nie zamknięte, od sypialni zapewne też, a okno w

klatce schodowej na pewno otwarte, bo sama je otworzyła. Okna powinno się otwierać, ale drzwi trzeba zamykać – czyż takiej prostej rzeczy nikt z nich nie potrafi zrozumieć? Jeśli się zdarzyło, że weszła nocą do pokoi służących, to wszystko było dokładnie pozamykane, jak w piecu piekarskim; jedynym wyjątkiem była Szwajcarka Marie, która raczej obyć się mogła bez kąpieli niż świeżego powietrza. Poprzedniego wieczoru wyglądając przez okno powiedziała ze łzami w oczach: „Góry są takie piękne”. Pani Ramsay wiedziała, że jej ojciec umiera w tych górach. Zostawiał dzieci sierotami. Strofowała ją i pokazywała, jak słać łóżka, jak okna otwierać tak zręcznie, jak to robią Francuzki, a gdy dziewczyna przemówiła, wszystko się uciszało łagodnie, jak by ptak po locie wśród słonecznego blasku ułożył spokojnie skrzydła, a jasnotalowy błękit jego piór przeszedł w miękką purpurę. Pani Ramsay stała w milczeniu, bo cóż można było powiedzieć. Miał raka krtani. Wspominając teraz, jak tam stała, a dziewczyna mówiła: „U nas góry są takie piękne” – przecież nie było już żadnej, absolutnie żadnej nadziei, zirytowała się nagle i zwróciła się ostro do Jamesa:

– Stójże spokojnie. Nie męcz mnie – a on natychmiast zrozumiał, że teraz już się naprawdę gniewa, i wyprostował nogę, by mogła ją zmierzyć.

Pończocha okazała się za krótka przynajmniej o pół cala, przyjmując nawet, że malec Sorleya był mniej wyrosnięty niż James.

– Za krótka jest – powiedziała – o wiele za krótka.

Nigdy nikt nie wyglądał tak smutno jak pani Ramsay w tej chwili.

– Czy coś się kryło za jej urodą? – pytali nieraz ludzie. Co zakrywała ta maska piękności i wspaniałości? Czy to prawda, że na tydzień przed jej ślubem palnął sobie w łeb ten inny, wcześniejszy kochanek, o którym krążyły słuchy? A może to tylko na niczym nie oparta pogłoska? Źródłem tego była po prostu jej niezrównana, wszystko przesłaniająca uroda; której nigdy nie była w stanie niczym skazić. Choć łatwo mogłaby powiedzieć w jakiejś chwili zwierzeń, gdy była mowa o wielkich namiętnościach, tragicznej miłości lub zranionych ambicjach, że te sprawy nie są jej obce, że odczuwała je i przeszła swoje doświadczenia, to jednak nigdy tego nie czyniła. Zawsze milczała. Wiedziała jednak wiele, jej prostota zgłębiła to, co mądrzy ludzie zafałszowali. Prostolinijność jej umysłu sprawiała, że jak ptak zmierzała nieomylnie do celu, instynktem chwytając prawdę, co było jej zachwycającą właściwością, polepszało i robiło życie łatwiejszym, choć może nieraz tylko pozornie.

– Przyroda niewiele ma takiej gliny, z jakiej panią ulepiła – stwierdził kiedyś „wzruszony” pan Bankes, gdy mówił z nią przez telefon, choć rozmowa dotyczyła tylko pociągu. Wyobrażał ją sobie na drugim końcu linii jako niebieskooką, prostonosą Greczynkę. Jakżeż to niedorzecznie rozmawiać przez telefon z taką kobietą! To gracje zbierające się na łąkach pełnych złotogłowiu

musiały złączyć ręce, by stworzyć tę twarz. – Tak, pojedzie pociągiem o 10,30 z Euston.

Jest tak nieświadoma swej urody jak dziecko, myślał pan Bankes odkładając słuchawkę i idąc przez pokój ku oknu, by zobaczyć, jaki postęp zrobili w swej pracy robotnicy budujący hotel na – tyłach jego domu. Patrząc na ożywiony ruch wśród nie skończonych jeszcze ścian, myślał o pani Ramsay. Zawsze jednak było coś, co psuło harmonię jej twarzy – to wsadziła sobie na głowę jakiś niedorzeczny kapelusz, to znów, chcąc przerwać dziecięce psoty, biegła przez trawnik w kaloszach. Gdy się rozważało tylko jej piękność, to się myślało o czymś żywym, pulsującym (robotnicy z cegłami szli w górę po małej desce), i jedynie to decydowało o jej obrazie; a znów, gdy się myślało o niej tylko jako o kobiecie, to nie można było pominąć jej dziwactw; a może było to utajone pragnienie, by zrzucić z siebie królewskość kształtu, bo nudziła ją własna piękność i to, co mężczyźni w ogóle o piękności mówili. Pragnęła być taką, jak inni ludzie i nie zwracać na siebie uwagi Sam nie wiedział, co o tym sądzić, dalibóg, że nie wiedział. No, ale teraz musi się już wziąć z powrotem do roboty.

Robiąc na drutach włochatą czerwonobrazową pończochę, pani Ramsay, której głowa uwypukliła się absurdalnie na tle złoconej ramy i zielonego szala zarzuconego na ramę obrazu, autentycznego arcydzieła Michała Anioła, uniosła głowę, przybrała znów łagodny ton i całując synka w czoło powiedziała: – Znajdźmy

sobie teraz jakiś inny obrazek do wycinania.

6

Co się właściwie stało?

„Ktoś pobłądził”.

Otrząsnąwszy się z zadumy pojęła słowa, które docierały do niej tylko jako dźwięk od dłuższej już chwili. „Ktoś pobłądził”. Utkwiwszy swe krótkowzroczne oczy w podchodzącym ku niej mężu uporczywie wpatrywała się w niego tak długo, aż jego bliskość uświadomiła jej, że coś się stało, że ktoś pobłądził; ale absolutnie nie byłaby w stanie powiedzieć, o co chodzi.

A on. drżał, trzął się. Cała jego próżność, całe zadowolenie z własnej wspaniałomyślności, gdy nieubłagany jak błyskawica, drapieźny jak sokół pędził przez dolinę śmierci na czele swych ludzi, zostały teraz zdruzgotane, unicestwione. „Pod gradem kul i szrapneli śmiałośmy w siodłach siedzieli, jak błysk dolinę śmierci przecięli, zagrzmieli strzałami i pomknęli” – wprost na Lily Briscoe i Williama Bankesa. Cały się trzął i drżał.

Za skarby świata nie odezwałaby się teraz do niego, wnioskując ze znanych sobie oznak – odwróconych oczu i szczególnego skupienia całej postaci, jak by się w coś otulał i potrzebował samotności do odzyskania równowagi – że był wstrząśnięty i oburzony. Pogładziła Jamesa po

głowie i na niego przeniosła to, co czuła dla męża; widząc, jak koloruje żółtą kredką białą smokingową koszulę jakiegoś pana w katalogu domu towarowego „Army and Navy” pomyślała, cóż by to była za radość dla niej, gdyby chłopiec okazał się wielkim artystą, bo i dlaczego by nie? Miał wspaniałe czoło. Potem, podniósłszy wzrok na ponownie przechodzącego męża, poczuła ulgę widząc, że już przybrał swą słabość ochronną maską, że przyzwyczajenia domowe zatriumfowały i uspokajający nawyk wziął górę; toteż gdy wracając znów zatrzymał się specjalnie pod oknem i pochylił się z figlarnym i rozbawionym wyrazem w oku, by gałązką połachotać Jamesa w gołą łydkę, z wyrzutem powiedziała, że odprawił „tego biednego młodzieńca”, Charlesa Tansleya. Odparł na to, że Tansley musiał pójść do domu, by pisać swą rozprawę.

– Przyjdzie czas, kiedy i James będzie musiał napisać swoją rozprawę – dodał z ironią, śmigając gałązką.

Pełen nienawiści, James odepchnął gałązkę, którą jego ojciec we właściwy sobie sposób, surowy a jednocześnie żartobliwy, łachotał gołą nogę synka.

Pani Ramsay powiedziała, że usiłuje skończyć te nudne pończochy, by móc je posłać jutro chłopcu Sorleya.

Słyszając to pan Ramsay z nutą nieustępliwości w głosie zauważył, że nie ma najmniejszej szansy, by mogli jutro popłynąć do Latarni.

– Skąd wiesz? – spytała. – Wiatr nieraz się odmienia. Całkowita bezsensowność jej uwagi, płochosć kobiecego

umysłu doprowadziły go do wściekłości. On przebijał się konno przez dolinę śmierci, był wstrząśnięty i drżał cały, a tu ona porywa się przeciw faktom i każe dzieciom oczekiwać na coś, co jest zupełnie wykluczone, po prostu mówi nieprawdę. Tupnął nogą w kamienny schodek. – Niech cię licho porwie! – wykrzyknął. A cóż ona takiego powiedziała? Tylko tyle, że jutro może być pogoda. A czy nie może?

Nie przy barometrze idącym w dół i wietrze z zachodu.

To, że trzymał się prawdy z takim zdumiewającym brakiem względów dla uczuć innych ludzi, że tak brutalnie, bez żadnej potrzeby, zdierał cienką powłokę kultury, było w jej przekonaniu tak straszną obrazą najbardziej podstawowych uczuć ludzkich, że bez słowa, oślepiona i zmarszczona, pochyliła głowę, jak by zezwalając, by bezkarnie zbrukała ją nawałnica ostrego gradu czy potok brudnej wody. Na takie rzeczy się nie odpowiada.

Stał przy niej w milczeniu. Po dłuższej chwili powiedział bardzo pokornie, że jeśli sobie tego życzy, to zajdzie do Straży Morskiej i zapyta.

Nikogo na świecie nie szanowała tak jak jego.

O, wierzyła mu na słowo. W takim razie po prostu nie trzeba będzie przygotowywać kanapek na jutro. Ponieważ była kobietą, dzieci przychodziły do niej cały dzień i stale czegoś chciały – to tego, a tamto owego; dorastały; często miała wrażenie, iż jest gąbką nasiąkniętą uczuciami innych ludzi. A tu on powiada: „Niech cię licho porwie”,

„Musi padać”, „Nie będzie padać”, i za każdym razem natychmiast otwiera się przed nią niebo pewności. Nikogo nie szanowała tak jak jego. Nie czuła się godna zawiązać mu rzemyka u obuwia.

Już zawstydzony swym uporem i gestykulacją, gdy atakował wroga na czele swych oddziałów, pan Ramsay raz jeszcze bezsensownie głaskał gołe nogi synka i, niby wielki lew morski w Zoo, który po połknięciu ryby przewala się na wznak, aż się kołysze woda w basenie, zanurzył się w wieczorne powietrze (tak to sobie dziwnie skojarzyła pani Ramsay); stawało się ono teraz coraz czystsze, nabierając woni od liści i żywopłotów, a w zamian przywracając różom i goździkom ich blask, którego były pozbawione za dnia.

„Ktoś pobłądził” – powtórzył raz jeszcze, spacerując wielkimi krokami po tarasie to w tę, to w ową stronę.

Ale jak dziwnie zmienił mu się głos! Tak, jak u kukułki, która „w czerwcu zaczyna tracić melodią”; zdawało się, że szukał niepewnie jakiegoś nowego zdania, oddającego jego nastrój, ale nie mogąc nic znaleźć, użył starego, choć nie nadawało się już więcej. Śmiesznie to brzmiało: „Ktoś pobłądził” wypowiedane w ten sposób – melodyjnie, niemal jak pytanie, bez przekonania. Pani Ramsay nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Wkrótce to nucenie, towarzyszące spacerowi, ustało. Pan Ramsay zamilkł.

Już mu nic nie groziło, był znów sam. Zatrzymał się, by zapalić fajkę, spojrzął na żonę i syna w oknie i jak

podróżny w ekspresie, który przenosi spojrzenie z karty książki na wiejską zagrodę, drzewo i grupę chat za oknem, jak na ilustrację i potwierdzenie tego, co wyczytał na zadrukowanej stronicy, i czuje się zadowolony i pokrzepiony, tak i on, nie wyodrębniając ani żony, ani syna z całości obrazu, w widoku ich znalazł zadowolenie, pokrzepienie, i potwierdzenie celowości swych wysiłków, by osiągnąć pełne zrozumienie problemu, który w tej chwili pochłaniał całą energię jego wspaniałego umysłu.

Miał rzeczywiście wspaniały umysł. Jeśli myśl ludzka jest jak klawiatura fortepianu, złożona z wielu tonów, albo jak alfabet, w którym uszeregowano dwadzieścia sześć liter – to jego wspaniały umysł nie znajdował żadnej trudności w przebiegnięciu przez wszystkie te litery z precyzją i zdecydowaniem aż, powiedzmy, do litery Q. I właśnie Q już osiągnął. Bardzo niewielu ludzi w całej Anglii dociera w ogóle do Q. Teraz stanąwszy na chwilę przy kamiennej wazie z pelargonią, zobaczył jak by z wielkiej odległości żonę i syna w oknie; wydali mu się dziećmi zbierającymi muszelki; cudownie niewinni i pochłonięci drobiazgami u swych stóp, czyli zupełnie bezbronni wobec niebezpieczeństw życia, które widział tak dobrze. Potrzebna im była jego opieka; dawał ją. A po Q? Co dalej? Po Q następuje szereg liter, z których ostatnia, połyskująca tylko czerwono z daleka, jest już niemal niewidoczna dla ludzkich oczu. Do Z dociera zaledwie jeden człowiek na pokolenie. Ale gdyby mu się udało dotrzeć do R bodaj, to już byłoby coś. W każdym

razie był przy Q. Zaparł się mocno przy tym Q. Q był pewien. Q mógł dowieść. Jeżeli Q jest Q – to R... Wytrząsnął fajkę, stuknąwszy nią energicznie kilka razy w ucho wazy mającej kształt baraniego rogu, i ciągnął dalej. A zatem R...

Skupił się w sobie. Napiął się cały.

Zalety, które mogłyby uratować załogę statku wśród kipiącego morza, posiadającą tylko sześć sucharów i butelkę wody – wytrwałość i sprawiedliwość, zdolność przewidywania, poświęcenie i sprawność – te cnoty przyszły mu z pomocą. A więc R jest... czym właściwie jest R?

Jakaś zasłona, niby skórzana powieka jaszczurki, mignęła i zakryła literę R przed jego skupionym spojrzeniem. W czasie tego nagłego wtargnięcia ciemności usłyszał, jak ludzie mówią, że on nie da rady – R jest nie dla niego. Nigdy nie dotrze do R. A więc jeszcze raz naprzód do R. R...

Jego temperament ani nie sangwiniczny, ani skłonny do depresji, ze spokojem obserwujący, co życie niesie, i stawiający mu czoło, właściwy dowódcy, kierownikowi i doradcy samotnej wyprawy wśród lodowych pustyń pod biegunem, dopomógł mu znów. R...

Powieka jaszczurki zamigotała ponownie. Żyły wystąpiły mu na czoło. Pelargonia w wazie stała się uderzająco wyraźna; patrząc na jej liście, zupełnie bezwiednie dostrzegł stary, prosty podział ludzi na dwie klasy: z jednej strony niezłomni wędrowcy o nadludzkiej

sile, którzy krok za krokiem, mozoląc się wytrwale, powtarzają cały alfabet po kolei, dwadzieścia sześć liter od początku do końca, z drugiej ci inni, utalentowani, natchnieni, którzy w sposób cudowny chwytają wszystkie litery w jednym błysku – sposobem geniusza. Genialnym nie był; nie rościł sobie do tego pretensji, ale stać go było na to, by powtórzyć cały alfabet od A do Z dokładnie i w porządku. A tu tymczasem utknął przy Q. Naprzód więc. naprzód do R.

Czuł, jak rodziło się w nim uczucie bynajmniej nie poniżające, które przeżywa przewodnik na widok padającego śniegu i mgłą zasłoniętych szczytów gór, kiedy nie pozostaje już nic, tylko trzeba lec i umrzeć, zanim nadejdzie ratunek; w ciągu tych paru chwil, które spędził spacerując po tarasie, zbieleły mu oczy i twarz starczo zwiędła. Ale on nie umrze leżąc; znajdzie jakiś występ skalny i na nim, ze wzrokiem wbitym w burzę i do końca przesywającym ciemność, umrze stojąc. Do R. nie dotrze nigdy.

Stał nieruchomo przy wazie, z której wychylała się pelargonia. Bo, ostatecznie, ilu ludzi na miliard, zastanawiał się, dochodzi do Z? Przewodnik spod znaku utraconej nadziei ma prawo zadać sobie takie pytanie i odpowiedzieć na nie, nie popełniając zdrady w stosunku do członków wyprawy, idących za nim; może jeden. Jeden na pokolenie. Czy więc ma być obwiniony o to, że nie jest właśnie tym jednym? Oczywiście, o ile trzymał się uczciwie i dawał z siebie wszystko, aż nie zostało, już nic

więcej? A jak długo trwa sława takiego człowieka? Przecież wolno nawet umierającemu bohaterowi pomyśleć o tym, co ludzie będą mówili o nim po jego śmierci. Sława takiego bohatera trwa może dwa tysiące lat. I cóż to jest dwa tysiące lat? (pytał pan Ramsay z ironią, wpatrzony w żywopłot). Zwłaszcza jeśli się spojrzy ze szczytu góry na długi ciąg wieków? Zwykły kamień deptany nogą przeżyje Szekspira. Jego własne światełko będzie błyszczało niezbyt jasno, przez rok lub dwa, aż się zleje z jakimś większym światłem, a to z jeszcze większym. (Spojrzał w mrok, w gmatwaninę gałązek.) Któż więc mógłby winić przywódcę tej zgubionej wyprawy, która wdarła się jednak na tyle wysoko, by spoglądać na bezkres lat i ginięcie gwiazd, za to, że zanim śmierć obezwładniła jego członki, wznosił zdrętwiałe palce ku skroni, gestem może nawet nieco teatralnym, a potem wyprostował ramiona tak, by nadchodząca ekspedycja ratunkowa znalazła go martwego na posterunku, niby piękną postać żołnierza? Pan Ramsay wyprostował ramiona i mocno wyprężony stał przy wazie.

Któż weźmie mu za złe, że, stojąc tak przez chwilę, myśli o sławie, o wyprawach badawczych, o kopcach wzniesionych nad jego kośćmi przez wdzięcznych następców? A wreszcie, kto weźmie za złe temu przywódcy skazanej na zagładę wyprawy, że dokonawszy wszystkiego, co tylko się dało, i zużywszy swe siły do ostatka, wreszcie zasnął, nie troszcząc się o to, czy się jeszcze obudzi, a teraz właśnie poznaje po kluciu w

palcach stóp, że żyje, i nie ma zasadniczo nic przeciwko temu, żąda jedynie współczucia, whisky i kogoś, komu by natychmiast mógł opowiedzieć historię swoich cierpień? Któż go za to obwini? Kto się nie będzie radował w cichości serca, że bohater zdejmuje pancerz i zatrzymuje się przy oknie, by popatrzeć na żonę i syna, którzy, z początku bardzo odlegli, stopniowo się przybliżają, aż wreszcie wargi, książka i głowa żony są wyraźne tuż przed nim, urocze, choć jeszcze owiane obcością jakiegoś innego świata, od którego ciągle dzieli go poczucie własnej samotności, mijanie wieków i nietrwałość gwiazd.

I któż mu weźmie za złe, że wreszcie wsadził fajkę do kieszeni i pochylając swą przepyszną głowę przed żoną złożył hołd urodzie świata?

7

Ale syn go nienawidził. Nienawidził go za to podchodzenie do nich, zatrzymywanie i przyglądanie się im; za przerywanie im; za tę radosność i wzniosłość jego gestykulacji; za wspaniałość jego głowy; za jego ścisłość i egotyzm (stał i rozkazywał, a oni mieli słuchać); najbardziej jednak nienawidził go za nosowe i strofujące dźwięki, które wydawał, gdy był poruszony, za te dźwięki rozlegające się wokół nich i mącące doskonałą prostotą i zdrowy rozsądek panujący w stosunkach między nim i

matką. Patrząc uporczywie na kartkę katalogu miał nadzieję, że zmusi ojca do odejścia, że przez wskazywanie palcem na jakieś słowo ściągnie matkę z powrotem do książki; ze złością myślał, że każde przystąpienie ojca rozpraszało jej uwagę. Ale nic nie mogło zmusić pana Ramsaya do odejścia. Stał tu uparcie i domagał się współczucia.

Pani Ramsay, siedząca niedbale i obejmująca ramieniem syna, poprawiła się teraz na krześle i na w pół odwrócona zdawała się podnosić z wysiłkiem; równocześnie tchnęła z siebie w powietrze strumień energii i wyglądała na tak ożywioną, jak by cała przemieniła się w płonącą, jarzącą się moc (mimo że siedziała spokojnie, znów z pończochą w ręku); w tę jej rozkoszną bujność, w tą fontanną tryskającą życiem zanurzała się nieszczęsna jałowość tego mężczyzny niby mosiężny dziób, gładki i pusty. Potrzebował współczucia. Mówił, że jest bankrutem. Pani Ramsay błyskała drutami. Fan Ramsay, nie odrywając oczu od jej twarzy, powtarzał, że jest bankrutem. Odrzuciła jego słowa mówiąc, że Charles Tansley... Ale jemu trzeba było czegoś więcej. Potrzebował współczucia i zapewnienia, że jest genialny, a prócz tego pragnął, by go włączono w krąg życia, ogrzano, utulono i przywrócono poczucie własnej siły, by mógł przewyciężyć swoją bezpłodność; pragnął też, by wszystkie pokoje tego domu napełniły się życiem: i salon, i kuchnia, i sypialnie nad kuchnią, i pokoje dzieciinne za nimi; trzeba to wszystko umeblować i napełnić życiem.

Charles Tansley uważał go za największego współczesnego metafizyka. Ale jemu potrzeba czegoś więcej. Musi być obdarzany współczuciem. Muszą go przekonać, że on też żyje w samym sercu życia, że jest potrzebny i to nie tylko tu, ale na całym świecie. Błyskając drutami, pełna ufności, wyprostowana, tworzyła na nowo salon i kuchnię, napełniała je blaskiem; kazała mu swobodnie krążyć po domu i robić to, co mu sprawiało przyjemność. Śmiała się, robiła ciągle na drutach. Stojąc bardzo sztywno między jej kolanami James czuł, jak wszystkie jej siły rozpalają się, by mógł je wchłaniać i ugasić ten mosiężny dziób, który raz po raz uderzał bezlitośnie domagając się współczucia.

Powtarzał, że jest bankrutem. No, to popatrz, wczuj się w to. Błyskając drutami, rzucała spojrzenia wokół siebie, spoglądała przez okno i znów wzrok odwracała na pokój, patrzyła na Jamesa; uspokajała go, dawała mu całkowitą pewność, samym swoim śmiechem, postawą, rzeczowością (jak niańka, niosąca światło przez ciemny pokój, uspokaja dające się dziecko), że wszystko wokół jest rzeczywiste: dom jest zamieszkały a ogród w pełnym rozkwicie. Jeśli tylko będzie wierzył jej bez zastrzeżeń, nic mu się złego nie stanie; choćby nie wiem jak głęboko się zagrzebał lub wspiał w górę, ani przez chwilę nie będzie sam, bez niej. Tak się chwając swoją zdolnością do opiekowania się i ochraniania, czuła, że wydaje z siebie i roztrwania wszystko, co ma; a Jamesowi, stojącemu sztywno między jej kolanami, zdawało się, że matka

zamienia się w drzewo owocowe, obsypane różowym kwieciem, o roztańczonych gałęziach, a mosiężny dziób ojca, tego egotysty, uderza w nie domagając się współczucia.

Wypełniony jej słowami, niby dziecię odpadające od piersi w nasyceniu, powiedział w końcu, spoglądając na nią z pokorną wdzięcznością, odświeżony i uzdrowiony, że pójdzie się przejść i popatrzy na dzieci grające w kriketa. I poszedł.

Natychmiast wydało się, że pani Ramsay zamyka się cała jak kwiat, w którym jeden płatek ściśle przylega do drugiego; w tym znużeniu miała zaledwie tyle siły, by wodzić palcem po stronicy bajek Grimma; serce tętniło w niej jak w zwycięskiej wiosnie, która, osiągnąwszy swój twórczy szczyt, czuje łagodne wyczerpanie.

W miarę jak odchodził, czuła coraz bardziej, że stanowi z mężem jedną całość; są jak dwa różne tony, jeden niski, drugi wysoki, które uderzone razem, nawzajem się wzmacniają. Jednakże, gdy ten odgłos wewnętrzny zamarł i pani Ramsay wróciła do baśni, poczuła wyczerpanie nie tylko w ciele (później, po jakimś czasie, czuła je zawsze); na jej fizyczne zmęczenie nałożyło się niemiłe uczucie jakiegoś innego rodzaju. Trudno powiedzieć, by czytając głośno bajkę o rybaku i jego żonie zdawała sobie dokładnie sprawę, skąd to uczucie pochodzi; nie pozwoliła sobie także na to, by ująć w słowa swe niezadowolenie, lecz gdy zatrzymała się przy odwracaniu kartki, poczuła, jak tępo i niepokojąco w niej opada fala

uniesienia, i już wiedziała, skąd to się bierze: nawet przez sekundę nie mogła znieść uczucia, że jest doskonalsza od męża; nie mogła – także ścierpieć tego, by nie być całkowicie pewną, że to, co mówi mu, jest prawdą. Nie wątpiła ani przez chwilę, że uniwersytety i ludzie potrzebowali go, że jego wykłady i książki były nadzwyczaj ważne; tu chodziło jednak o ich wzajemny stosunek, o to, że potrafił tak otwarcie, na oczach wszystkich, przyjść do niej – to było źródłem jej obawy: ludzie przecież mogą mówić, że bardzo na niej polega; a przecież powinni wiedzieć, że jest przeciwnie, że z nich dwojga on jest nieskończenie ważniejszy; to, co ona daje światu w porównaniu z tym, czym on go obdarza, jest bez znaczenia. A znów, zważywszy inne rzeczy: to, że się boi powiedzieć mu prawdy, na przykład o dachu cieplarni i wydatku na zreperowanie go, co wyniesie pewnie z pięćdziesiąt funtów; albo o jego książkach – bała się, by nie domyślił się tego, co ona podejrzewała trochę, że ostatnia jego praca nie była najlepsza (wynioskowała to ze słów Williama Bankesa); i to, że trzeba ukrywać przed nim różne drobne sprawy codzienne, a dzieci to widzą i bardzo źle to na nie działa – wszystko to zmniejszało jej radość, czystą radość, płynącą z uzupełniania się ich tonów, toteż ich współbrzmienie zamarło w jej uchu na głuchej, przygnębiającej nucie.

Jakiś cień padł na książkę – spojrzała w górę. To Augustus Carmichael szedł suwając nogami właśnie w chwili, gdy z bólem zastanawiała się nad niedoskonałością

stosunków między ludźmi; nawet ich stosunek, najlepszy z tych, które znała, nie był bez skazy; kiedy zaczęła się mu przyglądać z bliska, popychana swym instynktem prawdy, okazało się, że i on – a tak przecież kochała męża! – nie ostał się; w momencie gdy z przygnębieniem myślała o swojej bezwartościowości i o niemożności spełniania właściwej sobie roli na skutek tych kłamstw, tych wyolbrzymień, właśnie gdy po chwili uniesień opadły ją niegodne zwątpienia – musiał się napatoczyć pan Carmichael w swych żółtych – pantoflach; jakiś diablik podsunął jej pytanie:

– Idzie pan do domu, panie Carmichael?

8

Nic na to nie odpowiedział. Narkoman. Dzieci mówiły, że jego broda zażółcona jest przez opium. Możliwe. W każdym razie nie ulegało dla niej wątpliwości, że był nieszczęśliwy biedaczysko, że uciekał do nich co roku i – każdego roku czuła to samo – niestety nie miał do niej zaufania. – Idę do miasta – dodała. – Czy mam panu przynieść znaczków, papieru i tytoniu? – Czuła, jak się zawahał. Nie ufał jej. To z powodu żony. Pamiętała, jak niecna w stosunku do niego była ta kobieta. Będąc w ich ohydnyim mieszkaniu na St. John's Wood widziała na własne oczy, jak ta wstrętna baba wypędziła go z domu.

Skamieniała z oburzenia na ten widok. Chodził nie uczesany, upuszczał jedzenie na ubranie i był męczący jak każdy stary człowiek, który nie ma już nic do roboty; a ta baba po prostu wyrzuciła go z pokoju. Powiedziała przy tym w swój obrzydliwy sposób: „Chcemy sobie tu z panią Ramsay pogawędzić”. Pani Ramsay poczuła od razu, ile udręk musiał przechodzić w życiu. Czy miał dosyć pieniędzy na tytoń? Czy może musiał prosić o nie żonę? Czy chodziło tu o pół korony? Czy o osiemnaście pensów? Z odrazą myślała o tych wszystkich małych upokorzeniach. Od tej pory zawsze cofał się przed nią (nie wiedziała dlaczego, ale jednak przypuszczała, że to się jakoś wiązało z żoną). Nigdy jej się w niczym nie zwierzał. A cóż ona mogła sama uczynić? Dostał słoneczny pokój. Dzieci były dla niego dobre. Nigdy nie dała mu w najłżejszy nawet sposób odczuć, że jest niepożądany, a nawet nieraz wysilała się mocno, by mu okazać przyjazny stosunek. „Czy potrzebuje pan znaczków albo tytoniu?” „Oto książka, która może się panu spodoba”, itd. A przecież (mimo woli wstrząsnęła się cała na przelotną i tak rzadko ją nawiedzającą myśl o swej urodzie) – przecież na ogół nie miała żadnych trudności w pozyskaniu sympatii ludzkiej; na przykład George Manning lub pan Wallace – choć tacy sławni, przychodzili wieczorami, by w spokoju pogawędzić z nią przy kominku. Nie mogła nie zauważyć, że jej piękność, jak pochodnia, stale jej towarzyszyła – wносиła ją w pełni blasku wszędzie; żeby nie wiem jak próbowała, nigdy nie

mogła ukryć swej urody, musiała stale znosić jej nudny ciężar. Byli tacy, co ją podziwiali. Byli tacy, co ją kochali. Nawiedzała domy, w których była żałoba – i łzy płynęły swobodnie w jej obecności. Mężczyźni i kobiety zapominali o wszystkich komplikacjach życia i w prostocie obcowania z nią znajdowali wytchnienie. Więc dotykało ją, raniło, że pan Carmichael tak się zamykał przed nią. Ale czy miała w tym rację, czy działała z czystych pobudek? Do niezadowolenia z męża dołączyło się uczucie, że pan Carmichael, wlokący się przed oknami w swych żółtych pantoflach, z książką pod pachą, i odpowiadający na jej pytanie tylko kiwnięciem głowy, kwestionował jej motyw. Czy jej pragnienie, by dawać i pomagać, nie było zwykłą próżnością? Czy nie dla własnego zadowolenia pragnęła odruchowo pomagać i dawać, żeby ludzie mogli mówić o niej: „O, pani Ramsay! Ta droga pani Ramsay... Oczywiście, to pani Ramsay!” – I potrzebowali jej, posyłali po nią i podziwiali? Czy nie tego pragnęła w głębi serca i czy nie dlatego, gdy pan Carmichael, by uniknąć jej towarzystwa, zaszył się w jakiś kąt, w którym bez końca będzie rozwiązywał akrostychy, nie tylko czuła się upokorzona z powodu swych odruchów, lecz uświadamiała sobie, że jest w niej coś niskiego i że ludzie są tacy skażeni i godni wzgardy; w najlepszym razie mają tylko własne interesy na względzie. Taka zaniedbana i wyniszczona kobieta, pewnie nie dająca już swoim wyglądem radości oczom ludzkim (policzki miała zapadnięte, a włosy siwe),

powinna się zająć raczej bajką o rybaku i jego żonie i uspokoić ten kłębek nerwów, jakim był James (żadne z jej dzieci nie było tak wrażliwe jak on).

„Serce mężczyzny stało się ciężkie jak ołów – czytała głośno – i nie chciał iść. Powiedział do siebie: »To niesprawiedliwość« – a mimo to poszedł. A gdy przyszedł nad brzeg morza, woda już nie była zielona i żółta, lecz miała odcień granatowy, purpurowy i szary; choć była jeszcze spokojna, to już gęstniała. Stanął i powiedział... „ – pani Ramsay z zalem pomyślała, że jej mąż musiał akurat wybrać ten moment, by się zatrzymać. Dlaczego nie poszedł, jak zapowiadał, przyglądać się dzieciom grającym w kriketa? Tym razem nie odezwał się jednak, popatrzył tylko, pokiwał głową z aprobatą i ruszył dalej. Spoglądając na żywopłot, który już tyle razy oznaczał zakończenie przerwy w jego rozmyślaniach i dojście do jakiejś „konkluzji, widząc znów żonę i syna, i czerwone pelargonie, zwisające z wazy, które tak często stanowiły tło dla jego myśli i kryły je w swych liściach, niby notatki zrobione pośpiesznie na świstku papieru przy absorbującej lekturze, widząc to wszystko, zaczął się zastanawiać nad artykułem „Timesa”, w którym była mowa o tym, ilu Amerykanów odwiedza corocznie dom Szekspira. Gdyby Szekspir w ogóle nie istniał, czy świat bardzo by się różnił? – zadał sobie pytanie. Czy postęp cywilizacji zależy od wielkich ludzi? Czy los szarego człowieka jest teraz lepszy, niż był w czasach faraonów? Ale czy los szarego człowieka może służyć za kryterium, przy

pomocy którego mamy oceniać cywilizację? Chyba nie. Możliwe, że największe dobro wymaga istnienia klasy niewolników. Windziarz kolei podziemnej jest wieczną koniecznością. Ta myśl wywołała w nim niesmak. Podrzucił głowę. Chcąc się od tej myśli oderwać, postanowił, że zajmie się wyszukaniem jakiegoś sposobu, by ukrócić panowanie sztuki. Postara się pokazać, że świat istnieje dla szarego człowieka, a sztuka jest tylko dekoracją życia na szczytach i wcale go nie wyraża. A Szekspir światu też nie jest niezbędny. Nie zdając sobie dokładnie sprawy, dlaczego tak krzywdząco odniósł się do Szekspira, a pośpieszył na ratunek człowieka stojącego na wieki w drzwiach windy, gwałtownym ruchem zerwał liść z żywopłotu. Wszystkim tym trzeba będzie uraczyć studentów w Cardiffie następnego miesiąca – rozmyślał; ten taras to tylko popas i piknik (odrzucił listek kapryśnie zerwany); jest tu jak by jeźdźcem, który siedząc na koniu zrywa pęk róż lub napycha sobie kieszenie orzechami z wolna krążąc po drózkach i miedzach znanej sobie od dzieciństwa okolicy. Jakież to wszystko mu bliskie; ten zakręt, ta kładka, ta droga na przełaj przez pola. Pograżony w rozmyślaniach, z fajką w zębach spędzał w ten sposób niejedną godzinę wieczorną jeżdżąc po znanych drózkach i błoniach, związanych z dziejami jakiejś kompanii, z życiem różnych mężów stanu, myślicieli i żołnierzy, z wierszami i anegdotami. Wszystko to było żywe i wyraziste. W końcu ta dróżka, to pole i błonie, ten orzech i kwitnący żywopłot

doprowadziły go do zakrętu drogi, gdzie zwykle zsiadał z konia, przywiązywał go do drzewa i szedł już dalej pieszo. W tym momencie dotarł właśnie do krańca trawnika i spojrzał na leżącą w dole zatokę.

Taki był jego los, jego dziwna właściwość, że stale musiał szukać – czy chciał, czy nie chciał – tego cypla lądu pożeranego powoli przez morze i stać tam samotnie jak zagubiony ptak morski. Jego siła, jego talent tkwiły w tym, że potrafił w jednej chwili odrzucić wszystko, co zbyteczne, skurczyć się i skupić tak, że nawet fizycznie nie tylko sam się czuł mniejszy, ale i na mniejszego wyglądał, nie tracąc jednocześnie ani trochę ostrości swego umysłu i tak stać na swym małym występie wpatrzony w ponurą otchłań ludzkiej ciemnoty – wiemy, że nic nie wiemy, a morze pożera ziemię spod naszych stóp. Lecz odrzuciwszy po zejściu z konia wszystkie gesty i cały blichtr, wszystkie trofea w postaci róż i orzechów, kurczył się tak, że nie tylko sławy, ale i własnego imienia zapomniawszy zachowując jednakże w swej ponurej pustce czujność, która nie oszczędzała żadnego majaka i nie pozwalała na żadną fantazję. Wzbudzał wtedy głęboki szacunek w żonie, w Williamie Bankesie (chwilowy) i w Charlesie Tansleyu (służalczy); wywoływał współczucie i wdzięczność taką, jaką budzi widok pola białego w dno kanału, na którym siadają mewy, biją weń fale, a załogi przejeżdżających łodzi są mu wdzięczne, że stojąc samotnie wziął na siebie obowiązek wyznaczania im drogi wśród żywiołu.

– Lecz ojciec ósmiorga dzieci nie ma wyboru – mruknął pod nosem, westchnął, odwrócił się, wzniosł oczy i poszukał wzrokiem postaci żony, czytającej bajki synkowi, i nabił sobie fajkę. Odwrócił się od widoku ludzkiej ciemnoty, ludzkiego losu i morza pochłaniającego ląd spod naszych stóp, choć gdyby się nad nim skoncentrował, mógłby dojść do jakichś wniosków; poszukał ulgi w drobiazgach, tak nieważkich w porównaniu z wspaniałym tematem, leżącym przed jego oczami, że skłonny był pominąć i zlekceważyć tę pociechę, jak gdyby było wielką zbrodnią, gdy uczciwy człowiek znajduje szczęście na tym padole niedoli. Tak, to prawda, był zasadniczo szczęśliwy; miał żonę, miał dzieci; obiecał, że za sześć tygodni powie studentom z Cardiffu „trochę głupstw” o Locke’u, Hume’ie, Barkeleyu i o przyczynach Rewolucji Francuskiej.

Lecz jego wykłady i przyjemność związana z nimi, z tym, co mówił, z zapalem młodzieży, z urodą żony, z wyrazami uznania, dochodzącymi go z Swansea, Cardiffu, Exeteru, Southampton, Kidderminsteru, Oxfordu i Cambridge – wszystko to należało lekceważyć i ukryć pod zwrotem „gadanie głupstw”, bo w istocie nie dokonał tego, na co było go stać. To wszystko było tylko przebraniem, maską człowieka lękającego się przyznać do własnych myśli, człowieka, który nie mógł powiedzieć – oto jest to, co lubię, oto czym jestem; dla Williama Bankesa i Lily Briscoe, którzy nie rozumieli, do czego takie ukrywanie własnych uczuć miałoby być potrzebne,

postępowanie pana Ramsaya było jakieś żałosne i niesmaczne; dlaczego pragnął, by go stale chwalono? Dlaczego człowiek tak śmiały w myśleniu był tak nieśmiały w życiu? Jak dziwnie był godny zarazem szacunku i śmiechu.

Lily uważała, że nauczanie i wygłaszanie kazań to za dużo na jednego człowieka. (Zbierała teraz swoje rzeczy); kto jest wywyższany, ten w końcu musi upaść. Pani Ramsay zbyt łatwo dawała mu to, czego chciał. Poza tym przejście z jednego stanu w drugi musi go wytrącać z równowagi. Przychodzi od swych książek i zastaje nas, jak bawimy się i pleciemy głupstwa. – Proszę sobie wyobrazić, co to za przeskok od tego, o czym on myśli – dodała.

Zmierzał właśnie w ich stronę. Naraz zatrzymał się i stał w Zmilczeniu patrząc na morze. I znów się odwrócił i odszedł.

9

– Tak – powiedział pan Bankes idąc za nim wzrokiem.
– Straszna szkoda. (Lily mruknęła, że ją przerażał tym nagłym przechodzeniem od nastroju do nastroju). – Tak – powiedział pan Bankes, to wielka szkoda, że Ramsay nie potrafi się zachowywać tak, jak inni ludzie. – (Lubił Lily i uważał, że może z nią mówić o Ramsayu zupełnie

otwarcie). – I to jest przyczyna – ciągnął – dla której młodzież nie czytuje Carlyle’a. Tetryczny stary zrzęda, który awanturuje się, kiedy owsianka jest zimna, ma nam prawić kazania? – Taki był, twierdził pan Bankes, stosunek współczesnej młodzieży do tego pisarza. Wielka szkoda, zważywszy, że Carlyle był jednym z największych nauczycieli ludzkości. Lily powiedziała, że wstyd jej, ale nie czytała Carlyle’a od szkolnych czasów. Sądziła jednak, że lubiło się pana Ramsaya właśnie za jego przeświadczenie, że gdy zaboli go mały palec, oznacza to nadejście końca świata.

I nie to mu brała za złe, bo kto by mu się dał zwieść? Przecież zupełnie otwarcie domagał się pochwał, podziwu; jego drobne chytryści nikogo nie mogły wprowadzić w błąd. Wiodąc za nim oczami powiedziała, że nie znosi w nim jego ciasnoty, jego ślepoty.

– Chyba trochę jest hipokrytą – podsuwał pan Bankes, tak jak i ona wpatrzony w plecy pana Ramsaya i nie pamiętający w tej chwili o przyjaźni ani o Cam, która mu odmówiła kwiatka, ani o innych jego dzieciach, ani o własnym wygodnym domu, może nieco za spokojnym od czasu śmierci żony. No, miał, oczywiście, swoją pracę... Mimo wszystko chciał, by Lily przyznała mu, że Ramsay „jest chyba trochę hipokrytą”.

Lily Briscoe dalej składała swoje pędzle to podnosząc, to opuszczając wzrok. Gdy podniosła oczy – widziała pana Ramsaya idącego ku nim rozkołysanym krokiem, beztroskiego, dalekiego, nic nie pamiętającego. Czy jest

trochę hipokrytą? – zastanawiała się. Ach, nie – to najszczęśliwszy z ludzi, najuczciwszy i najlepszy (właśnie już podchodził), ale gdy opuszczała oczy, przychodziło jej na myśl, że jest egocentryczny, despotyczny i niesprawiedliwy, i dalej starała się nie patrzeć, bo tylko to pozwalało jej zachować właściwy dystans do Ramsayów w ich własnym domu. Gdy tylko spojrzeło się na nich, czuło się natychmiast nasyconą miłością atmosferę ich życia. Stanowili cząstkę nierzeczywistego, lecz przejmującego i podniecającego świata ludzi zakochanych. Niebo lgnęło do nich, ptaki śpiewały ich ustami. A co było jeszcze bardziej uderzające, gdy się tak obserwowało zbliżającego się i oddalającego pana Ramsaya, i panią Ramsay siedzącą z Jamesem w oknie, i chmurę płynącą na niebie, i zgięte drzewo, to czuło się, jak życie, złożone z drobnych wydarzeń przeżywanych jedno po drugim, staje się jednolitą, skędzierzawioną falą niosącą człowieka w górę, by nim w końcu cisnąć o brzeg.

Pan Bankes czekał, co powie Lily. Już miała się odezwać krytycznie o pani Ramsay, że też jest niepokojąca na swój sposób, arbitralna, czy coś w tym rodzaju, kiedy pan Bankes swoim zachwytem sprawił, że nie potrzebowała nic mówić. Był to rzeczywiście zachwyty, jeśli się zważy, że miał już ukończoną sześćdziesiątkę, a biały kitel naukowca, który zdawał się z nim zrosnięty, nadawał mu wygląd schludny i bezosobowy. Tak patrzeć na panią Ramsay, toż to było uniesienie, równe miłości tuzina młodych mężczyzn (choć

może pani Ramsay nigdy nie wzbudziła miłości tuzina młodych mężczyzn). To była miłość, myślała, udając, że przesuwa sztalugi, miłość czysta i wysublimowana, która nigdy nie chciała zawładnąć przedmiotem ukochania, miłość taka, jaką żywią matematycy dla swoich symboli, poeci dla swych pięknych zdań, taka, jaka powinna roztoczyć się nad całym światem i stać się udziałem ludzkości. Była tego pewna. W świecie powinna koniecznie panować taka miłość; gdyby tylko pan Bankes potrafił powiedzieć, dlaczego mu się ta kobieta tak podobała; dlaczego widok jej, gdy czytała bajkę synowi, wywierał na niego zupełnie taki sam wpływ, jak rozwiązanie problemu naukowego, dlaczego pogrążał go w kontemplacji i wzbudzał w nim takie uczucie, jakiego doznawał udowodniwszy ponad wszelką wątpliwość jakąś prawidłowość w działaniu układu naczyniowego roślin: że barbarzyństwo zostało pohamowane i panowanie chaosu ukrócone.

Taki zachwyty – bo jak inaczej można to było nazwać? – kazał Lily Briscoe zapomnieć zupełnie, co zamierzała powiedzieć. Nie było to nic ważnego, jakiś drobiazg w związku z panią Ramsay. Nie znaczył on nic wobec tego zachwyty, tego milczącego wpatrywania się; była ma za to głęboko wdzięczna, bo nic nie pocieszało jej bardziej, nie pomagało zapomnieć o komplikacjach życia i dźwigać jego ciężar, jak ta cudowna siła, ten boski dar, podobny do plamy światła słonecznego rozpostartej na podłodze, której nikt nie może zagasić.

Jakież to było krzepiące, jak wzruszające, że ludzie w ten sposób kochają, że pan Bankes takie żywi uczucia dla pani Ramsay (spojrzała na niego w zamyśleniu). Z rozmysłem zabrała się do wycierania pędzli w kawałek starej szmaty, jeden po drugim. Niech się wpatruje, ona tymczasem zerknie na swój obraz. Ta czynność fizycznie pozwoliła jej oderwać się od myśli, która otacza wszystkie kobiety; czuła, jak by i ona była chwalona.

Myślała, że się rozpłacze. Jej obraz był zły, całkiem do niczego. Oczywiście, że mogłaby go namalować inaczej: farby można było rozcieńczyć, lekko zamglić, a kształty uczynić eterycznymi; Paunceforte tak by to właśnie namalował. Ale cóż, kiedy ona widziała to inaczej. Dla niej płonął kolor stalowej konstrukcji, a światło motylego skrzydła kładło się na łukach katedry; tylko że z tego wszystkiego na jej płótnie pozostało zaledwie kilka niewyraźnych pociągnięć pędzla. Obraz ten nie zostanie nigdy zawieszony i nikt go nie będzie oglądał, W uchu brzmiał jej szept pana Tansleya: „Kobiety nie umieją malować, kobiety nie potrafią pisać... „

Przypomniała sobie teraz, co miała zamiar powiedzieć o pani Ramsay; nie pamiętała tylko, jak miała to sformułować; z pewnością była to jednak krytyczna uwaga. Któregoś wieczoru czuła się podrażniona tym jej tonem wyższości. Idąc oczami za spojrzeniem pana Bankesa pomyślała, że żadna kobieta nie potrafiłaby uwielbiać innej kobiety tak, jak on to robił; kobiety umieją tylko chronić się w takim cieniu, jaki pan Bankes

rozciągał nad nimi obydwoma. Patrząc razem z nim, pomyślała, że pani Ramsay (siedzi właśnie pochylona nad książką) należy bez wątpienia do najpiękniejszych istot ludzkich; a może i do najlepszych; jest jednak inna niż ten doskonały kształt, który Lily widzi przez okno. Ale dlaczego inna i w czym inna? – zadawała sobie pytanie zeskrobując z palety pagórki niebieskiej i zielonej farby, które teraz wydawały się jej pozbawione życia, lecz które, przysięgała sobie, jutro natchnie, zmusi do ruchu, do płynności – do posłuszeństwa jej woli. Czym się różni pani Ramsay od innych kobiet? Jaki duch ją ożywia, co stanowi tę podstawową cechę, po której można poznać na przykład, że znaleziona w rogu kanapy rękawiczka ze skreconymi palcami należy niewątpliwie do niej? Jak ptak szybka, zmierza do celu jak strzała. Jest kapryśna i rozkazująca (oczywiście Lily uświadomiła sobie, że myśli o stosunku pani Ramsay do kobiet i że sama jest dużo młodszą, nic nie znaczącą osobą, mieszkającą w okolicy Brompton Road). Otwiera okna w sypialni. Zamyka drzwi (W ten sposób próbowała w myśli wywołać obraz pani Ramsay). Zdarza jej się, że przychodzi późną nocą, zastuka lekko do sypialnego pokoju Lily, otulona w stare futro (tło do swej urody dobiera szybko, lecz dobrze) i odgrywa jakąś postać – to Charlesa Tansleya gubiącego parasol, to Carmicheale’a powłóczącego nogami i pociągającego nosem lub pana Bankesa mówiącego: „Gdzieś zaginęły sole roślinne”. Bardzo to wszystko jej zgrabnie wychodziło, nieraz nawet trochę złośliwie; a

potem, podchodząc ku oknu, przez które widać było pierwsze promienie wschodzącego słońca, udawała, że już musi iść, ale ciągle się śmiała i na pół odwrócona z intymną nutą w głosie, ciągle ze śmiechem, zaczynała nalegać, że Lily i Minta, że one wszystkie muszą wyjść za mąż, bo na całym świecie, choćby Lily miała się spotkać z nie wiem jakim sukcesem (w gruncie rzeczy panią Ramsay nic nie obchodziły jej obrazy), czy nie wiem jakie odnieść triumfy (tych ostatnich pani Ramsay prawdopodobnie miała dość w życiu), jest tak, iż niezamężna kobieta (tu lekko ujmowała Lily za rękę), niezamężna kobieta traci to, co najlepsze w życiu. W takich chwilach smutniała, zasepiała się i wracała do swego krzesła. Dom zdawał się pełen przyćmionych świateł, regularnych oddechów śpiących dzieci i nasłuchiwania pani Ramsay.

Na to Lily odpowiadała, że przecież ma ojca i dom, a nawet – tego już się nie ośmielała powiedzieć – i swoje malowanie. Lecz to wszystko wydawało się takie małe, takie dziewczęce w porównaniu z tamtym. Gdy noc dobiegała końca i biała smuga światła pojawiała się między firankami, a ptaki, zdobywając się na rozpaczliwą odwagę, od czasu do czasu ćwierkały w ogrodzie, Lily domagała się wyjątku dla siebie od tego powszechnego prawa, błagała mówiąc, że lubi samotność, lubi być sobą, że nie jest stworzona do małżeństwa. Musiała wtedy wytrzymać poważne spojrzenie tych oczu o niezrównanej głębi i prostej pewności (pani Ramsay była teraz jak

dziecko), z którą stwierdzała, że jej – kochana Lily, jej małe Brisciątko jest niemądre. Lily pamięta, że potem położyła głowę na kolanach pani Ramsay i śmiała się, śmiała się, śmiała się prawie histerycznie na myśl o tym, z jak niezmaconym spokojem pani Ramsay wyrokuje o ludzkich losach, których zupełnie nie rozumie. Siedziała taka prosta i poważna. Lily zrozumiała ją nagle – to właśnie był ten skrecony palec u rękawiczki. Do jakiegoż to sekretnego zakamarka dotarła? Podniosła oczy na panią Ramsay, która zupełnie nie zdawała sobie sprawy z przyczyn jej śmiechu; ciągle jeszcze nadawała ton rozmowie, ale już wyzbyła się całkowicie swego uporu; jego miejsce zajęło teraz coś, jak wreszcie odsłonięta przez chmury czysta przestrzeń na horyzoncie – maleńki kawałek nieba drzemiący u boku księżyca.

Czy była to mądrość? Czy była to wiedza? A może znów oszukaństwo urody, sprawiające, że wszystkie spostrzeżenia ludzkie w połowie drogi do prawdy wikłają się w złocistej sieci? A może rzeczywiście nosiła w swej piersi tajemnicę, którą, jak sądziła Lily Briscoe, ludzie muszą posiadać, by świat mógł w ogóle istnieć? Wszyscy nie mogą żyć tak bezładnie z dnia na dzień, jak to Lily robiła. Lecz jeśli są ludzie, którzy posiadają tajemnicę życia, to czy potrafią przekazać ją innym? Siedząc na podłodze jak najbliżej pani Ramsay i oplatając jej kolana, uśmiechała się na myśl, że pani Ramsay nigdy się nie dowie, dlaczego ją tak ściska; wyobrażała sobie, że w sekretnych komnatach umysłu i serca tej kobiety, której

dotykała w tej chwili, stoją – jak skarby w grobach królów – tablice ze świętym tekstem; jeśli się umie je odczytać, mogą człowieka nauczyć wszystkiego, lecz nigdy nie będą przetłumaczone i wyniesione na światło dzienne, by każdy mógł je odczytać. Jaką sztuką, znaną miłości, jakim podstępem przeniknąć do tych sekretnych komnat? Czym się posłużyć, by, jak woda wlana do dzbana i przyjmująca jego kształt, stać się tym samym, czym jest przedmiot naszego uwielbienia? Czy może tego dokonać ciało albo umysł subtelnie przenikając powikłane korytarze mózgu? Albo może serce? Czy miłowanie – tak to przecież ludzie nazywają – może stopić ją i panią Ramsay w jedno? Bo nie pragnęła wiedzy, ale rzeczywistego zespolenia się; nie chciała tych wersetów na tablicach ani nic z tego, co może być napisane w jakimkolwiek znanym ludziom języku, lecz samej bliskości; ona tylko jest wiedzą, rozmyślała opierając głowę o kolana pani Ramsay.

Ale nic się nie stało. Nic! Nic! Nadal trzymała głowę opartą o kolana pani Ramsay. A przecież w sercu pani Ramsay nagromadzona była i wiedza, i mądrość. Jak więc można było dowiedzieć się czegoś o ludziach, jeśli byli tak nieprzeniknieni?! Człowiek jest jak pszczoła, która, przyciągana przez łagodne lub ostre wonie w powietrzu, niepoznawalne dla dotyku i smaku, to nawiedza kopulasty ul, to buja samotnie wśród przestworzy nad światem, by znów wrócić do uli pełnych brzęku i ruchu, do uli, które są ludźmi.

Pani Ramsay podniosła się i odeszła. Lily też wstała.

Od wielu dni słyszała wokół pani Ramsay jakiś subtelny szept, wyrazistszy od wszystkiego, co pani Ramsay mówiła; taki szept trwa koło osób, które się nam śniły.

Przez pewien czas Lily i pan Bankes patrzyli obydwój na panią Ramsay: trzymała w ręku książkę, a u jej kolan siedział James. Po chwili, gdy Lily jeszcze ciągle patrzyła, pan Bankes już przestał i nałożył okulary. Cofnął się o krok. Podniósł rękę do góry. Leciutko zmrużył swe czyste, niebieskie oczy, a Lily, wyrwana z zadumy, zobaczyła, o co mu chodziło, i drgnęła, jak pies na widok ręki wzniesionej do bicia. Porwałaby chętnie swój obraz ze sztalug, lecz powiedziała sobie: „Nie można”. Opanowała się, by wytrzymać to okropne przeżycie: ktoś obcy spoglądał na jej obraz. Lecz nie można, mówiła sobie, nie można. A jeśli już ktoś miał widzieć jej dzieło, to lepiej, żeby to był pan Bankes niż ktoś inny. Jakąż mękę przeżywała na myśl, że obce oczy zobaczą to, do czego doszła po trzydziestu trzech latach, tę sumę doświadczeń gromadzonych dzień po dniu i zmieszanych z czymś tak tajemnym, że nigdy nie była w stanie ani tego pokazać, ani o tym mówić. Jednocześnie czuła jednak wielkie podniecenie.

Wyjawszy scyzoryk z kieszeni pan Bankes z całym swym chłodnym spokojem pukał jego kościaną oprawką w płótno. Co chce wyrazić przez ten trójkątny, purpurowy kształt, o tu? – pytał. – To pani Ramsay, czytająca Jamesowi – powiedziała. Zgadywała jego zarzut, iż nikt by w tej postaci nie mógł jej poznać, ale odparła, że nie

starala się wcale o podobieństwo. A w takim razie po co wprowadziła tę figurę do obrazu? – zapytał. Rzeczywiście po co? – chyba tylko dlatego, że jeżeli w tamtym rogu dała jasną barwę, to w tym odczuwała potrzebę ciemnej. Choć to takie proste, oczywiste i banalne, pan Bankes zainteresował się. Matka i dziecko – przedmioty powszechnego szacunku, a w tym wypadku matka była ponadto sławna ze swej urody – mogą być sprowadzone do purpurowej plamy, bez uszczerbku dla ich godności.

Ten obraz nie miał wcale ich przedstawiać, powiedziała Lily. A w każdym razie nie w tym sensie, w jakim on myślał. Są przecież inne sposoby, przy pomocy których można ich uczcić – na przykład przez położenie cieni tam, a światła tu. Jeżeli już obraz musi być hołdem, co nie było dla niej wcale takie pewne – to jej hołd przybrał właśnie taką formę. Matka i dziecko zredukowane, bez żadnego dla nich uszczerbku, do roli cienia – rozważał. Zafrapowało go to. Przyjął wyjaśnienie Lily w zupełnie dobrej wierze, w sposób naukowy. Tłumaczył jej, że trudno mu to pojąć, bo wszystkie jego przyzwyczajenia szły w innym kierunku. Największy obraz, wiszący w jego salonie, bardzo ceniony przez malarzy, którzy szacowali go na sumę wyższą od tej, którą w swoim czasie zapłacił, przedstawiał kwitnące czereśnie nad rzeką Kennet. Nad jej brzegami spędził swój miodowy miesiąc. Lily musi go odwiedzić i zobaczyć ten obraz. Zwrócił znów wzrok ku jej płótnu i poddał je naukowym oględzinom. Skoro chodzi tu o problem stosunku brył,

świateł i cieni, nad którym, uczciwie mówiąc, nigdy się dotąd nie zastanawiał, to pragnąłby bardzo, by mu wytłumaczyła – co chciała tu osiągnąć? I wskazał na roztaczający się przed nimi widok. Lily nie potrafiła mu pokazać, do czego zmierzała, nie widziała nawet tego sama, kiedy nie miała pędzla w ręku. Stała na nowo w swej zwykłej pozycji do malowania z niewidzącymi światła oczyma i roztargnieniem w całej postaci, podporządkowując wszystkie swoje kobiece doznania władzy czegoś bardziej ogólnego; raz jeszcze uległa sile swojej pierwotnej, tak wyraźnej kiedyś wizji, której musiała teraz po omacku szukać wśród żywopłotów, domów, matek i dzieci. Chodziło o to – przypominała sobie – jak powiązać tę bryłę z prawej strony z tą z lewej. Mogła to zrobić malując gałąź w poprzek obrazu lub też umieszczając w pustym miejscu na pierwszym planie jakiś przedmiot (a może Jamesa) – ot tak. Lecz istniało niebezpieczeństwo, że jeśli to zrobi, to zepsuje harmonię obrazu. Zatrzymała się, nie chcąc go nudzić więcej, i zdjęła lekko płótno ze sztalug.

Lecz obraz już został, obejrzany, już przestał być jej wyłączną własnością. Tego człowieka połączyło z nią coś głęboko intymnego. Poczwała wdzięczność dla pana Ramsaya i pani Ramsay, i tego miejsca, i tej godziny, które nadały światu moc, jakiej istnienia nie podejrzewała; mogła teraz wędrować przez długą galerię życia już nie samotnie, lecz ramię w ramię z kimś – było to bardzo zdumiewające i podniecające uczucie. Zasunęła haczyk

swojego pudła z farbami z o wiele większą siłą, niż była potrzebna; wydawało jej się, że obejmował na zawsze nie tylko samo pudło, lecz także trawniki, pana Bankesa i rozhukaną, rozpędzoną Cam, która właśnie koło nich przeleciała.

10

Pędząca Cam prawie że się otarła o sztalugi; nie chciała się zatrzymać dla pana Bankesa i Lily Briscoe, chociaż pan Bankes, który pragnąłby mieć córkę w jej wieku, wyciągnął do niej rękę; nie chciała się zatrzymać także i dla ojca, na którego niemal że wpadła, ani dla matki, która wołała: – Cam! Jesteś mi potrzebna na chwilę. – Ale dziewczynka leciała, jak ptak, jak kula, jak strzała. Jakimże to pragnieniem była pędzona, przez kogo wystrzelona i w jaki cel – któż mógł powiedzieć? Czy miała przed oczami wizję muszek czy taczek, czy baśniowego królestwa skrytego za dalekim krańcem żywopłotu? – rozmyślała pani Ramsay; a może pędziła tak dla samej rozkoszy biegu? Nikt tego nie wiedział. Ale kiedy pani Ramsay powtórnie zawołała: – Cam! – żywy pocisk zatrzymał się w pędzie i ociągając się zawrócił do matki zrywając po drodze listki.

O czym ona marzy, zastanawiała się pani Ramsay widząc dziewczynkę stojącą przed sobą i tak pochłoniętą

przez własne myśli, że musiała jej powtarzać dwa razy swoje polecenie: zapytaj Mildred, czy Andrew, panna Doyle i pan Rayley już wrócili? Te słowa wpadły w umysł Cam, jak w studnię o czystej, ale tak niezwykle zniekształcającej wodzie, że Bóg raczy wiedzieć, w jakiej postaci, wirując i kołując dotarły na dno dziecięcego mózgu. Jakie polecenie zaniesie Cam kucharce? Pani Ramsay miała wątpliwości. Dopiero po dłuższym czekaniu, kiedy już wysłuchała opowiadania dziewczynki o tym, że w kuchni jest stara kobieta z bardzo czerwonymi policzkami, która je zupę z miski, pani Ramsay doczekała się tego, że wreszcie Cam jak papuga odtworzyła monotonnym, bezbarwnym głosem słowa Mildred. Przystępując z nogi na nogę dziewczynka powtórzyła: – Nie, jeszcze nie wrócili, a ja powiedziałam Ellen, żeby sprzątnęła po podwieczorku.

A więc Minta Doyle i Paul Rayley nie wrócili jeszcze. Mogło to, myślała pani Ramsay, oznaczać tylko jedno. Minta musiała albo przyjąć, albo odrzucić jego oświadczenia. Spacer po obiedzie – mimo tego, że poszedł z nimi Andrew – nie mógł oznaczać nic innego, jak tylko to, że Minta (ogromnie ją lubiła) zdecydowała się – I słusznie – przyjąć oświadczenia tego sympatycznego młodzieńca, który może nie jest szczególnie utalentowany (tu poczuła, jak ją James pociąga za spódnicę, by dalej czytała głośno o rybaku i jego żonie), ale właśnie tacy ludzie o wiele bardziej przypadali jej do serca niż ci mądrzy, piszący rozprawy, jak na przykład Charles

Tansley. Jak by nie było, do tej chwili musiało się już tam rozstrzygnąć – w tę albo w tamtą stronę.

Czytała dalej: „Następnego ranka żona rybaka zbudziła się pierwsza, o samym świcie. Jeszcze leżąc w łóżku zobaczyła, jaki świat jest piękny wokół. Jej mąż wciąż się przeciągał... „

Ale jakże mogłaby nie przyjąć go Minta? Spędzała z nim przecież całe popołudnia na spacerach, podczas gdy Andrew był zajęty łapaniem krabów; możliwe jednak, że Nancy była razem z nimi. Usiłowała przypomnieć sobie, jak wyglądali stojąc przy drzwiach hallu po obiedzie. Patrzyli na niebo zastanawiając się nad pogodą, a pani Ramsay powiedziała, by ich ośmielić i zachęcić do wspólnego spaceru (życzyła dobrze Paulowi):

– Nie ma ani chmurki na niebie w promieniu całych mil – co mały Charles Tansley, też wychodzący za nimi, przyjął z chichotem. Mając przed oczami wyobraźni to twarz Minty, to Paula, ciągle nie była pewna, czy Nancy poszła z nimi.

Czytała dalej: „Ach, żono – powiedział rybak – dlaczego mam być królem? Ja nie chcę, być królem”. „To trudno – odpowiedziała żona – jeśli ty nie chcesz, to ja chcę; idź do flądry, bo ja chcę być królem”.

– Albo wejdź do domu, albo idź sobie, Cam – powiedziała widząc, że na Cam zrobiło wrażenie tylko słowo „flądra” i że ona zaraz zacznie się kręcić i bić z Jamesem, jak zwykle. Cam popędziła jak strzała, a pani Ramsay z ulgą czytała dalej: miała z Jamesem wspólne

upodobania i było im dobrze ze sobą.

„A gdy rybak przyszedł nad morze, był już szary zmrok, a woda wzdymała się i czuć było zgnilizną. Staął nad tonią i powiedział:

*Flądro, flądro z daleka
Proszę przybądź, rybak cię czeka,
Gdyż Ilzabil, moja żona
Nie tego, co ja jest spragniona.*

– „A czegoż ona pragnie? – spytała flądra”.

A gdzie to oni mogą teraz być? . – zastanawiała się pani Ramsay, czytając i jednocześnie myśląc z zupełną łatwością, bo opowieść o rybaku i jego żonie była jak bas towarzyszący melodii i od czasu do czasu niespodziewanie wplatający się w nią. Kiedy jej powiedzą? Jeśli okaże się, że nie powzięli decyzji, to będzie musiała poważnie rozmówić się z Mintą. Minta nie może tak uganiać po całej okolicy, nawet gdyby Nancy im towarzyszyła (znów usiłowała, bezskutecznie, wyobrazić sobie ich plecy, jak schodzili ścieżką i policzyć ich). Była odpowiedzialna za Mintą przed jej rodzicami – Sową i Pogrzebaczem. Przewiska, jakie im nadała, wystrzeliły w jej pamięci podczas czytania. Sowa i Pogrzebacz – o, tak, zdenerwowaliby się, gdyby usłyszeli, a usłyszą z pewnością, że Mintę, przebywającą u Ramsayów, widziano... itd. , itd. „On nosi perukę w Izbie Gmin, a ona umiejętnie wita gości u szczytu schodów” – powtórzyła

zdanie, wyłowione z pamięci, które ułożyła dla zabawienia męża, gdy wracali z pewnego przyjęcia. Mój Boże, jak to się stało, że wydali na świat taką niepodobną do nich córkę, tę chłopakowatą Mintę z dziurami w pończochach? A w jaki sposób Minta potrafiła wytrzymać w namaszczonej atmosferze domu, w którym pokojówka skrupulatnie zbierała na śmietniczkę każdą odrobinę piasku rozsypanego przez papugę, a rozmowa sprowadzała się właściwie tylko do – może i ciekawych, ale ostatecznie bardzo ograniczonych – wyczynów tego ptaka? Naturalnie, zapraszało się Mintę raz na obiad, raz na podwieczorek czy kolację, a wreszcie i na dłuższy pobyt u nich w Finlay, co było przyczyną pewnych nieporozumień z mamą Sową i z kolei dalszych wizyt, dalszych rozmów i dalszego uprzątnięcia piasku; w końcu pani Ramsay naopowiadała tyle bzdur o papugach, że wystarczyłoby tego do końca życia (jak się wyraziła do męża, gdy wróciła z tego przyjęcia). Jednakże doszło do wizyty Minty. Tak, przyjechała, a pani Ramsay miała uczucie, że za jej wizytą kryło się jakieś nieprzyjemne wspomnienie; i istotnie, zastanawiając się nad tym przypomniała sobie, jak pewna kobieta miała kiedyś do niej pretensję o to, że „odebrała jej przywiązanie córki”; w tym, co jej powiedziała pani Doyle, było coś, co przypominało tamto oskarżenie. Że chce rządzić, do wszystkiego się wtrącać i zmuszać ludzi, by jej słuchali – to jej zarzucano, sądziła, że było to bardzo niesprawiedliwe. Cóż mogła na to poradzić, że „była taka

piękna”? Nikt jej nie mógł zarzucić, by się specjalnie starała wywrzeć takie wrażenie. Przecież często sama się wstydziła swego zaniedbania. A władczą ani despotyczną też nie była. Już trochę więcej prawdy tkwiło w jej stosunku do szpitala, kanalizacji i mleczarni. Tego rodzaju sprawy pobudzały ją do pasji i gdyby tylko mogła, toby chwyciła ludzi za kark i zmusiła, by ujrzeni rzeczywistość. Ani jednego szpitala na całej wyspie! Skandal! Mleko, które dostarczano ci pod drzwi w Londynie, było aż brązowe od brudu. To powinno być zabronione przez prawo. Chętnie by sama tu zorganizowała wzorową mleczarnię i szpital – ale jak tego dokonać? Mając tyle dzieci? Gdyby były starsze, to może miałyby na to czas po wakacjach.

O, ale wcale nie pragnęła, by James czy Cam byli bodaj o dzień starsi. Chciałyby, żeby te dwa szatany przewrotności i jednocześnie anioły niewinności zostały na zawsze dziećmi, by nigdy nie musiała patrzeć, jak zmieniają się w długonogie potwory. Szczęście dzieciństwa nie wraca nigdy. Gdy czytała teraz Jamesowi, że „było tam wielu żołnierzy z toporami i trąbami”, a oczy chłopca pociemniały, pomyślała, po co dzieci mają wyrastać i tracić to wszystko? A James był najbardziej utalentowany i najwrażliwszy z jej dzieci. Chociaż, myślała sobie, wszystkie były bardzo obiecujące: Prue – jest prawdziwym aniołem w stosunku do rodzeństwa, a jej piękność czasami, zwłaszcza w nocy, po prostu zapierała dech w piersiach, Andrew miał – przyznawał to nawet jej

mąż – niezwykle zdolności do matematyki; Nancy i Roger – to jeszcze dzikie istoty, cały dzień wałęsające się poza domem. Co do Rose, to choć miała zbyt duże usta, ale los obdarzył ją za to złotymi rękami. Jeśli zabawiali się szaradami z przebieraniem, Rose sporządzała stroje, robiła zresztą wszystko, a specjalnie lubiła dekorować stoły i układać kwiaty. Pani Ramsay bardzo się nie podobało, że Jasper strzelał do ptaków, no, ale to było tylko przejściowe stadium – jej inne dzieci też przechodziły przez różne okresy. Przyciskając brodę do głowy Jamesa myślała, dlaczego dzieci tak szybko rosną? Dlaczego muszą chodzić do szkoły? Chciałaby zawsze mieć przy sobie jakieś małe dziecko. Najszczęśliwsza była, gdy mogła nosić dziecko w ramionach. A ludzie mogą sobie gadać, jeśli im się podoba, że jest despotyczna i władcza, nic sobie z tego nie robi. Dotykając wargami włosów chłopca myślała, że już nigdy nie będzie taki szczęśliwy, jak teraz, lecz pohamowała tę myśl przypominając sobie, jak jej mąż złościł się, gdy robiła uwagi tego rodzaju. A jednak była to praw da. Dzieci już nigdy nie będą tak szczęśliwe jak teraz. Serwisik do herbaty za dziesięć pensów uszczęśliwił Cam na szereg dni. Codziennie rano słyszała, jak dzieci, skoro tylko się obudzą, latają z tupotem po podłodze i pieją nad jej głową. Potem zbiegały na dół napełniając korytarz wrzawą. Drzwi otwierały się gwałtownie i wchodziły, świeże jak róże, w pełni rozbudzone i tak zaciekawione, jak by to wejście do jadalni, po śniadaniu, powtarzające się przecież każdego

dnia, było jakimś istotnym wydarzeniem; i tak upływał dzień cały, aż wreszcie szła na górę, by powiedzieć im dobranoc; wiły w swych łóżeczkach gniazda niby ptaki wśród wiśni i malin, i ciągle jeszcze opowiadały sobie historyjki o różnych głupstwach – o tym, co gdzie słyszały lub co znalazły w ogrodzie. Każde z nich posiadało swoje małe skarby.

... Zeszła wtedy na dół i zapytała męża: „Dlaczego dzieci muszą dorosnąć i na zawsze tracić to wszystko? Nigdy już nie będą tak szczęśliwe”. A on się rozgniewał: „Czemu tak ponuro patrzysz na życie?” – powiedział. To nie ma sensu. Bo rzeczywiście mąż mimo ponurego usposobienia i skłonności do rozpaczania – dziwne to było, lecz prawdziwe – był szczęśliwszy i więcej na ogół żywił nadziei niż ona. Może dlatego, że nie był tak wrażliwy na ludzkie troski i zawsze mógł znaleźć ucieczkę w swej pracy. Ale ona też nie objawiała „pesymizmu”, o co mąż ją oskarżał. Tylko myślała, że... – tu stanął jej przed oczami nieduży odcinek czasu, te pięćdziesiąt lat, które miała za sobą. Stało przed nią życie. Życie... – zamyśliła się, lecz nie dokończyła swej myśli. Przyjrzała się życiu, wyraźnie rysowało się jej w tej chwili jako coś realnego, osobistego, czego nie dzieliła ani z dziećmi, ani z mężem. Zawarła z nim pakt, przy czym zawsze obydwie strony usiłowały się nawzajem przechytryć; toczyła z nim dialogi (wtedy, gdy była sama) i dochodziło nieraz do wielkich scen pojednania, lecz w większości wypadków musiała przyznać, choć

dziwiło ją to, że to, – co nazywała życiem, odczuwała jako coś strasznego, wrogiego I zawsze gotowego rzucić się na człowieka, gdy tylko dawał po temu sposobność. Istniały odwieczne problemy: cierpienie, śmierć, nędza. Zawsze się znalazła, nawet tu, jakaś kobieta umierająca na raka. A jednak umiała powiedzieć dzieciom tej kobiety: „Przetrzymacie to”. Ośmiorgu ludziom potrafiła powiedzieć coś tak okrutnego (a rachunek za ciepłarnię wyniesie pięćdziesiąt funtów). I oto powód, dla którego, wiedząc, co jej dzieci czeka – miłość, ambicja, cierpienie w samotności wśród okropnych zaułków życia – często zadawała sobie pytanie: „Dlaczego dzieci muszą dorastać i tracić to wszystko, co było treścią ich dzieciństwa?” Otrząsnęła się jednak i wymachując mieczem w stronę życia powiedziała: „Bzdura. Będą najzupełniej szczęśliwe”. I oto znów ujrzała ponure oblicze życia w tym, że nakłaniała Mintę do poślubienia Paula Rayleya, bo cokolwiek by czuła w związku z własnym paktem – a miała kiedyś przeżycia, które niekoniecznie są udziałem innych (nawet w myślach unikała wyraźnego określania ich) – to jednak była zmuszona przyznać, może nazbyt prędko, jak by to i dla niej było ucieczką, że ludzie muszą się pobierać i mieć dzieci.

A może nie miała racji? – zadała sobie pytanie analizując swoje postępowanie z ostatnich kilku tygodni i rozważając, czy rzeczywiście nie wywierała zbyt silnego nacisku na zaledwie dwudziestoczteroletnią Mintę, by powzięła decyzję. Odczuwała wątpliwości. Czyż sama nie

śmiała się z tej całej sprawy? Czy zapomina znów, jak silny wpływ wywiera na ludzi? Małżeństwo wymaga różnego rodzaju umiejętności (a rachunek za ciepłarnię wyniesie pięćdziesiąt funtów); jedna – ta, co łączy ją z mężem, a czego nie ma potrzeby nazywać po imieniu – jest szczególnie ważna. Czy między Paulem i Mintą istniała tego rodzaju więź?

„Wtedy włożył spodnie i popędził jak szalony” – czytała. „Lecz na dworze srożyła się okropna burza i wiał tak silny wiatr, że z trudem tylko utrzymywał się na nogach; domy i drzewa padały, góry drżały, czarne jak smoła niebo grzmiało i błyskało, skały toczyły się do wody, a morze wdzierało się na ląd ciemnymi, wielkimi jak kościelne wieże falami, okrytymi po wierzchu białą pianą”.

Przewróciła stronę i zobaczyła, że do końca jest już tylko parę wierszy, a więc, mimo że nadszedł czas na spanie, skończy bajkę. Robiło się późno. Powiedziało jej o tym zmierzchające się światło ogrodu; spłowiałe kolory kwiatów i szary odcień liści wzbudziły w niej uczucie niepokoju. Zrazu nie mogła dociec przyczyny tego uczucia, potem przypomniała sobie, że Paul, Minta i Andrew jeszcze nie wrócili. Znów wywołała w pamięci tę małą grupkę, stojącą na tarasie przed drzwiami do hallu i patrzącą w niebo. Andrew miał ze sobą siatkę i koszyk, co znaczyło, że zamierzał łapać kraby i inne morskie stwory i że będzie wspinał się na skały; być może zostanie odcięty przez przyływ. Gdy będą wracali gęsiego jedną z tych

wąskich ścieżek prowadzącą na szczyt skalistego brzegu, jakżeż łatwo któreś z nich – choćby właśnie Andrew – może się ześliznąć, spaść. I będzie leżał zmiażdżony na dole. Było już zupełnie ciemno.

Lecz głos jej nie zmienił się ani odrobinę, gdy kończąc bajkę zamknęła książkę i patrząc w oczy Jamesa przeczytała ostatnie zdanie, tak jak by było przez nią wymyślone: „I żyją sobie tam dotychczas”.

– To koniec – dodała i zobaczyła, że w jego oczach znikło zainteresowanie bajką, a na jego miejsce pojawiło się coś nowego, jakieś lekkie zdumienie, niby blade odbicie światła; miał wzrok taki, jak by się czemuś przyglądał i dziwił. Odwróciwszy się, objęła spojrzeniem zatokę i zobaczyła, że Latarnia Morska już się pali; rzuciła szybko dwa krótkie błyski, a potem jeden równy, długi. Wiedziała, że za chwilę chłopiec zapyta: „Czy popłyniemy do Latarni?” – A ona będzie musiała odpowiedzieć: „Nie, jutro nie; tatuś mówi, że nie”. Na szczęście wejście Mildred, która przyszła, by zabrać dzieci, skierowało ich uwagę na inne sprawy. Ale James uprowadzany przez Mildred ciągle oglądał się za siebie, a pani Ramsay była pewna, że powtarza sobie w myślach: „Nie popłyniemy do Latarni”, i że będzie to pamiętał przez całe życie.

11

Zbierając wycięte przez chłopca obrazki lodówki, kosiarki i pana w smokingu myślała, że dzieci nigdy nie zapominają. I dlatego trzeba bardzo uważać na to, co się przy nich mówi i robi; jakaż to ulga, gdy idą spać. Teraz już nie potrzebowała myśleć o nikim. Mogła być sobą i sama dla siebie. Tego właśnie często ostatnio pragnęła – móc myśleć, a nawet i nie myśleć, tylko siedzieć samej w ciszy. Świadomość istnienia i działania – pochłaniająca, błyszcząca i głośna – zniknęła, a człowiek kurczył się do własnych rozmiarów z głęboką świadomością, że jest ostrym jądrem ciemności, niewidocznym dla innych. Chociaż siedziała nadal wyprostowana i robiła na drutach, tak właśnie odczuwała siebie, a jej istota, zrzuciwszy wszelkie kępujące ją więzy, była wolna i dostępna dla najdziwniejszych przygód. Kiedy odjęty jej został na chwilę ciężar życia, możliwości doznania zdawały się nie mieć granic. I przecież chyba wszyscy muszą doświadczać tego uczucia nieograniczonych możliwości – myślała; wszyscy po kolei: ona, Lily, Augustus Carmichael czują, że nasz zewnętrzny wygląd, cechy charakterystyczne, po których się nas poznaje, to po prostu dziecięca zabawka dla oka. Pod nimi wszystko jest ciemne, skłębione, nie do zgłębienia; znacie nas tylko z tego, że od czasu do czasu wypływamy na powierzchnię. Właśnie horyzonty wydawały się jej bez kresu. Miała

przed sobą wszystkie te miejsca, których nigdy nie widziała – oto równiny Indii; potem czuła, jak rozsuwa grubą skórzaną zasłonę w kościele w Rzymie. To serce ciemności, w które się człowiek zamienia, może podróżować wszędzie, bo go nikt nie jest w stanie zobaczyć. Nikt go nie może powstrzymać, myślała w uniesieniu. Oto była swoboda, spokój i najbardziej pożądana ze wszystkiego – pełnia osobowości spoczywająca na stałym gruncie. Ze swego doświadczenia wiedziała, że człowiek nigdy nie doznaje ulgi w sobie samym (tu wykonała jakiś zręczny ruch drutami), spokój przychodzi zawsze z jądra ciemności. Tracąc swoją osobowość człowiek pozbywa się zamętu, pośpiechu i podniecenia. W takich momentach spokoju i odpoczynku, momentach wieczności, gdy wszystko jasno układało się w jej głowie, z ust jej wyrывał się okrzyk triumfu nad życiem; przerywając na chwilę robotę uniosła w górę oczy, by spojrzeć na światło Latarni; długi, równy błysk, ostatni ze znaków sygnału – to był jej błysk. Będąc zawsze o tej porze w podobnym nastroju, wybierała sobie coś, na co patrzyła. Teraz był to długi, równy błysk, jej błysk. Często łapała się na tym, że gdy tak siedzi z robotą w ręku i wpatruje się w coś, stapia się z tym, na co patrzy – na przykład z tym właśnie światłem. A światło niosło z sobą parę słów, które uczepliły się jej pamięci: „Dzieci nie zapominają, dzieci nie zapominają”. Powtarzała je ciągle. A potem przyszły nowe zdania: „To się skończy, to się skończy. To nadejdzie, to nadejdzie”. A wreszcie:

„Jesteśmy w ręku Pana”. Ale natychmiast zgromiła się za to: bo czyż to były słowa? – przecież nie jej; coś ją tylko wciągnęło w pułapkę, by powiedzieć to, czego nie miała na myśli. Spojrzała znad swej roboty i spotkała trzeci błysk; wydawało się jej, że napotkała swoje własne oczy zagładające badawczo, jak to tylko ona potrafiła, w jej umysł i serce, wyplenające doszczętnie kłamstwo, które powiedziała przed chwilą, wszelkie kłamstwo. Chwaląc światło chwaliła w nim siebie, ale bez żadnej próżności, czyniła to bowiem zupełnie surowo, badawczo; była tak piękna, jak to światło. To dziwne, myślała, że gdy się przebywa w samotności, lgnie się do natury: drzew, strumieni, kwiatów, i czuje się, że one nas wyrażają, że stają się nami, że nas znają i – w pewnym sensie – są nami; ma się dla nich taką czułość, jak dla siebie samego (patrzyła na to długie, równe światło). Trzymając druty beczynnie patrzyła i patrzyła, w głębi jej umysłu z jeziora istnienia wstawiała mgła, jak oblubienica na spotkanie ukochanego.

Zastanawiała się, co ją skłoniło do powiedzenia: „Jesteśmy w ręku Pana?” Ten fałsz, który wcisnął się w prawdę, wzburzył ją i zdenerwował. Wróciła znów do roboty na drutach. Jak mógł jakiś Pan stworzyć ten świat? – pytała. Jej umysł mówił jej, że świat, nie ma sensu, że nie panuje na nim ład i sprawiedliwość, lecz cierpienie, śmierć i ubóstwo. Nie ma zdrady zbyt podłej, by świat nie potrafił jej popełnić, a szczęście jest nietrwałe – wiedziała to wszystko, wiedziała. Robiła na drutach skupiona w

sobie, z lekko zaciśniętymi wargami, a jej twarz przybrała z przyzwyczajenia wyraz takiej sztywnej surowości, że gdy mąż przechodził, uśmiechając się na myśl o tym, jak niezmiernie otyły filozof Hume ugrzązł w bagnie, zauważył natychmiast, jak surowość ta przesłaniała samą istotę jej urody. Zasmuciło go to – jej dalekość sprawiła mu ból, bo czuł, że nie potrafi jej ochronić; gdy dotarł do żywopłotu, był pogrążony w smutku. W niczym nie był w stanie jej pomóc; mógł jedynie stać z boku i przypatrywać się. W gruncie rzeczy tylko utrudniał życie. Taki był skłonny do irytacji, taki drażliwy.

Gdy była mowa o Latarni, niepotrzebnie wybuchnął. Wpatrywał się w żywopłot, w jego pogmatwany gąszcz, w jego mrok.

Zawsze tak jest, myślała pani Ramsay, że człowiek wydobywa się z samotności z ociąganiem, przy pomocy jakiegoś drobiazgu – dźwięku czy widoku. Nasłuchiwała więc teraz, lecz wokół panowała cisza; skończyła się gra w kriketa; dzieci były w kąpieli; słyszeć było tylko szum morza. Przerwała robotę; z rąk jej zwisała długa, czerwono – brązowa pończocha. Znów zwróciła uwagę na światło. Spojrzała na nie pytająco i ironicznie, bo kiedy człowiek budzi się wreszcie, wszystko naokoło jest zmienione; patrzyła na to równe, bezlitosne i obojętne światło, tak bardzo należące i nie należące do niej, na to światło, które miało ją na każde zawołanie (budziła się nocą i widziała, jak przecina ich łóżko uderzając w podłogę); gdy się tak wpatrywała oczarowana i

zahipnotyzowana, wydawało się jej, że srebrne palce światła gładzą jakieś zapieczętowane naczynie w jej mózgu, którego pęknięcie miało ją zalać powodzią rozkoszy; tak, a mimo wszystko doznała szczęścia, doskonałego, przejmującego szczęścia; światło srebrzyło teraz skłębione morze trochę jaśniej, dzień już uchodził, a fale z niebieskich stawały się cytrynowożółte, wzdymały się, łamały i rozpryskiwały na plaży; oczy miała pełne ekstazy, a fale czystej rozkoszy przenikały ją aż do głębi; czuła, że już dosyć, dosyć tego uniesienia!

Zawrócił i spojrzał na nią. Och, jakaż była piękna, nigdy jej tak pięknej sobie nie wyobrażał. Nie mógł jednak odezwać się do niej. Nie mógł przerwać jej nastroju. Bardzo pragnął pomówić z nią teraz, gdy James odszedł i była wreszcie sama. Lecz postanowił, że nie, nie będzie jej przeszkadzał. Tak była niedosiężna w swym pięknie, w swym smutku. Zostawi ją w spokoju. Minał ją w milczeniu, choć bolało go, że była taka daleka, że nie mógł jej dosięgnąć, że nie mógł jej w niczym pomóc. I byłby odszedł bez słowa, gdyby nie to, że właśnie w tej chwili postanowiła dać mu – z własnej woli – to, o co by nigdy sam nie poprosił; zawołała do niego i zdjawszy zielony szal z ram obrazu, ruszyła w jego stronę. Wiedziała, że pragnie ją chronić.

Owinęła zielony szal dookoła ramion i wzięła męża pod rękę. Tak jest piękny, tak okropnie przystojny – zaczęła mówić o ogrodniku Kennedy’ m – że nie potrafi go odprawić. Oparta o cieplarnię stała drabinka; tu i ówdzie było widać poprzyklepane małe bryłki kitu, bo już zaczęto naprawiać dach. Spacerując teraz z mężem pojęła nagle, skąd się brało to szczególne źródło jej niepokoju. Już miała powiedzieć, że: „To będzie kosztowało pięćdziesiąt funtów”, ale nie stało jej odwagi, by poruszyć sprawę pieniędzy; zauważyła zamiast tego, że Jasper strzela do ptaków; mąż zaraz zaczął ją uspokajać, że to zupełnie naturalne u chłopca w tym wieku; sądził, że Jasper wkrótce znajdzie bardziej odpowiednie rozrywki. Jakież rozsądny i sprawiedliwy był jej mąż! – Tak, każde dziecko przechodzi przez różne okresy – odrzekła – i zaczęła zastanawiać się nad daliami rosnącymi na dużej grządce i nad tym, jak to będzie z kwiatami na przyszły rok; zapytała wreszcie męża, czy słyszał, jak dzieci przezywają Charlesa Tansleya? Nazywały go „ateistą”, „małym ateistą”. – Zapewne, wzorem ogłady to on nie jest – powiedział pan Ramsay, – O, do tego mu daleko – dorzuciła.

Wyraziła przypuszczenie, że będzie chyba najlepiej pozwolić ogrodnikowi robić to, co sam uważa za potrzebne; czy jednak nie warto by wysłać mu cebulek, czy je zasadzi? – Och, on ma do napisania rozprawę – ciągnął pan Ramsay myśląc dalej o Tansleyu. – Wiem, wiem – rzekła pani Ramsay – nie potrafi mówić o niczym

innym. Wpływ czyjś tam na coś tam. – No, ale ta rozprawa, to wszystko, na co może liczyć w życiu – odparł pan Ramsay. – O, Boże, żeby się tylko nie zakochał w Prue – westchnęła pani Ramsay. Pan Ramsay oświadczył, że wydziedziczyłby córkę, gdyby wyszła za Tansleya. Wzrok miał utkwiony nie w kwiaty, o których myślała jego żona, lecz w jakiś punkt nad grządką. – Nic złego w nim nie widzę – powiedział, i już miał dodać, że w każdym razie jest to jedyny młody człowiek w Anglii, który był pełen uznania dla jego... ale urwał w pół zdania. Nie chciał znów zawracać żonie głowy swymi książkami. Opuszczając wzrok na grządkę dostrzegł, że były tam jakieś czerwone i brązowe plamy, i powiedział, że kwiaty wyglądają przecież nieźle. Na to pani Ramsay odrzekła, że te kwiaty sadziła sama. Chodzi o to, co się dzieje z cebulkami, które przysyła, czy Kennedy je sadzi? Jest okropnie leniwy, dodała, ruszając. Jeśli stała nad nim cały dzień z łopata w ręku, to coś tam w końcu zrobił. Zbliźali się właśnie do klombu knifofii. – Uczysz swoje córki przesady – odezwał się pan Ramsay strofując. Pani Ramsay na to zauważyła, że jej ciotka Camilla była dużo gorsza od niej pod tym względem. – O ile mi wiadomo, nikt twojej ciotki Camilli nie uważał za wzór cnoty – odparł pan Ramsay. – To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałam – stwierdziła pani Ramsay. – Ktoś inny jest znacznie piękniejszy – zauważył. Na co pani Ramsay oznajmiła, że Prue będzie dużo ładniejsza od niej, lecz pan Ramsay nie widział zapowiedzi tej urody. – No, to

przypatrz się jej dziś wieczór – zachęcała go. Zamilkli na chwilę. Pan Ramsay bardzo by się ucieszył, gdyby Andrew zechciał intensywniej pracować. Jeśli nie będzie się przykładał, straci wszelkie widoki na stypendium. – Wielka mi rzecz, stypendia! – rzekła pani Ramsay, a pan Ramsay pomyślał, że wyrażanie się w ten sposób o rzeczach tak poważnych, jak stypendia, nie jest zbyt mądre. Byłby bardzo dumny, gdyby Andrew uzyskał stypendium. Na to odpowiedziała, że byłaby zupełnie tak samo dumna, gdyby nie uzyskał stypendium. Nigdy się w tej sprawie nie zgadzali, ale nie miało to znaczenia. Jej się podobało, że tak wierzył w stypendia, a jemu się podobało, że taka była dumna z syna, niezależnie od tego, co robił. Nagle przypomniały jej się wąskie dróżki na skalistym brzegu.

– Musi być już całkiem późno powiedziała. – A oni jeszcze nie wrócili do domu. – Niedbałym ruchem otworzył zegarek. Okazało się, że było dopiero parę minut po siódmej. Przez chwilę nie zamykał go postanawiając, że powie jej, co czuł podczas spaceru na tarasie. Przede wszystkim, że bardzo jest nierozsądnie być tak nerwową. Andrew potrafi już sam sobie dawać radę. Następnie chciał dodać, że gdy tak spacerowali po tarasie... w tym miejscu poczuł się jakoś niezręcznie, tak jak by się wdzierał w jej samotność, dalekość i niedostępność... Nalegała jednak, by dokończył zdania. Sądziła, że chce wrócić do sprawy Latarni i przeprosić ją za to „Idź do licha”, którym ją wtedy poczęstował. Lecz nie. Nie lubił

widzieć jej smutnej. To tylko taka zaduma bez znaczenia, zaprotestowała, lekko się rumieniąc. Obydwoje poczuli się przy tym zażenowani, jak by sami nie wiedzieli, czy powinni iść dalej, czy też wracać do domu. Czytała bajkę Jamesowi, odezwała się, żeby coś powiedzieć. Tych spraw nie mogli dzielić, nie można było o nich mówić.

Dotarli do przejścia między dwiema grządkami knifofii i znów wyłoniła się Latarnia, lecz pani Ramsay powstrzymała się od spojrzenia na nią. Gdyby wiedziała, że obserwował jej zamyślenie, nigdy by tak nie siedziała. Z niechęcią myślała o wszystkim, co przypominało jej, że widziano ją, jak siedziała w zadumie. Spojrzała przez ramię w stronę miasta. Światła mrugały i drżały, jak by były kroplami srebrnej wody, zawieszonymi na wietrze, więc cała ta nędza, wszystkie te cierpienia mogą się w to zamienić, pomyślała pani Ramsay. Światła miasta, portu i łodzi rybackich zdawały się tworzyć kołyszącą się widmową sieć, zawieszoną nad miejscem, w którym coś zatoneło. Jeśli tak, pomyślał pan Ramsay, jeśli nie może dzielić jej myśli, to zajmie się własnymi sprawami. Miał ochotę dalej rozmyślać, znów przypomnieć sobie historyjkę o tym, jak Hume ugrzązł w bagnie, miał ochotę trochę się pośmiać. Lecz najpierw chciał ją przekonać, że nie miało sensu niepokoić się o syna. Gdy był w jego wieku, całymi dniami wędrował po okolicy z sucharem w kieszeni i nikt się nim nie przejmował, i nie martwił tym, czy nie spadł gdzieś ze skał. Głośno powiedział, że jeżeli pogoda się nie popsuje, to wyruszy na jednodniową

włóczęgę. Miał już całkiem dosyć Bankesa i Carmichaela. Pragnął trochę samotności. Dobrze, powiedziała pani Ramsay. Zirykowało go, że nie zaprotestowała. Wiedziała, że się nie ruszy, bo był już za stary na całodzienną wędrowkę z sucharem w kieszeni. Martwiła się o chłopców, nie o niego. Przed laty, zanim się ożenił, rozmyślał obejmując spojrzeniem zatokę, potrafił tak wędrować całymi dniami. Za całodzienny posiłek służył mu chleb i ser zjedzony w jakiejś gospodzie. Potrafił pracować bez przerwy dziesięć godzin; starowinka gospodyni zaglądała tylko od czasu do czasu i dokładała do ognia. Tam właśnie leży okolica, którą najbardziej lubi – te piaskowe pagórki, roztapiające się teraz w ciemności. Można było iść cały dzień i nie spotkać żywej duszy. Przez całe mile nie widziało się ani jednej wioski, ani jednego domu. Człowiek był zupełnie sam ze swoimi sprawami. Na małych, piaszczystych plażach, których od początku świata nie dotknęła noga ludzka, siadały jedynie foki. Czasami mu się jeszcze wydawało, że w jednym z tych małych domków, w tamtych stronach, mógłby – urwał tę myśl wzdychając. Nie miał prawa. Miał przecież ośmioro dzieci! Byłby niegodziwcem i niewdzięcznikiem, gdyby chciał cokolwiek w swym życiu odmienić. Andrew dokona więcej niż jego ojciec, a Prue – tak przecież powiedziała jego żona – wyrośnie na piękność. Jego ośmioro dzieci – to także coś znaczy. Był to dowód, że nie potępiał tak całkowicie tego biednego, małego wszechświata; w taki wieczór – myślał patrząc na ginący

w oddali krajobraz, ich wysepka na pół połknięta przez morze zdaje się przerażająco mała.

Usłyszała, jak mruknął z westchnieniem: „Biedny, maleńki światek”. Często wygłaszał takie melancholijne zdania, lecz zauważyła już dawno, że natychmiast potem humor mu się wyraźnie poprawiał. Rzucanie takich zdań było tylko zabawą – myślała, bo gdyby sama wygłosiła bodaj połowę tego co on, toby już dawno palnęła sobie w łeb.

Denerwowało ją to, więc powiedziała rzeczowo, że wieczór jest bardzo piękny. Na pół śmiejąc się, na pół skarżąc, zapytała go – zgadując, iż myśli, że napisałby lepsze książki, gdyby się nie ożenił – na co tak się uzala. Odparł, że się nie skarży. Wiedziała, że się nie skarży, że nie ma powodów, by się skarżyć. Schwycił jej rękę, podniósł do ust, ucałował tak gorąco i gwałtownie, że aż stanęły jej łzy w oczach.

Odwrócili się i ramię w ramię zaczęli iść ścieżką, przy której rosły srebrzystozielone rośliny w kształcie lanc. Jego ramię jest szczupłe i twarde, zupełnie jak ramię młodego mężczyzny, myślała pani Ramsay; cieszyło ją bardzo, że jest (jeszcze taki mocny, choć skończył już sześćdziesiątkę, i tak nieposkromiony w swym optymizmie; jakie to dziwne, że chociaż przeświadczony jest o istnieniu tylu okropności, to myśl ta nie przygnębia go, a wprost przeciwnie – dodaje otuchy. Czyż nie było to zastanawiające? Czasami wydawał jej się inaczej ukształtowany niż reszta ludzi: z urodzenia ślepy, głuchy i

niemy na pospolite sprawy, rzeczy niezwykle widział okiem orła. Jego zdolność rozumienia różnych zagadnień często ją zdumiewała. Ale czy zwrócił uwagę na kwiaty? Nie. Czy zwrócił uwagę na ten piękny widok? Nie. Czy dostrzegał bodaj urodę własnej córki, czy rozróżniał, co miał na talerzu – budyń czy rozbef? Siedział z nimi przy stole, jak osoba pogrążona we śnie. A ten zwyczaj głośnego mówienia do siebie lub recytowania poezji coraz to, niestety, się umacniał. Bywało to czasami kłopotliwe.

Biedna panna Giddings, kiedy krzyknął w jej stronę; „Piękna i dobra, chodź ze mną!” o mało się nie przewróciła ze strachu. Pani Ramsay natychmiast stanęła w myślach po jego stronie przeciwko wszelkim głupim pannom Giddings na świecie. Ścisnęła go lekko za ramię, by mu dać znać, że za prędko idą pod górę, że musi zatrzymać się na chwilę, by sprawdzić, czy kretowiska na grządce były świeże. Chyląc się ku ziemi pomyślała, że taki wielki umysł jak jego musi się różnić pod każdym względem od innych. Wszyscy wielcy ludzie, jakich kiedykolwiek znała, ciągnęła swą myśl stwierdzając jednocześnie, że widocznie musiał się tu dostać królik – byli właśnie tacy; a młodym ludziom na pewno wychodziło na dobre (choć duszna i przygnębiająca atmosfera sal wykładowych była dla niej wprost nie do zniesienia), że mogli go po prostu słuchać i oglądać. Ale jeśli się nie strzela do królików, to jak można z nimi walczyć? – zastanawiała się. Może to królik, a może kret. W każdym razie jakieś stworzenie niszczyło jej prymulki.

Spojrząwszy w górę zauważyła ponad rzadkim listowiem drzew pierwsze drgnienie mrugającej gwiazdy; zapragnęła, by mąż też spojrział na niebo, gdyż widok ten sprawił jej wielką przyjemność; powstrzymała się jednak. Nigdy na nic nie zwracał uwagi. A jeśli już odezwał się, to ograniczał się do westchnienia: „Biedny mały świeatek”.

Tym razem jednak powiedział: – Bardzo ładne – i udawał, że zachwyca się kwiatami, żeby jej zrobić przyjemność. Wiedziała jednak doskonale, że ani się nimi nie zachwyca, ani nawet nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajdują. Chciał jej po prostu zrobić przyjemność... O, czyż to nie Lily Briscoe i William Bankes przechadzają się tam? Wpatrywała się swymi krótkowzrocznymi oczyma w plecy oddalającej się pary. Rzeczywiście, to byli oni. Chyba oznaczało to, że się pobiorą. Tak, na pewno. Co za doskonały pomysł! Powinni się koniecznie pobrać!

13

Przechadzając się po trawniku z Lily Briscoe pan Bankes opowiadał jej o swej wycieczce do Amsterdamu, gdzie oglądał obrazy Rembrandta. Był też w Madrycie. Niestety, z powodu wielkiego piątku Prado było zamknięte. Zwiedził także Rzym. Czy panna Briscoe zna Rzym? O, powinna się wybrać... dałoby to jej cudowne

przeżycie – kaplica Sykstyńska, Michał Anioł; a obrazy Giotta w Padwie! Niestety jego żona od wielu lat była kiepskiego zdrowia, tak że nie mogli zbyt wiele podróżować.

Lily Briscoe widziała Brukselę; była w Paryżu, ale tylko z krótką wizytą u ciężko chorej ciotki. Była także w Dreźnie; mają tam masę obrazów, ale nie poszła ich oglądać. Może lepiej jest nie znać takich obrazów, myślała, bo jak się je ogląda, to człowiek kompletnie się zniechęca do własnej pracy. Pan Bankes był zdania, że tego rodzaju poglądy prowadzą do zbyt krańcowych wniosków. Wszyscy nie mogą być Tycjana – mi czy Darwinami, zauważył; jednocześnie powątpiewał, czy możliwy byłby Darwin i Tycjan, gdyby nie zwykli, przeciętni ludzie, tacy jak oni. Lily pragnęła powiedzieć mu jakiś komplement, coś w rodzaju: pan wcale nie jest przeciętnym człowiekiem, panie Bankes. Ale on nie pragnął komplementów (choć większość mężczyzn je lubi), więc trochę się zawstydzila swego impulsu i milczała; on tymczasem ciągnął, że to, co mówił, nie odnosiło się do obrazów. Jak by nie było, odezwała się Lily, zawsze będzie malować, bo to ją interesuje. Pan Bankes przytaknął, pewny był, że nie porzuci malarstwa. A gdy doszli do skraju murawy, zapytał, czy Lily ma trudności w znajdowaniu tematów w Londynie; w tym właśnie momencie odwrócili się i zobaczyli Ramsayów. A więc tak wygląda małżeństwo, pomyślała Lily. Mężczyzna i kobieta patrzący na dziewczynkę, która

rzuca piłkę. Taki jest sens tego, co pani Ramsay usiłowała jej powiedzieć któregoś wieczoru. I teraz miała na sobie ten zielony szal; stali z mężem blisko siebie i obserwowali Prue i Jaspera rzucających do siebie piłkę. I nagle, bez żadnej przyczyny, tak jak to się zdarza ludziom wychodzącym na przykład z kolei podziemnej lub dzwoniącym do drzwi, zstąpiło na nich coś, co zrobiło z nich symbol; gdy tak stali o zmierzchu i przypatrywali się, stanowili wcielenie małżeństwa, byli mężem i żoną. Lecz po chwili symboliczność obrazu, przerastająca same postacie, zniknęła i byli znów, tak jak w momencie spotkania, panem i panią Ramsay, obserwującymi dzieci rzucające piłkę. Ale jeszcze przez chwilę, choć pani Ramsay powitała ich swoim zwykłym uśmiechem (och, ona myśli, że my mamy zamiar się pobrać, przeleciało Lily przez głowę) i powiedziała: – Odniosłam dziś triumf – co miało znaczyć, że pan Bankes wreszcie zgodził się zjeść z nimi kolację, zamiast uciekać jak zwykle do swego mieszkania, w którym służący gotowali mu jarzyny we właściwy sposób – ale jeszcze przez chwilę doświadczała uczucia wyzwolenia, nieskrępowanej przestrzeni, oderwania się od uporządkowanego świata rzeczy, na widok wzlatującej wysoko piłki towarzyszyli jej wzrokiem, by wreszcie stracić ją z oczu i ujrzeć na niebie pierwszą, samotną gwiazdę i pierzaste gałęzie. W gasnącym świetle wydawało się, że ich koronkowe, ale astro odcinające się na tle nieba kontury, są oddzielone od siebie ogromnymi odległościami. Nagle, pędząc z

powrotem przez tę wielką przestrzeń (miało się wrażenie, że prawo ciężkości przestało działać), Prue wpadła między nich jak bomba i bardzo zręcznie złapała piłkę lewą ręką, wysoko ponad głową. Matka zapytała ją; – Czy jeszcze nie wrócili? – i nastrój prysł. Pan Ramsay mógł się teraz swobodnie i głośno pośmiać z Hume’a, którego od utonięcia w bagnie uratowała jakaś staruszka żądając jednak od niego uprzednio, by odmówił Ojczy Nasz; ubawiony tą anegdotą odszedł do swego gabinetu. Pani Ramsay, chcąc z powrotem wciągnąć Prue w krąg spraw życia rodzinnego, z którego ta wyrwała się, by bawić się piłką, zapytała:

– Czy Nancy poszła z nimi?

14

Oczywiście, że Nancy poszła z nimi, bo Minta Doyle rzuciła jej błagalne spojrzenie, gdy Nancy po obiedzie szła na poddasze, by uciec od nudy życia rodzinnego. Nancy nie wypadało odmówić, choć nie chciało jej się iść. Wcale nie chciała być wciągnięta w ich sprawy. Gdy wędrowali drogą ku brzegowi, Minta to ujmowała ją za rękę, to puszczała. Czegóż chce, zastanawiała się Nancy. Ludzie zawsze czegoś chcą; gdy Minta trzymała ją za rękę, Nancy, choć niechętnie, ujrzała cały świat rozpostarty u swych stóp; wyglądało to trochę jak

Konstantynopol widziany przez mgłę; w takich chwilach, choćby się nawet było bardzo zmęczonym, człowiek czuje się w obowiązku zapytać: Czy to jest Hagia Sofia? A tamto Złoty Róg? Więc też Nancy, trzymana za rękę przez Mintę, spytała ją, czego sobie życzy? Czy o to chodzi? Czy o tamto? I co to takiego? A z mgły wyłaniały się (Nancy patrzyła w dół na rozpostarte przed nią życie) – tu wieżyca, tam kopuła, jakieś słynne budowle, których nazw nie знаła. Lecz kiedy zbiegały z pagórka i Minta puściła jej rękę, wszystko to: kopuła, wieżyca i inne kształty wyłaniające się z mgły, wszystko to z powrotem w nią się wtopiło i zniknęło.

Minta, jak Andrew zaobserwował, była całkiem dobrym piechurem. Ubierała się o wiele rozsądniej niż większość kobiet. Nosiła bardzo krótkie spódnice, a pod nimi czarne, luźne majtki. Potrafiła wskoczyć prosto w strumień i brnąć bez wahania na drugi brzeg. Lubił jej popędliwą żywość, ale zdawał sobie sprawę, że może się kiedyś zabić w zupełnie idiotyczny sposób. Niczego się nie bała prócz byków. Na sam widok byka uciekała wymachując rękami i wrzeszcząc, czym oczywiście najłatwiej go rozdrażnić. Trzeba przyznać jednak, że wcale się tego nie wypierała. Sama mówiła, że tchórzy na widok byka. Widocznie, twierdziła, musiała być wzięta na rogi jeszcze jako niemowlę w wózku. Wcale nie zastanawiała się nad tym, co mówi i co robi. Teraz rozciągnęła się nagle na samym skraju stromego brzegu i zaczęła śpiewać:

Głupie ciele na niedzielę.

Wszyscy musieli się włączyć i śpiewać refren wykrzykując razem:

Głupie ciele na niedzielę.

– Zejdźmy na plażę – odezwał się An – drew – nim przyptyw zaleje nam dobre łowiska.

– Zejdźmy – podchwycił Paul podrywając się; gdy ześlizgiwali się na dół, cytował ustęp z przewodnika o tym, że „wyspy te cieszą się zasłużoną sławą dzięki swojemu parkowemu krajobrazowi i wielkiej obfitości interesującej flory i fauny morskiej”. Zupełnie mi się nie podoba, myślał Andrew schodząc w dół, to krzyczenie i śpiewanie „Głupie ciele na niedzielę”; zupełnie mi się nie podoba to klepanie mnie po plecach, nazywanie „staruszką”. Taki jest rezultat, gdy człowiek bierze kobiety na spacer.

Zaraz po przyjsciu na plażę rozeszli się; Andrew zdjawszy buty włożył w nie zwinięte skarpetki i ruszył w kierunku Papieskiego Nosa, a Nancy pobrodziła do swoich skał, by przeszukiwać stawki; zostawili parę zakochanych własnemu losowi. Kucnęła niziutko i dotknęła gładkich, sprężystych jak guma anemonów, przylepionych do ściany skalnej niby strzępki galarety. Pograżona w rozmyślaniu przetworzyła stawek w morze,

z piskorzy zrobiła rekiny i wieloryby i zasłoniwszy słońce ręką rzuciła wielkie chmury na ten maleńki świat; jak sam Bóg Ojciec spuściła ciemność i utrapienie na miliony nieświadomych i niewinnych istot, by potem nagle cofnąć rękę i pozwolić, by znów rozlał się blask słońca. Na płowym, porysowanym piasku pojawił się, stąpając z wysoka, fantastyczny lewiatan, ufryzowany i przybrany w rycerskie rękawice (a ona ciągle poszerzała stawek) i wśliznął się w głęboką szczelinę skalnej ściany. Pozwoliła oczom błądzić nad stawkiem i dotykać spojrzeniem falistej linii morza i nieba i chwiejących się na horyzoncie pni dymu zostawianych przez parowce; patrząc na rozrzutność, z jaką przyroda narzucała swą niepoohamowaną potęgę, to znów cofała ją nieodwracalnie – siedziała jak zahipnotyzowana; a widok ogromu i rozkwitającej w nim maleńkości (stawek znów się zmniejszył) skuwał jej ręce i nogi tak, że porażona intensywnością swych przeżyć nie mogła się poruszyć, jak by jej własne ciało, jej własne życie i życie wszystkich ludzi na świecie stało się absolutną nicością. Wsłuchana w fale, pochylona nad stawkiem, dumiała.

Andrew zawołał, że nadchodzi przypyływ, więc pobiegła na brzeg rozpryskując płytkie fale i niesiona rozpędem oraz pragnieniem gwałtownego ruchu ruszyła plażą wprost za skałę, a tam, mój Boże! stali spleceni w uścisku Paul i Minta – prawdopodobnie całując się. Była wstrząśnięta i oburzona. Nancy i Andrew włożyli w śmiertelnym milczeniu pończochy i bučki nie odzywając

się ani słowem na ten temat. W ich wzajemny stosunek wkradła się jakaś ostrość. Andrew z pretensją w głosie powiedział, że Nancy mogła go była zawołać, gdy zobaczyła tego raka, czy co tam to było. W każdym razie obydwójce uważali, że nie mają sobie nic do zarzucenia. Nie chcieli przecież, żeby się ta głupia bzdura wydarzyła. Mimo to Andrew złościło to, że Nancy jest kobietą, a Nancy – że Andrew jest mężczyzną; starannie zasznurowali buty, mocno zaciągając węzélki. Kiedy wdrapali się z powrotem na stromą ścianę skalnego brzegu, Minta wykrzyknęła nagle, że zgubiła broszkę po babce, jedyny klejnot, jaki posiadała; to była płacząca wierzba (przecież na pewno pamiętają) wysadzana perłami. Musieli ją widzieć – mówiła – a łzy strumieniem płynęły jej po policzkach: to była broszka, którą babka przypinała czepek aż do ostatniego dnia życia. A teraz ona tę broszkę zgubiła. Wolałaby raczej nie wiem co zgubić. Wróci i będzie jej szukać. Wobec tego zawrócili wszyscy. Zaczęli rozglądać się, grzebać i szperać. Szli pochyleni i odzywali się z rzadka i cierpko. Paul Rayley szukał jak opętany naokoło skały, na której siedzieli. Zawracanie głowy z tą broszką, pomyślał sobie Andrew, gdy Paul kazał mu „gruntownie przeszukać od tego do tamtego miejsca”. Przyływ szybko wzbierał. Za chwilę morze zakryje miejsce, na którym siedzieli. Nie było ani cienia nadziei, by można ją było teraz znaleźć. – Zostaniemy odcięci! – wrzasnęła Minta nagle przerażona. Jak by mogło zaistnieć takie niebezpieczeństwo! Z tym było tak

samo, jak z bykami: nie panowała zupełnie nad swoimi odruchami, myślał Andrew. Kobiety tego nie potrafią. Nieszczęsny Paul musiał ją uspokajać. Mężczyźni (Andrew i Paul stali się w jednej chwili bardzo męscy, inni niż zwykle) naradzili się krótko i zdecydowali, że wbiją kij Rayleya w miejsce, na którym siedzieli, i wrócą po odpływie. Teraz nic się więcej nie da zrobić. Jeśli broszka jest tutaj, to będzie tu także i rano – zapewniali Mintę – lecz ta popłakiwała przez całą powrotną drogę. To była broszka babki, wolałaby zgubić wszystko raczej niż tę broszkę – powtarzała, ale Nancy odniosła wrażenie, że choć może żałowała broszki, to płakała nie tylko z tego powodu. Była jeszcze jakaś inna przyczyna. Wszyscy moglibyśmy usiąść i płakać, myślała. Lecz co by mieli opłakiwać – nie wiedziała.

Minta i Paul szli przodem. Pocieszał ją mówiąc, że jest znany z tego, iż umie odnajdywać zagubione rzeczy. Raz, gdy był jeszcze młodym chłopcem, znalazł złoty zegarek. Wstanie jutro o świcie i z pewnością odnajdzie zgubę. Myślał przy tym, że będzie jeszcze zupełnie ciemno, kiedy samotnie powędruje na plażę; miało to jakieś pozory niebezpieczeństwa. Zaczął ją znów zapewniać, że broszkę odnajdzie, na co odparła, że nie chce słyszeć o tym, by miał wstawać o świcie; broszkę trzeba uważać za straconą, miała zresztą złe przeczucie, gdy ją wkładała dziś po południu. Postanowił wobec tego, że nic jej nie powie, lecz o świcie wyśliźnie się z domu, gdy wszyscy będą jeszcze spali, i jeśli nie będzie mógł odnaleźć

broszki, to pojedzie do Edynburga i kupi jej nową, jeszcze ładniejszą. Pokaże, co potrafi. Gdy weszli na szczyt pagórka, zobaczyli w dole światła miasteczka; ich błyski, niespodzianie jawiące się jeden po drugim, zwiastowały mu nadchodzące w jego życiu wydarzenia: małżeństwo, założenie domu, narodziny dzieci. Gdy zeszli na szosę, ocienioną wysokimi krzakami, zaczął znów rozmyślać nad tym, jak wejdą w krainę samotności we dwoje i będą nią kroczyli ciągle naprzód i naprzód, on zawsze prowadząc, a ona blisko u jego boku (tak jak teraz). Gdy skręcili na rozstaju dróg, uczuł z całą siłą, jak wstrząsające było jego przeżycie, i zapragnął o tym komuś powiedzieć – oczywiście, że pani Ramsay; zapierało mu dech na myśl, jak się zachował i co powiedział. Kiedy zapytał Mintę, czy zechce wyjść za niego – to był chyba najgorszy moment w jego życiu. Pójdzie wprost do pani Ramsay, bo był podświadomie przekonany, że to ona właśnie skłoniła go do tego kroku. To ona kazała mu wierzyć, że wszystko jest w jego mocy. Nikt inny nie brał go poważnie. To ona wpoila w niego przekonanie, że może dokonać, czego tylko zapragnie. Cały dzień czuł na sobie jej wzrok (choć nie odezwała się ani słówkiem), który zdawał się mówić: „Tak, będziesz umiał to zrobić. Wierzę w ciebie. Oczekuję tego od ciebie”. To ona sprawiła, że żywił te wszystkie uczucia, więc , gdy tylko wróca (szukał światła domu nad zatoką), pójdzie do niej i powie: „Zdobyłem się na to, pani Ramsay; jest to pani zasługą”. Skręciwszy w alejkę

wiodącą do domu zobaczył światła zapalające się w górnych oknach; musieli być bardzo spóźnieni, gdyż wszyscy przebierali się już do kolacji. Cały dom był teraz oświetlony. Po ciemności, w której szli, światła domu wypełniły mu oczy po brzegi, więc nie całkiem przytomny mruczał do siebie jak dziecko: – Światła, światła, światła. Nawet gdy już weszli do domu, ciągle powtarzał: – Światła, światła, światła! – rozglądając się wokół ze znieruchomiałą twarzą. – Ale, do licha – powiedział sobie sięgając ręką do krawatu – nie mogę się ośmieszyć.

15

– Tak – powiedziała Prue we właściwy sobie, rozważny sposób, odpowiadając na pytanie matki. – Wydaje mi się, że Nancy poszła z nimi.

16

– A zatem Nancy poszła z nimi – powtórzyła pani Ramsay odkładając szczotkę i biorąc grzebień do ręki. – Proszę wejść – rzekła słysząc pukanie do drzwi (weszli Jasper i Rose). Zastanawiała się, czy fakt, że Nancy poszła z nimi razem, mógł mieć jakiś wpływ na to, co się zdarzy

w czasie wyprawy. Wydawało jej się, zupełnie nie wiadomo dlaczego, że zmniejszało to niebezpieczeństwo, chociaż w gruncie rzeczy tragedia na taką skalę była przecież nieprawdopodobna. Nie mogli się przecież wszyscy utopić. I oto znów czuła się samotna w obliczu starego przeciwnika – życia.

Jasper i Rose oznajmili, że Mildred pyta się, czy ma czekać z podaniem kolacji.

– Nie czekalibyśmy nawet na królową Anglii – odpowiedziała dobitnie pani Ramsay.

– Ani na cesarzową Meksyku – dodała śmiejąc się do Jaspera; on też posiadał wadę matki, lubił przesadzać.

A jeśli Rose chce, to przez ten czas, gdy Jasper będzie niósł wiadomość do kuchni, może pomóc matce wybrać biżuterię na dzisiejszy wieczór. Gdy piętnaście osób ma zasiąść do stołu, nie można czekać z podawaniem w nieskończoność. Zaczęło ją gniewać, że nie przychodzą – to niegrzecznie z ich strony; do niepokoju o ich los dołączyła się jeszcze irytacja, że musieli się spóźnić właśnie tego wieczoru, kiedy tak chciała, by kolacja wypadła szczególnie dobrze, bo William Bankes zgodził się wreszcie zasiąść z nimi wspólnie do stołu; no i mieli dostać arcydzieło Mildred – *Boeul en Daube*. Wszystko polegało na tym, by dania były podawane natychmiast po przygotowaniu. Mięso, sosy i wino muszą być przygotowywane w ściśle określonym czasie, nie może być więc mowy o czekaniu. A oni akurat dzisiaj musieli pójść na dłuższą wyprawę i spóźnić się, tak że potrawy

trzeba było odesłać z powrotem do kuchni i odgrzewać: *Boeuf en Daube* będzie zupełnie do niczego.

Jasper podał jej naszyjnik z opali a Rose złoty łańcuszek. Co lepiej będzie wyglądać na tle czarnej sukni? No, więc który? – spytała pani Ramsay z roztargnieniem, patrząc na swoją szyję i ramiona w lustrze (lecz omijając twarz). A potem, gdy dzieci grzebały wśród jej drobiazgów, spojrzała przez okno na kruki nie mogące się zdecydować, na którym drzewie się usadowić – widok ten zawsze ją bawił. Co chwila się rozmyślały i ulatywały znów w powietrze, a to dlatego, że – jak się jej wydawało – stary kruk, ojciec stada, którego przezwała Joseph, był ptakiem o męczącym i trudnym usposobieniu. To obrzydliwe, stare ptaszysko, o na wpół łysych skrzydłach, przypominało jej zasuszonego staruszka w cylindrze, grającego na rogu, którego widziała przed jakimś szynkiem.

– Spójrzcie! – powiedziała śmiejąc się. – Joseph i Mary walczą ze sobą. – Ale znów frunęły wszystkie w górę i czarnymi skrzydłami jak szablami krajały powietrze. Ten powtarzający się ruch skrzydeł, którego nie potrafiła nigdy w zadowalający sposób opisać – zawsze fascynował ją swoją pięknnością. – Przypatrz się temu – powiedziała do Rose mając nadzieję, że jej córka dostrzeże coś jeszcze, czego ona nie zauważyła. Dzieci często dodają naszym spostrzeżeniom ostrości.

Ale który naszyjnik miała wybrać? Wszystkie *etui* w jej skrzyneczce z klejnotami były pootwierane. Czy ten złoty,

włoski, czy ten z opali przywieziony przez wuja Jamesa z Indii; a może ma włożyć ametysty?

– Same wybiercie coś, skarby moje – powiedziała pragnąc, by się szybciej zdecydowali.

Zostawiała im mimo to czas na zastanowienie; – zwłaszcza pozwalala Rose brać to ten, to ów naszyjnik i przymierzać go do czarnej sukni, bo wiedziała, że dziewczynka przepada za tym cowieczornym rytuałem. Z jakiegoś niejasnego powodu przywiązywała wielką wagę do ceremonii wybierania tego, co matka ma włożyć. Stojąc spokojnie i pozwalając dziewczynce zamknąć zatrask wybranego przez nią naszyjnika, pani Ramsay zastanawiała się nad tym i przetrząsała swoją własną przeszłość, by sięgnąć do głęboko zagrzebanego, nie dającego się wyrazić uczucia, które się ma dla własnej matki będąc w wieku Rose. Jak wszystkie uczucia w stosunku do samego siebie, tak i uczucie dla matki, myślała pani Ramsay, zostawia nam tylko smutek. Jakże niewspółmierne jest to, co można dać w zamian. To, co Rose czuła dla niej, mało miało związku z tym, czym ona naprawdę była. Rose wyrośnie i będzie cierpiała z powodu tych właśnie głębokich uczuć – snuła swą myśl pani Ramsay mówiąc jednocześnie, że jest już gotowa i mogą zejść na dół; Jasper, jako mężczyzna, powinien podać jej ramię, Rose zaś, jako dama, będzie niosła jej chusteczkę (którą uprzednio w tym celu otrzymała); no i cóż jeszcze? Ach, tak, może być zimno – więc szal. – Wybierz mi szal – powiedziała, by sprawić przyjemność

Rose, która w przyszłości z pewnością będzie cierpiała z racji swej wrażliwości. – A one – powiedziała zatrzymując się na podeście schodów – znów tu są. – Joseph usadowił się na szczycie drzewa. – Czy myślisz, że nie czują swoich skaleczeń? – zapytała Jaspera. Dlaczego strzelał do biednego, starego Josepha i Mary? Na to upomnienie chłopiec zaszurał nogami na schodach. Ale za bardzo się nie przejął, bo przecież matka nie mogła wiedzieć, na czym polega przyjemność strzelania do ptaków, które i tak niewiele sobie z tego robią. Mimo że matka żyła w innym kręgu świata, lubił jej opowiadania o Mary i Josephie – rozśmieszały go. Ale skąd wiedziała, że te ptaki to właśnie Mary i Joseph? Czy rzeczywiście myśli, że te same ptaki przylatują co wieczór na te same drzewa? – spytał. Lecz ona nagle, zwyczajem dorosłych ludzi, zupełnie przestała nań zwracać uwagę. Nasłuchiwała hałasu w hallu.

– Wrócili! – wykrzyknęła. Lecz uczucie ulgi natychmiast zamieniło się w wielką irytację. Z kolei zaczęła się zastanawiać, czy już do tego doszło. Zejdzie po prostu na dół i sami jej powiedzą, lecz... nie! Przecież przy ludziach nie będą mogli tego zrobić. Musi więc zejść do jadalni, zasiąść do stołu, i czekać. I jak królowa, która, stwierdziwszy, że jej dwór zebrał się w sali, spogląda nań najpierw z góry, a następnie schodzi pomiędzy swych dworzan przyjmując w milczeniu oznaki przywiązania i czołobitności (Paulowi, patrzącemu wprost przed siebie, nie drgnął ani jeden muskuł, gdy go mijała), zeszła na dół

i ruszyła przez hall, lekko skłoniwszy głową, jak by w ten sposób przyjmowała hołd złożony jej piękności, którego nie mogli przecież wyrazić w słowach.

Zatrzymała się jednak. Czuć było woń spalenizny. Czyżby kucharka dopuściła do tego, by *Boeuf en Daube* przypalił się? Nie daj, Boże, pomyślała w chwili, gdy gong uroczyście i oficjalnie dał znak, że cały dom ma się zebrać: z mansard, z sypialń, ze wszystkich kącików, w których czytano, pisano, dopinano suknie i ubrania i kończono. toalety; że wszyscy mają porzucić swe zajęcia – poukładać drobiazgi na umywalniach i toaletach, odłożyć czytane powieści i w tajemnicy pisane pamiętniki i zebrać się w stołowym na kolację.

17

– Co ja zrobiłam z moim życiem? – zastanawiała się pani Ramsay, zajmując miejsce u szczytu stołu i patrząc jednocześnie na białe krążki talerzy. – Williamie – powiedziała – siądź przy mnie. A Lily – ciągnęła zmęczonym głosem – o, tam. – Paul Rayley i Minta Doyle znaleźli swoją miłość, a ona miała tylko nieskończenie długi stół z talerzami i nożami. U przeciwnego końca stołu siedział jej mąż, zatopiony w sobie, zmarszczony. Z jakiego powodu? Nie wiedziała. I było jej to obojętne. Nie rozumiała, jak mogła kiedykolwiek żywić dla niego jakieś uczucie, choćby tylko przywiązanie.

Nalewając zupę na talerze miała wrażenie, że znajduje się poza wszystkim, przeżyła wszystko, i z niczym nie jest już związana; życie to wir – można być wewnątrz niego i można być poza nim; ona już była poza nim. Wszystko się skończyło, myślała, gdy domownicy i goście wchodzili jeden za drugim do jadalni. – Panie Tansley, proszą, niech pan siada tam – usłyszała swój głos – a pan Carmichael... – Siadła i czekała biernie, by ktoś się do niej odezwał, by coś się stało. Ale, myślała nalewając zupę wazową łyżką, o tym się nie mówi.

Podniósłszy brwi w poczuciu sprzeczności między tym, co myślała, a tym, co robiła w tej chwili, czuła się coraz bardziej na zewnątrz wiru; zobaczyła życie w jego rzeczywistym kształcie, tak jak by padł cień i odarł wszystko z mylących barw. Rozejrzała się – pokój jadalny wyglądał przygnębiająco. Nigdzie ani śladu piękna. Powstrzymała się, by nie spojrzeć na pana Tansleya. Rozmowa się nie kleiła. Każdy siedział zajęty jedynie sobą. Cały wysiłek zbliżania ludzi, podtrzymywania konwersacji i stwarzania odpowiedniej atmosfery spoczywał na niej. Stwierdziła znów, zresztą bez żadnej pretensji, nieporadność mężczyzn; gdyby nie ona, to nikt by się tym nie zajął; potrząsnąwszy sobą niby zegarkiem, który stanął, poczuła, że wraca jej puls i zaczyna – jak w zegarku – tykać: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Wysłuchana w powtarzający się rytm, chroniła słabe jeszcze bicie tak, jak się osłania gazetą wątły płomień, by nie zgasł, by mógł się wzmocnić.

A więc zaczynajmy, postanowiła pochylając się lekko w stronę Williama Bankesa. Biedny człowiek! Bezdzienny wdowiec, spożywający samotnie swoje kolacje w wynajętym mieszkaniu. Dzisiejszy wieczór stanowił tylko wyjątek. Poczwała w sobie teraz dosyć siły, by z współczucia dla pana Bankesa podjąć swoją rolę, tak jak zmęczony majtek, który widzi, że wiatr wypełnia mu żagle, ale wcale nie ma ochoty wyruszać dalej w świat i myśli tylko o tym, że gdyby statek zatonął, to wirując bezwolnie w odmętach znalazłby w końcu spoczynek na dnie morza.

– Czy znalazł pan swoje listy? Kazałam je położyć w hallu – powiedziała do Williama Bankesa.

Lily Briscoe obserwowała ją, jak odpływa do tej dziwnej, bezpańskiej krainy, do której nie można towarzyszyć ludziom! a jednak, gdy ktoś tam odchodzi, to obserwujący go, przejęci tym widokiem, nie mogą oprzeć się chęci wodzenia za nim spojrzeniem, tak jak się odprowadza wzrokiem odpływający statek aż do chwili, gdy jego żagle zatoną za horyzontem.

Jak ona staro wygląda, jaka zniszczona – myślała Lily – i jaka obca. A potem, kiedy pani Ramsay odwróciła się z uśmiechem do Williama Bankesa, to było tak, jak gdyby statek dokonał zwrotu i na jego żagle znów padło słońce. Dlaczego ona mu współczuje? – zadawała sobie pytanie Lily, ubawiona tym widokiem. Zdawało się, że pani Ramsay mówi: „Biedny William Bankes”, jak by jej własne znużenie płynęło częściowo ze współczucia dla

innych; lecz jednocześnie to współczucie pobudzało ją i przywiązywało do życia. W tym wypadku jednak źle umiejscowiła swoje współczucie, pomyślała Lily; była to jedna z jej instynktownych pomyłek, wynikająca raczej z tego, czego sama potrzebowała, niż z potrzeb innych ludzi. Nie ma potrzeby współczuć Williamowi Bankesowi – ciągnęła swą myśl – wyżywa się w swojej pracy. Nagle uświadomiła sobie z taką nieoczekiwaną radością, jak by odkryła skarb, że ona także ma swoje ulubione zajęcie. Natychmiast stanął przed nią jej obraz i pomyślała: „Tak, umieszczę drzewo głębiej pośrodku i w ten sposób pozbędę się tej fatalnej pustej przestrzeni. Tak, trzeba to koniecznie zrobić. Właśnie to tak mnie dręczyło”. Podniosła solniczkę i postawiła ją na kwiatku w deseni obrusa, ażeby pamiętać, że ma przenieść drzewo.

– Jakie to dziwne, że choć człowiek rzadko dostaje coś ciekawego z poczty, to jednak zawsze oczekuje listów – powiedział pan Bankes.

Cóż za idiotyczne głupstwa plotą, myślał Charles Tansley kładąc łyżkę dokładnie pośrodku talerza, który wymiótł dokładnie, jak gdyby postanowił sobie, pomyślała Lily (siedział naprzeciwko niej, plecami do okna, dokładnie pośrodku), że posiłki będzie zjadał do końca. Wszystko w nim odznaczało się drobiazgową koncentracją, jakąś suchością bez wdzięku. Niemniej jednak, tak to już jest, że jeśli się przyjrzeć człowiekowi, to zawsze można w nim znaleźć coś, co się podoba. Ona na przykład lubiła jego oczy: niebieskie, głęboko

osadzone, zatrważające.

– Czy pan pisuje dużo listów, panie Tansley? – spytała pani Ramsay, a Lily i w tym dopatrzyła się motywu litości, bo istotnie pani Ramsay zawsze współczuła mężczyznom, jak by byli czegoś pozbawieni przez – naturę, a nigdy kobietom, jak by one żadnego braku nie odczuwały. Pan Tansley odpowiedział krótko, że koresponduje tylko z matką, a poza tym chyba nie pisze nawet jednego listu miesięcznie.

Nie miał zamiaru wdawać się w bzdurne rozmówki, w jakie chciano go tu wciągnąć, nie chciał, by te niemądre kobiety zniżają się – w swym przekonaniu – do niego. Czytał przed kolacją u siebie w pokoju, a teraz, gdy zszedł na dół, wszystko wydało mu się niemądre, powierzchowne i nieważne. Dlaczego przebierali się do kolacji? On zszedł w swym zwykłym ubraniu. Nie miał wieczorowego stroju. Rzadko dostaje się coś ciekawego z poczty – zawsze wygłaszano tu tego rodzaju zdania i wciągano mężczyzn do podobnej rozmowy. Niewątpliwie to była prawda. Nie otrzymywali nic ciekawego jak rok długi, bo nic innego nie robili, tylko wiecznie gadali albo jedli. A winne temu były kobiety. Przy pomocy „uroku” i tych wszystkich swoich głupstw zrobiły z cywilizacji coś nieznośnego.

– Nie będzie nic z jutrzejszej wycieczki do Latarni, proszę pani – zwrócił się do pani Ramsay. Lubił ją, podziwiał; ciągle jeszcze miał w oczach robotnika przy kanalizacji, który z takim zachwytem wzniósł na nią

wzrok. Ale poczuł teraz potrzebę podkreślenia swojej męskiej stanowczości.

Mimo tych oczu, myślała Lily Briscoe, był najbardziej nieponętnym okazem, ludzkim, z jakim się kiedykolwiek spotkała; wystarczyło popatrzeć tylko na jego nos i na jego ręce. Wobec tego, co ją obchodziły jego poglądy? „Kobiety nie potrafią pisać, kobiety nie umieją malować” – jakie to miało znaczenie, skoro pochodziło od niego; na pewno sam w to nie wierzył, ale widocznie wygłaszanie takich sentencji było mu do czegoś potrzebne. Dlaczego przygniatało ją to, tak jak wiatr przygniata zboże? Dlaczego prostowała się z tego poniżenia z takim dużym i bolesnym wysiłkiem? Trzeba to namalować inaczej. Oto mam gałązkę na obrusie, oto mam mój obraz; muszę przesunąć drzewo do środka; tylko to ma dla mnie znaczenie – i nic innego. Tym się mam zajmować, mówiła sobie, zamiast wdawać się w spory i irytować; przecież jeśli chcę mieć trochę satysfakcji, to mogę pośmiać się jego kosztem?

– Och, panie Tansley – powiedziała – niech mnie pan weźmie ze sobą do Latarni. Marzę o takiej wyprawie.

Mógł łatwo zauważyć, że to było kłamstwo. Powiedziała to jedynie w tym celu, żeby mu dokuczyć – nie wiadomo z jakiej przyczyny. Śmiała się z niego. Miał na sobie swoje stare flanelowe spodnie. Innych nie posiadał. Czuł się wzburzony, odosobniony i samotny. Wiedział, że coś się kryło za jej drwiną; że wcale nie ma ochoty wybrać się z nim do Latarni; że pogardza nim tak,

jak Prue Ramsay, jak oni wszyscy zresztą. Lecz nie pozwoli, by kobiety[^] robiły z niego wariata; odwrócił się ostentacyjnie, wyjrzał przez okno i powiedział bardzo nieuprzejmym, poirytowanym głosem, że jutro będzie dla niej zbyt burzliwie, rozchorowałyby się przy takiej pogodzie.

Był zły, że sprowokowała go do tego rodzaju reakcji w obecności pani Ramsay. Chciał już być znów sam w swoim pokoju, przy pracy, wśród książek. Tam czuł się dobrze. Nie zadłużył się nigdy ani na pensa, nie kosztował nic ojca, od chwili gdy skończył piętnaście lat; pomagał nawet rodzinie ze swych oszczędności – kształcił siostrę. A jednak chciałby umieć odpowiedzieć pannie Briscoe zgrabniej, a nie tak zaraz wypalić: „Rozchorowałyby się pani!” Jakżeby chciał umieć powiedzieć pani Ramsay coś błyskotliwego, co by jej dowiodło, że wcale nie jest takim bezdusznym pedantem, za jakiego wszyscy go uważają. Odwrócił się do niej, ale pani Ramsay właśnie rozmawiała z Williamem Bankesem o ludziach, o których nigdy nie słyszał.

– Tak, zabierz to – rzuciła krótko do pokojówki przerywając rozmowę z panem Bankesem. – Będzie już z piętnaście lat – nie, dwadzieścia lat, jak ją ostatnio widziałam – powiedziała, znów się do niego zwracając, jak by nie chciała stracić ani chwili z tej rozmowy. – Dzisiaj właśnie dostał pan list od niej! A czy Carrie stale jeszcze mieszka w Marlo, w i wszystko jest bez zmian? – Pamięta, jak by to było wczoraj, jak się wybrali nad rzekę

i bardzo pomarзли. Ale jeśli Manningowie ułożyli sobie jakiś plan, to realizowali go bez względu na okoliczności. Nie zapomni nigdy, jak Herbert uderzył osę łyżeczką od herbaty. Nie zabił jej, pamiętała, jak duch przesuwał się we wspomnieniach wśród krzeseł i stołów w owym salonie na brzegu Tamizy, gdzie było jej tak strasznie zimno dwadzieścia lat temu; dziś wędrowała po nim jak duch; jakie to było dziwne, że choć ona tak się zmieniła, ów dzień przetrwał w jej pamięci przez te wszystkie lata jako wspomnienie czegoś cichego i pięknego.

– Czy to był list od samej Carrie? – spytała.

– Tak. Pisze, że budują sobie nowy pokój bilardowy – odpowiedział. – Niemożliwe! To nie do wiary! Budują pokój bilardowy. – Wydało jej się to nieprawdopodobne.

Pan Bankes nie widział w tym nic takiego dziwnego. Byli teraz bardzo zamożni. Czy ma pozdrowić Carrie od niej?

– Och, nie – powiedziała pani Ramsay, lekko się wstrząsnawszy. – Nie – powtórzyła uświadamiając sobie, że zupełnie nie pamięta tej Carrie, która buduje nowy pokój bilardowy. Ale jakie to dziwne, dodała ku rozbawieniu pana Bankesa, że oni jeszcze ciągle siedzą na starym miejscu. Zdumiewające, że oni żyli tam sobie przez te wszystkie lata, choć zniknęli zupełnie z jej pamięci – przez ten cały czas najwyżej raz o nich pomyślała. Ileż to rzeczy wydarzyło się w jej życiu od tamtego dnia. Ale chyba i Carrie Manning też jej nie wspominała. Myśl ta wydała się pani Ramsay niesmaczna

i dziwnie przykra.

– Ludzie szybko tracą ze sobą kontakt – odezwał się pan Bankes odczuwając jednakże pewne zadowolenie, że udało mu się utrzymać znajomość i z Manningami, i z Ramsayami. On sam starał się podtrzymywać kontakty z ludźmi, stwierdził w myśli, kładąc łyżkę i starannie wycierając swą gładko wygoloną twarz. Może tym właśnie różnił się od większości ludzi, że nigdy nie zamykał się w jednym kręgu. Miał przyjaciół w różnych sferach... Tu pani Ramsay musiała znów przerwać rozmowę, by powiedzieć służącej, co należy zrobić, by potrawy nie ostygły. Właśnie z powodu takich rzeczy wolał jadać obiady samotnie. Drażniły go te wszystkie przerwy w rozmowie. No, cóż, myślał, zachowując się z wyszukaną grzecznością, takie ofiary trzeba ponosić w imię przyjaźni; rozpostarł palce lewej ręki na obrusie i przyglądał się im jak mechanik patrzący na pięknie wykończone narzędzie, gotowe w każdej chwili do użytku. Dotknęłoby ją, gdyby nie przyjął zaproszenia. Ale dla niego gra nie warta była świeczki. Patrząc na swą rękę myślał, że gdyby był sam, kończyłby już kolację i mógłby za chwilę zasiać do pracy. Tak, to okropna strata czasu. Ciągłe jeszcze przychodziły do stołu spóźnione dzieci. – Chciałabym, żeby któreś z was skoczyło na górę do pokoju Rogera – powiedziała właśnie pani Ramsay. Jakie to wszystko banalne, jakie nudne, myślał, w porównaniu z jego pracą. Siedział tu bębniąc palcami po obrusie, gdy mógł być... jednym spojrzeniem ogarnął swoją pracę.

Ach, co to za straszne marnotrawstwo czasu! Choć niewątpliwie jest jedną z moich najstarszych przyjaciółek; jestem do niej bardzo przywiązany. Jednak w tej chwili jej obecność nie miała dla niego żadnego znaczenia; nawet jej uroda nie oznaczała nic; a to, że siedziała z chłopaczką przy oknie – no, to cóż! Chciał w tej chwili być tylko sam i znów wziąć się do książki. Czuł się bardzo niezręcznie, fałszywie: siedział przy boku swej przyjaciółki, a nie żywił dla niej żadnych uczuć. Rzecz w tym, że nie odpowiadało mu życie rodzinne. Przeżywał taki stan, w jakim człowiek stawia sobie pytanie – no i po co się żyje? Po co człowiek zadaje sobie tyle trudu dla podtrzymania rodzaju ludzkiego? Czyż to jest takie potrzebne? Czy jesteśmy pociągający jako gatunek? Nie tak bardzo znowu, myślał patrząc na tych nieporządných chłopaków. Jego beniaminka, Cam, była prawdopodobnie już w łóżku. Bezsensowne pytania, niepotrzebne pytania, których człowiek sobie nie zadaje, gdy jest pochłonięty pracą. Czy życie ludzkie jest tym czy tamtym? Nigdy się nie ma czasu, by o tym myśleć. A teraz właśnie stawiał sobie takie pytania, ponieważ pani Ramsay dawała polecenia służbie, no i dlatego, że zastanawiając się nad jej zdziwieniem, gdy wspomniał, że Carrie Manning jeszcze żyje, doszedł do wniosku, iż najlepsze nawet przyjaźnie są bardzo kruche. Ludzie się rozchodzą. Znów zaczął robić sobie wyrzuty. Siedział koło pani Ramsay i nic nie miał jej właściwie do powiedzenia.

– Bardzo przepraszam – rzekła odwracając się w końcu

do niego. Czuł się sztywny i pusty, jak para butów, które przemiękły do cna i potem tak wyschły, że tylko z trudem można je włożyć na nogi; a jednak musi włożyć nogi w te buty – musi się zmusić do rozmowy. Jeśli nie będzie uważał, to pozna się na jego zdradzie – na tym, że nic mu na niej nie zależy; byłoby to całkiem nieprzyjemne. Pochylił więc uprzejmie głowę w jej stronę.

– Wyobrażam sobie, jak pana musi drażnić jedzenie w takim bałaganie – powiedziała uciekając się do towarzyskiej konwersacji, co zawsze robiła, gdy jej w czymś przeszkadzano. Była w tym podobna do przewodniczącego zebrania, który, chcąc doprowadzić do zgody, a widząc, że języki zaczynają nadmiernie szermować, proponuje, by wszyscy mówili po francusku. Może będą mówili kiepską francuszczyzną, może nawet w języku tym nie ma odpowiednich słów dla wyrażenia ich myśli, jednakże z natury swej mówienie po francusku narzuca pewien porządek i sposób prowadzenia dyskusji. Używając więc tego języka pan Bankes odparł: – Nie, bynajmniej. – Pan Tansley, który nie znał zupełnie francuskiego, nawet w zakresie jednosylabowych słów, od razu zaczął podejrzewać coś nieszczerego. Jakimiż bzdurami zajmują się ci Ramsayowie, pomyślał, i natychmiast postanowił, że zanotuje swoje spostrzeżenia i przeczyta je kiedyś na głos przyjaciółom. W gronie ludzi, wśród których można rozmawiać bez skrepowania, opowie ironicznie o „pobycie u Ramsayów” i o tych bzdurach, którymi się zajmowali. Warto do Ramsayów

wybrać się raz, ale nie więcej. Ich kobiety są takie nudne. Niewątpliwie Ramsay się zmarnował żeniąc się z piękną kobietą i mając z nią ośmioro dzieci – dorzuci. W tym kierunku pójdą jego uwagi; lecz w tej chwili, siedząc przy stole z pustym miejscem o, bok siebie, nie mógł znaleźć żadnego tematu do rozmowy – w głowie miał zupełny chaos. Czuł się bardzo niezręcznie i niepewnie, co się odbijało i na jego samopoczuciu fizycznym. Chciał, by mu ktoś dał sposobność do zwrócenia na siebie uwagi; pragnął tego tak usilnie, że zaczął się wiercić na krześle i rzucać spojrzenia to na tę, to na inną osobę; usiłował się włączać do rozmowy i na przemian to otwierał, to zamykał usta. Mówiono właśnie o przemyśle rybackim. Dlaczego nikt nie pytał go o zdanie? Cóż oni zresztą wiedzieli na ten temat?

Lily Briscoe знаła dobrze ten stan. Siedząc na wprost niego mogła widzieć, jak w rentgenie, co się składało na pałace pragnienie młodego człowieka, by wziąć udział w dyskusji i za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę; ten psychiczny szkielet był przesłonięty tylko cienką mgiełką konwenansu. Ale, zmrużywszy swe chińskie oczy i uprzytomniwszy sobie jego pogardę do kobiet, które „nie potrafią malować, nie umieją pisać” – zadała sobie pytanie: Dlaczegoż miałabym mu pomagać w osiągnięciu tej satysfakcji?

Wiedziała, że istnieje kodeks dobrego zachowania się, którego (powiedzmy) siódmy artykuł głosi, że w sytuacjach tego rodzaju kobieta powinna, niezależnie od

tego, czym się zajmuje, przyjść z pomocą młodemu człowiekowi, siedzącemu naprzeciwko, tak by mógł dać folgę swojej próżności i swemu gorącemu pragnieniu błysnięcia w towarzystwie; tak jak z kolei obowiązkiem mężczyzn jest, dodawała w myślach z staropanieńską prostolinijnością, przyjść nam na ratunek, gdyby na przykład kolejka podziemna stanęła w płomieniach. Oczekiwałam wtedy, że mnie pan Tansley wybawi. Ale zobaczmy, co będzie, gdy żadne z nas nie posłucha tego kodeksu. Siedziała więc dalej bez słowa, z lekka tylko się uśmiechając.

– Chyba nie masz zamiaru wybrać się do Latarni, Lily? – spytała pani Ramsay. – Przypomnij sobie biednego pana Langleya! Dwanaście razy objechał świat naokoło, ale nigdy nie cierpiał tak na chorobę morską, jak wtedy, gdy go mój mąż zabrał do Latarni. Czy jest pan dobrym marynarzem? – zwróciła się do Charlesa Tansleya.

Pan Tansley podniósł młot do góry, zamachnął się nim potężnie w powietrzu, lecz opuszczając go, uświadomił sobie, że nie przystoi wymierzać taką bronią ciosu motylowi; powiedział więc tylko, że choroby morskiej nie miewa. Ale to jedno zdanie miało w sobie siłę dynamitu; oznaczało, że jego dziadek był rybakiem, a ojciec – aptekarzem; że sam sobie torował drogę przez życie, że był z tego dumny i że był Charlesem Tansleyem – z czego tu nikt sobie chyba nie zdawał sprawy; ale jeszcze kiedyś wszyscy będą znali to nazwisko. Nachmurzony spoglądał przed siebie. Po prostu litość budzili w nim ci słabi,

zniewieściali ludzie, których wysadzi w powietrze – jak bale wełny czy beczułki jabłek – ten dynamit, który jest w nim.

– Weźmie mnie pan ze sobą, panie Tansley? – spytała szybko i pocziwie Lily, bo pani Ramsay powiedziała jej oczami: „Topią się, kochanie, w morzu ognia. Jeżeli nie wylejesz zaraz oliwy na wzburzone fale i nie powiesz czegoś miłego temu młodemu człowiekowi, to rozbijemy się o skały – już nawet słyszę trzask i łomot. Moje nerwy są naprężone jak struny skrzypiec. Jeszcze jedno dotknięcie – i pękną.” Więc Lily Briscoe po raz sto pięćdziesiąty musiała zrezygnować z próby przekonania się, co by się stało, gdyby nie była miła dla tego młodego człowieka – i być miłą.

Wyczuwszy trafnie odmianę w jej nastroju – była teraz przyjaźnie usposobiona dla niego – Charles Tansley wyzwolił się ze swego egotyzmu i opowiedział jej, jak będąc dzieckiem wypadł z łodzi; jak ojciec wyłowił go bosakiem, a on w ten sposób nauczył się pływać. Jeden z jego wujów był latarnikiem na którejś ze skał szkockiego wybrzeża. Przeżył w jego latarni sztorm. Wszystko to zostało powiedziane głośno w czasie chwilowej przerwy w konwersacji. Musieli go wysłuchać. Ach, pomyślała sobie Lily Briscoe, gdy rozmowa przyjęła ten pomyślny obrót i wyczuła wdzięczność pani Ramsay (gdyż pani Ramsay mogła znów porozmawiać o tym, co ją interesowało) – ach, i czegoż bym ja dla ciebie nie zrobiła? Ale nie była szczerą.

Dokonała po prostu zwykłej swojej sztuczki – była miła. Nigdy go przecież naprawdę nie pozna – ani on jej. Między większością ludzi stosunki tak właśnie się układają, myślała, a już między mężczyznami (może z wyjątkiem pana Bankesa) i kobietami są szczególnie złe. Z reguły tkwi w nich jakaś głęboka nieszczerłość. W tej chwili wzrok jej zatrzymał się na solniczce, którą postawiła na wzorze w obrusie, by pamiętać, że jutrzejszego ranka ma przesunąć drzewo bardziej ku środkowi obrazu; na myśl, że będzie jutro malować, wpadła w tak doskonały humor, iż zaczęła się głośno śmiać z tego, co mówił Charles Tansley. Niechże sobie opowiada choćby i całą noc, jeśli ma ochotę.

– A jak długi jest okres służby w latarni? – spytała go. Odpowiedział szczegółowo i okazało się, że jest w tych sprawach zdumiewająco dobrze zorientowany. A ponieważ był jej teraz wdzięczny, i wydawała mu się miła, zaczął się sam dobrze bawić.

Widząc to pani Ramsay pomyślała, że może wrócić do kraju marzeń, tego nierzeczywistego, lecz urzekającego salonu Manningów w Marlow sprzed lat dwudziestu, gdzie człowiek poruszał się bez pośpiechu i troski, bo nie potrzebował się martwić o przyszłość. O przeszłości ich i swojej wiedziała – wtedy wszystko. Przypominało jej to lekturę dobrej książki, której koniec jest nam znany, ponieważ cała historia wydarzyła się przed dwudziestu laty; a życie, które nawet tu, przy tym stole, pienię się w kaskadach i pędziło, Bóg raczy wiedzieć dokąd, było

wtedy zwarte i zamknięte i leżało spokojnie niby jezioro między swymi brzegami. William powiedział, że wybudowali sobie pokój bilardowy – czyż to możliwe? Czy będzie dalej opowiadał o tych Manningach? Bardzo by tego chciała. Lecz nie – z jakiegoś powodu nie miał już ochoty. Zagadnęła go, ale nie chciał już kontynuować tego tematu. Zmusić go nie mogła. Czuła się rozczarowana.

– Dzieci są nieznośne – powiedziała wzdychając. Bąknął coś o tym, że punktualność to jedna z mniej istotnych zalet, którą zdobywa się dopiero później w życiu.

– Jeśli w ogóle ją się zdobywa! – dorzuciła pani Ramsay, by coś powiedzieć; myślała jednocześnie, jak bardzo starokawalerski robi się William.

Był świadom swej zdrady i pragnienia pani Ramsay, by pomówić o czymś bardziej osobistym, lecz nie czuł się w nastroju; siedział biernie i czuł, jak go ogarnia fala zniechęcenia do życia. Może inni rozmawiali o czymś ciekawym? O czymże to mówili?

Że sezon połowu był kiepski; że mężczyźni wyjeżdżali w poszukiwaniu zarobku. Dyskutowali także o bezrobociu. A ten młody człowiek lżył rząd. William Bankes słysząc, jak nazywa coś „jednym z najskandalicześniejszych posunięć obecnego rządu”, pomyślał, że ludziom, którym prywatne życie nie daje zadowolenia, sprawia wielką ulgę, kiedy mogą się zwrócić ku sprawom publicznym.

Najpierw Lily, potem pani Ramsay, a w końcu wszyscy

zaczęli się przysłuchiwać. Lily to wkrótce znudziło – czuła, że czegoś brak w tym, co mówił Charles Tansley; podobne uczucie miał i pan Bankes; to samo wrażenie odniosła i pani Ramsay, otulająca się właśnie szalem. Wszyscy, pochyleni w stronę mówiącego, myśleli: Całe szczęście, że inni nie mogą wiedzieć, co ja sędzę na ten temat; bo każdy sądził, że wszyscy pozostali są pod silnym wrażeniem słów Tansleya, są wstrząśnięci i oburzeni na rząd z powodu rybaków i że tylko on sam nie jest w stanie się tym przejąć. Ale, kto wie, myślał pan Bankes patrząc na Charlesa Tansleya – może to jest ten właściwy człowiek, na którego wszyscy czekamy. Nigdy nie wiadomo, kiedy może pojawić się przywódca, człowiek genialny w zakresie polityki czy też w jakiejś innej dziedzinie. I prawdopodobnie taki geniusz będzie się nam, starym mamutom, bardzo nie podobał, myślał pan Bankes, usilnie starając się być jak najbardziej obiektywnymi jednocześnie dziwaczne uczucie – jak by miał napięte nerwy w grzbiecie, powiedziało mu, że jest po prostu zazdrosny trochę o siebie, a może jeszcze bardziej o swoją pracę, o swój punkt widzenia, o swój stosunek do nauki, toteż nie jest całkowicie bezstronny ani sprawiedliwy. A pan Tansley zdawał się mówić: „Zmarnowaliście swoje życie. Wszyscy jesteście w błędzie. Biedne, stare ramole, jakież beznadziejnie przestarzałe macie poglądy”. I jaki pewny swego był ten młodzian i jakie fatalne miał maniery. Pan Bankes musiał jednak przyznać, że Tansley jest odważny, zdolny i

posiada bardzo dużo wiadomości. Prawdopodobnie, myślał słuchając ataków Tansleya na rząd, w tym, co mówi, jest dużo racji.

– Niech mi pan powie... – zwrócił się do Tansleya i zaczęli się spierać na tematy polityczne; Lily patrzyła na listek w deseni obrusa. Pani Ramsay, pozostawiając toczenie sporu mężczyznom, dziwiła się, dlaczego ją ta rozmowa tak nudzi, i rzuciwszy okiem na męża, siedzącego w drugim końcu stołu, zapragnęła, by coś powiedział. Bodaj jedno słowo. Zmieniłoby to od razu sytuację. Umiał docierać do istoty zagadnienia. Sprawa – rybaków i ich zarobków leżała mu na sercu. Nie dawała mu spać po nocach. Gdy zabierał głos, wszystko wyglądało inaczej. Człowiek nie pragnął wtedy, by inni nie wiedzieli, jak mało go dana sprawa obchodzi – bo właśnie leżała mu na sercu. W tym momencie zdała sobie sprawę, że czeka na jego odezwanie się, gdyż go podziwia; wydawało się jej, jak by to ktoś inny chwalił przed nią jej męża i ich małżeństwo; przeniknęło ją uczucie wewnętrznego zadowolenia, choć przecież to ona sama tak go wynosiła. Spojrzała na niego w nadziei, że znajdzie odblask swoich zachwyków na jego twarzy – powinien wyglądać wspaniale... Ale nic podobnego! Siedział z twarzą nachmurzoną, zmarszczoną, zaczerwienioną od gniewu. Jaka była tego przyczyna? – zastanawiała się. Co się mogło stać? Tylko to, że biedny stary Augustus poprosił o jeszcze jeden talerz zupy. To było nieznośne, to było oburzające (tak należało rozumieć

znaki, które dawał jej przez stół), żeby Augustus od nowa zabierał się do zupy. Nie znosił, żeby ludzie jeszcze jedli, gdy on już skończył. Widziała w jego oczach, niby sforę psów, latające błyski gniewu, widziała jego brwi, i obawiała się, że za chwilę nastąpi gwałtowny wybuch, a wtedy... ale, dzięki Bogu, opanował się; przycisnął hamulec do koła, a całe ciało zdawało się sypać iskry – ale nie słowa. Siedział jak gradowa chmura. Pragnął, by zwróciła uwagę, że nie odezwał się ani słowem. Niechże to doceni. Ale dlaczego ostatecznie ten biedny Augustus nie miał poprosić o drugi talerz zupy? Dotknął przecież tylko ramienia El – len i powiedział:

– Ellen, proszę o drugi talerz zupy – a pan Ramsay natychmiast się nachmurzył.

A dlaczegoż by nie miał poprosić? – zadawała sobie pytanie pani Ramsay. Cóż było w tym złego, że dano jeszcze zupy Augustusowi, skoro miał na to ochotę. Zagniewana mina pana Ramsaya oznaczała, że nie znosi ludzi, którzy się objadają. Nie znosił wszystkiego, co się przeciągało godzinami, tak jak ta kolacja. Chciał jednakże, by zauważyła, że opanował się, choć widok objadającego się Augustusa był dla niego obrzydliwy. Lecz dlaczego okazał to tak wyraźnie, pytała pani Ramsay w niemej rozmowie (patrzyli na siebie poprzez stół i wymieniali pytania i odpowiedzi dobrze wiedząc, co każde myśli). Wszyscy musieli zauważyć minę jej męża. Zarówno Rose jak i Roger przyglądali się ojcu; za chwilę wybuchną spazmatycznym śmiechem, więc zwróciła się

zaraz do nich (był już najwyższy czas). – Zapalcie świece. – Natychmiast wstali i zaczęli się krzątać koło kredensu. Dlaczego nigdy nie potrafi ukryć swych uczuć? – zadawała sobie pytanie pani Ramsay; zastanawiała się, czy Augustus Carmichael zauważył tę scenę. Może zauważył, a może nie. Szanowała go za spokój i opanowanie, z jakim siedział i jadł zupę. Gdy miał ochotę na zupę, to prosił o zupę. Czy się ludzie z niego śmieli, czy na niego złościli, zawsze był taki sam. Wiedziała, że jej nie lubi, i była to jedna z przyczyn, dla których go szanowała; patrząc, jak je zupę, ogromny i spokojny w zanikającym świetle wieczora, jakiś monumentalny i kontemplacyjny, ciekawa była, co czuje teraz i dlaczego jest zawsze zadowolony i godny; taki jest też przywiązany do jej syna, woła go do swojego pokoju, by, jak Andrew mówi, „pokazywać mu różne rzeczy”. To znów wyleguje się całymi dniami na trawniku, zatopiony prawdopodobnie w rozmyślaniu o swoich wierszach, i przypomina ludziom kota czatującego na ptaki; leży całkiem spokojnie, aż nagle trzepnie łapą o łapę, znalazłszy właściwe słowo; w takich chwilach jej mąż mówi: „„Biedny, stary Augustus – on jest prawdziwym poetą”, co stanowi wielką pochwałę w jego ustach.

Zapalono osiem świec; zakołysawszy się, płomienie po chwili oświetliły całą długość stołu i stojącą na nim dużą karbowaną muszlę pełną żółto-czerwonych owoców. Jak jej się to udało? – dziwiła się pani Ramsay myśląc o Rose, która ułożyła winogrona, gruszki i banany w różowym

wnętrzu muszli w ten sposób, że całość przywodziła na myśl dar ze stołu Neptuna uczującego na dnie morza lub zwisające z ramienia Bachusa kiście owoców zmieszane z pędami winorośli (był jakiś taki obraz) na tle lamparcich skór i pochodni lejących czerwień i złoto... Rozświetlona blaskiem świec muszla nabrała wielkości i głębi, i upodobniła się do jakiegoś świata, w którym można było, ująwszy kostur, wspinać się na wzgórza lub schodzić w doliny; pani Ramsay zobaczyła ku swemu zadowoleniu (bo natychmiast stworzyło to nić sympatii między nimi), że i Augustus pasie oczy tym widokiem, że wpatrzony zrywa w wyobraźni tu kwiatek, tam pęd ozdobny, by nasycony wrócić niby pszczoła do ula. Taki był jego sposób patrzenia, inny niż jej. To, że jednocześnie patrzyli, stwarzało jednak więź między nimi.

Palily się już wszystkie świece, światłem swym zbliżając ku sobie twarze z obydwu stron stołu, uprzednio rozproszone w mroku, i tworząc z nich jedną grupę, noc została odcięta szybami okien, które nie tylko uniemożliwiały dokładne przyjrzenie się zewnętrznemu światu, lecz zniekształciły jego kształt tak dziwacznie, iż wydawało się, że wewnątrz, w pokoju, panował ład i porządek, a tam, na zewnątrz, widać było tylko jakieś odbicie rzeczywistości, w którym przedmioty drżały i znikały jak obraz odbity w wodzie.

Ten nastrój od razu udzielił się wszystkim; mieli uczucie, jak by stanowili grupę ludzi zebranych w bezpiecznym miejscu, na samotnej wyspie, złączonych

wspólnym losem i poczuciem otaczającego ich niebezpieczeństwa. Pani Ramsay, która niespokojnie czekała powrotu Paula i Minty i nie była w stanie zająć się niczym, poczuła teraz, jak jej niepokój zmienia się w zwykłe wyczekiwanie. Lada chwila muszą już nadejść.

Lily Briscoe, analizując przyczynę nagłego rozjaśnienia się twarzy pani Ramsay, porównywała jej obecny nastrój z tą chwilą na korcie tenisowym, kiedy wydawało się, że nagle przestało działać prawo grawitacji, że oddzielają ich ogromne przestrzenie; liczne świece w tym skąpo umeblowanym pokoju, o nie zasłoniętych firankami oknach, i oświetlone twarze wyglądające jak maski – dawały jej podobne wrażenie. Twarze te stały się lżejsze; czuła, że teraz wszystko może się zdarzyć. Patrząc na drzwi pani Ramsay pomyślała, że Minta Doyle i Paul Rayley zaraz się pojawiają; i rzeczywiście w następnej chwili weszli razem z pokojówką, wnosząc wielki półmisek. – Jesteśmy okropnie spóźnieni – powiedziała Minta; szybko skierowali się obydwój do swoich miejsc po przeciwnych końcach stołu.

– Zgubiłam broszkę, broszkę po babce – oświadczyła żalnym głosem, z oczami pełnymi łez; spoglądała na siedzącego przy niej pana Ramsaya tak wymownie, że jego rycerskość kazała mu z nią trochę pożartować.

Jak mogła być taką gęsią, spytał, by się wspinać po skałach w bizuterii?

Minta uważała, że pan Ramsay powinien ją trwożyć – był tak strasznie mądry. Pierwszego wieczoru po

przyjeździe, gdy ją posadzono obok niego, a on mówił o George Eliot, wystraszyła się nie na żarty, bo kiedyś zostawiła trzeci tom „Middlemarch” w pociągu i nigdy nie dowiedziała się, jak się kończy ta powieść; potem jednak znakomicie sobie z nim dawała radę i nawet udawała mniej rozgarniętą, niż była, ponieważ lubił nazywać ją głuptasem. Dziś też, choć się wyśmiewał z niej, wcale jej to nie przerażało. Ponadto, gdy tylko weszła do pokoju, poczuła, że znów zdarzył się ten cud – otaczała ją złocista mgiełka; czasami miewała ją, czasami nie. Nie wiedziała zupełnie, skąd się ten złocisty obłoczek brał ani dlaczego znikał; nie wiedziała także, czy go ma, dopóki nie weszła do pokoju i nie wyczytała tego ze spojrzeń mężczyzn. Tak, dziś była nią niewątpliwie otoczona. Widać to było po sposobie, z jakim pan Ramsay powiedział, że nie powinna być takim głuptasem. Siadła przy nim uśmiechnięta.

A więc stało się, rozmyślała pani Ramsay, zaręczyli się. Przez chwilę czuła coś, czego się już w ogóle nie spodziewała doznać w życiu – zazdrość. Bo jej mąż też wyczuł ten wewnętrzny płomień Minty; gustował w takich złotorudych, narwanych dziewczynach, mających w sobie coś z wiatru; nie wystawały przed lustrem rozczesując każdy włos z osobna i nie były takie – jak mawiał o biednej Lily Briscoe – „zasuszone”. Ma ona jakąś właściwość, której ja nie posiadam – myślała pani Ramsay – jakiś blask, jakieś bogactwo, które go pociąga, bawi i sprawia, że dziewczęta podobne do Minty stają się

jego ulubienicami. Pozwalał im przystrzygać sobie włosy, splatać dla siebie łańcuszki do zegarka, przeszkadzać w pracy, wołać do siebie (sama to słyszała): „Niech pan przyjdzie, panie Ramsay, musimy ich teraz pobić”; a on rzeczywiście wychodził z domu i grał w tenisa.

Zazdrości naprawdę nie odczuwała, chyba od czasu do czasu, gdy się zmusiła do spojrzenia w lustro i z lekką melancholią stwierdzała, że się tak postarzała z własnej, być może, winy (rachunek za cieplarnię i tego rodzaju sprawy). Odczuwała dla nich wdzięczność za to, że droczyły się z nim. („Ile pan dziś wypalił fajek, panie Ramsay?” itd.) Odmładzało go to i robiło bardzo pociągającym dla kobiet; gubił przytłaczającą go świadomość wagi swych prac, przestawał myśleć o wielkich problemach świata, o swojej sławie lub niepowodzeniach, i stawał się znów takim, jakim go poznała – surowym, lecz szarmanckim; pomógł jej wtedy wysiąść z łódki; miał właśnie takie urocze odruchy (spojrzała na niego podziwiając, jak zdumiewająco młodo wygląda, gdy się przekomarza z Mintą). Jeśli chodzi o nią... – Postaw to tutaj – zwróciła się do szwajcarskiej pokojówki i pomogła ustawić ostrożnie przed sobą duże brązowe naczynie z *Boeuf en Daube*... to lubiła tych swoich wiatrogłowów. Paul ma usiąść przy niej. Zatrzymała dla niego wolne miejsce. Nieraz myślała, że tacy ludzie byli chyba najmiłsi. Nie zameczali człowieka swoimi dysertacjami. Ileż właśnie przez to tracili w życiu ci bardzo mądrzy mężczyźni! Jacyż jałowi i nudni stawali

się w końcu. A w Paulu było coś bardzo uroczego, pomyślała, gdy siadł przy niej. Ogromnie się jej podobały jego maniery, ostro zarysowany nos i jasnoniebieskie oczy. Był taki troskliwy. Czy powie jej teraz, gdy znów wszyscy zajęli się rozmową, co zaszło między nim a Mintą?

– Wróciliśmy, by szukać broszki Minty – powiedział siadając obok niej. To „wróciliśmy” – mówiło wszystko. Po wysiłku, z jakim wymawiał to trudne słowo, i po podniesionym tonie głosu poznała, że odezwał się tak po raz pierwszy. „Zrobiliśmy to, zrobiliśmy tamto” – odtąd będą już mówili tak całe życie, myślała; właśnie Marta zdjęła z gracją pokrywkę i z wielkiego rondla wydobył się rozkoszny zapach oliwek, oliwy i sosu. Kucharka spędziła trzy dni nad tą potrawą. – Muszę wyszukać – postanowiła pani Ramsay, wetknąwszy widelec w miękką brązową masę – specjalnie delikatny kawałek – dla Williama Bankesa. Wpatrzyła się w naczynie, w jego lśniące ścianki, wśród których leżała mnogość smakowitych, brązowych i żółtych kawałków mięsiwa, zmieszanych z liśćmi bobkowymi i zalanych winem i pomyślała: To uświetni dzisiejszy dzień; wzbierało w niej coś niby kaprys, niby czułość, jakieś dziwne wzruszenie zrodzone z dwóch uczuć domagających się głosu: jednego głębokiego – bo cóż może być poważniejszego, co bardziej władczego i robiącego silniejsze wrażenie niż miłość mężczyzny do kobiety, która już w łonie swym nosi zarodek śmierci; i drugiego uczucia – by tych

kochanków, tych ludzi, wchodzących w krainę iluzji z błyszczącymi oczami, otoczyć żartobliwą atencją, ozdobić girlandami.

– To jest wprost znakomite – powiedział pan Bankes odkładając na chwilę widelec. Jadł w skupieniu – potrawa była delikatna, bogata w smaku i znakomicie ugotowana. Jak jej się udawały takie rzeczy, tu, na głębokiej prowincji? – spytał. To naprawdę nadzwyczajna kobieta. Wróciła mu cała miłość i szacunek dla niej; a ona to wyczuła.

– To francuski przepis mojej babki – powiedziała pani Ramsay z nutą wielkiego zadowolenia w głosie. Oczywiście, że to musiało być francuskie danie. To, co w Anglii uchodzi za kuchnię, jest po prostu obrzydliwością (w tym poglądzie obydwój się zgadzali). Kapustę kładzie się do wody, mięso piecze się tak długo, aż się z niego robi skóra na podeszwy, a jarzyny obiera się z delikatnych skórek. – W których – powiedział pan Bankes – zawiera się cały ich smak i wartość. – No, i jakie marnotrawstwo – dodała pani Ramsay. – Cała rodzina francuska wyżyłaby z tego, co wyrzuca angielska kucharka. – Pobudzona świadomością, że odzyskała uczucia Williama, że wszystko jest znów w porządku, że minął jej niepokój i że może na powrót swobodnie królować i stroić żarty, śmiała się i gestykulowała. Patrząc na to Lily pomyślała: Jaka ona dziecinna i absurdalna, gdy tak siedzi w na nowo zakwitłym rozbłysku swej urody i robi uwagi na temat skórek od jarzyn. Trudno się jej oprzeć. Przerazająca

kobieta – zawsze stanie się w końcu tak, jak ona chce. Jeszcze raz dopięła swego – Paul i Minta, jak się zdaje, są zaręczeni, a pan Bankes jadł z nimi kolację. Czary, którymi ich zniewala, polegają po prostu na tym, że sobie czegoś wyraźnie życzy.

Lily przeciwstawiła bogactwo wewnętrzne pani Ramsay swojemu ubóstwu: źródło tego bogactwa tkwiło w wierze (choć nie wyglądała młodo, jej twarz była promienna, pełna życia) w tę dziwną, przerażającą rzecz, która uczyniła z Paula Rayleya ośrodek wszystkiego; siedział pełen wewnętrznego dreszczu, milczący, oderwany od świata i pochłonięty sobą. Pani Ramsay, mówiąc o skórkach jarzyn, jednocześnie wznosiła to cudowne uczucie na piedestał uwielbienia, rozgrzewała nad nim ręce, by móc mu dać ochronę; a w końcu ona – za sprawą której przecież wszystko to się stało – zaśmiała się i powiodła swe ofiary do ołtarza. Lily czuła, że jest w kręgu promieniowania miłości, że i na nią spłynęło wzruszenie. Jakaż była niepozorna na tle Paula! On – płonący i rozjarzony; ona – stojąca z boku i ironiczna; on – wypływający na morze przygody; ona – na kotwicy u brzegu; on – niebacznym na nic, śmiało ruszającym naprzód; ona – samotna, nie brana w rachubę; gotowa jednak ubiegać się o udział w przedsięwzięciu, gdyby miało się ono zakończyć niepowodzeniem – jego klęską, spytała nieśmiało:

– Kiedy Minta zgubiła swą broszkę?

Przesłonięty welonem wspomnienia, zabarwiony

marzeniami, pojawił mu się na twarzy subtelny uśmiech.

– Na plaży – odpowiedział i potrząsnął głową.

– Ale ja ją znajdę – dodał. – Wstanę raniutko. – A ponieważ miało to być utrzymane w tajemnicy przed Mintą, więc zniżył głos, oczami tylko wskazując miejsce, obok pana Ramsaya, na którym siedziała roześmiana.

Chciała gwałtownie i namiętnie dać wyraz swemu pragnieniu, by mu dopomóc, widziała już w wyobraźni, jak o brzasku na plaży znajduje zgubę tkwiącą pod jakimś kamieniem, i w ten sposób włącza się w krąg podróżników – poszukiwaczy przygód. Lecz cóż jej odrzekł? Powiedziała do niego z wzruszeniem, na jakie sobie rzadko pozwalała: – Niech mi pan pozwoli pójść ze sobą – a on się roześmiał. Czy miał na myśli „tak” czy „nie” – trudno było powiedzieć. Zresztą, nie znaczenie słowa odgrywało tu rolę, tylko to dziwne parsknięcie. Możesz się nawet rzucić ze skały – miało ono oznaczać – jeśli ci się podoba; cóż mnie to obchodzi. Zionął jej w twarz samczym żarem swojej miłości, jej okrucieństwem, grozą i bezwzględnością. Sparzyło ją to; gdy spojrzała na Mintę czarującą pana Ramsaya przy drugim końcu stołu, drgnęła na myśl o tych kłach, na które tamta jest wystawiona, i poczuła wdzięczność dla losu. Mówiła sobie patrząc na solniczkę na obrusie, że w każdym razie nie potrzebuje, dzięki Bogu, wychodzić za męża, nie musi znosić tego poniżenia. Została uratowana od zgubienia swojej indywidualności. A drzewo przesunie trochę bardziej ku środkowi.

Tak, życie jest skomplikowane. Uderzało ją to zwłaszcza, kiedy odwiedzała Ramsayów. Zmagala się w niej zwykle świadomość tego, co przeżywają inni, ze świadomością tego, co ona sama czuła w danym momencie. Tak było i w tej chwili. Miłość jest taka cudowna, taka podniecająca, że drzę na jej widok i ofiaruję się, zupełnie wbrew swoim zwyczajom, szukać broszki na plaży; a jednocześnie jest to najgłupsza, najbardziej barbarzyńska z ludzkich namiętności; zamienia ona miłego, młodego człowieka o klasycznym, jak z pięknej kamei, profilu w brutala z łomem w garści (puszył się, był zuchwały). A jednak od zarania historii śpiewano ody na cześć miłości, wieńczono ją różami; dziewięć na dziesięć zapytanych osób odpowie, że niczego więcej nie pragną; kobiety jednak, jeśli ma sądzić po sobie, zawsze czują, że to nie jest to, czego chcemy, nie ma nic nudniejszego, bardziej niedojrzałego i niehumanicznego niż miłość; a jednak jest ona piękna i potrzebna. No, więc, więc? – pytała, jak by oczekując, że inni pociągną dalej te rozważania, gdyż w takim sporze nie można było samemu osiągnąć prawdy – inni musieli w tym pomóc. Znow zaczęła się przysłuchiwać, co mówiono przy stole, w nadziei, że może rzuci to trochę światła na problem miłości.

– No a jeszcze – ciągnął pan Bankes – mamy ten płyn, który Anglicy nazywają kawą.

– Och, kawa! – odezwała się pani Ramsay. Ważniejsza raczej była kwestia (Lily widziała, jak pani Ramsay jest

poruszona – mówiła z taką emfazą) pełnowartościowego masła i czystego mleka. Gorąco i wymownie opisywała braki systemu dystrybucji wyrobów mleczarskich w Anglii; rozwodziła się nad tym, w jakim stanie dostarczano mleko pod drzwi; już miała dowieść słuszności swoich zarzutów, bo знаła tę sprawę gruntownie, gdy nagle śmiech, jak ogień przeskakujący z jednej kępki chrustu na drugą, objął – zaczynając od Andrew – wszystkie jej dzieci i męża; otoczyli ją wieńcem śmiechu i zmusili do pochylenia godła bojowego na znak poddania, do porzucenia swych dział; odpłacić im za to mogła tylko przez zwrócenie uwagi pana Bankesa na ich przycinki i drwiny; jako na przykład tego, co człowiek znosi, gdy ośmieli się zaatakować przesady Brytyjskiej Opinii Publicznej.

Zauważywszy, że Lily, która dopomogła jej uprzednio, gdy chodziło o pana Tansleya, od pewnego czasu nie bierze udziału w rozmowie, wybrała ją z całego grona, by stwierdzić: – Przynajmniej Lily zgadza się ze mną. – W ten sposób, trochę zaskoczona i pomieszana (Lily ciągle jeszcze myślała o miłości), wciągnęła ją do ogólnej rozmowy. Pani Ramsay zaobserwowała, że nie tylko Lily, ale i Charles Tansley nie brał udziału w tym, co się działo wokół niego; obydwójce ginęli na tle blasku roztaczanego przez tamtych dwoje. On, to było zupełnie widoczne, czuł, że nikt się nim nie interesuje. Biedaczysko! Żadna kobieta nie spojrzy nawet na niego, gdy Paul Rayley jest w pokoju. Dobrze, że przynajmniej miał tę swoją rozprawę

na temat czyjegoś tam wpływu na coś. Zresztą umiał sobie dawać radę. Z Lily sprawa wyglądała inaczej. W zestawieniu z Mintą zupełnie blednie. W swej szarej sukience, z pomarszczoną twarzą i chińskimi oczkami staje się jeszcze bardziej niewidoczna niż zwykle. Wszystko w niej jest takie malutkie. A jednak, rozmyślała pani Ramsay, porównując ją z Mintą w momencie, gdy się do niej zwróciła o pomoc (niech Lily ją poprze, że nie mówi więcej o mleczarstwie niż jej mąż o swoich butach; o swych butach potrafił rozwodzić się godzinami), jednak po czterdziestce z nich dwóch Lily będzie się lepiej trzymała. Było w Lily coś – jakiś jej tylko właściwy rys, jakiś płomyk niezależności, który się pani Ramsay ogromnie podobał, ale lękała się, że żaden mężczyzna się na tym nie pozna. Z pewnością nie, chyba że będzie to dużo starszy mężczyzna, taki jak William Bankes. No, tylko że on interesował się, tak się jej przynajmniej czasem wydawało, nią samą, zwłaszcza od czasu śmierci żony. Nie był, oczywiście, „zakochany”, miał dla niej ten nieokreślony rodzaj sympatii, jaki spotyka się tak często. Ach, bzdura, nie ma co się nad tym zastanawiać; William powinien się ożenić z Lily. Tyle mają ze sobą wspólnego. Lily tak lubi kwiaty. Obydwoje są zimni, niezbyt towarzyscy i Samowystarczalni. Musi tak urządzić, żeby się wybrali razem na długi spacer. Dlaczegoż posadziła ich naprzeciwko siebie? Nie zastanowiła się. Jutro trzeba to będzie naprawić. Gdyby była pogoda, to warto, by wybrali się na piknik. Wydawało się jej, że może dokonać

wszystkiego; wydawało się jej, że wszystko jest tak, jak być powinno. Właśnie teraz (ale to nie może trwać, pomyślała wyłączając się na chwilę z ogólnej rozmowy o butach), właśnie teraz zdobyła poczucie bezpieczeństwa; szybowwała jak sokół zawieszony w powietrzu; lub jak sztandar unoszony falą radości i słodczy, wypełniając każdy nerw jej ciała; spojrzała na męża, dzieci i przyjaciół jedzących przy stole i poczuła, że jej nastrój wyrósł nie z hałaśliwego gwaru, lecz raczej z głębokiej, uroczystej ciszy; zajrzała w głąb naczynia z kamionki i dołożyła Williamowi Bankesowi maleńki kawałek mięsa; ciągle z niewiadomych przyczyn unosiła się nad nim jak dym, (jak opar wstawiała w górę, swoją obecnością wiążąc ich wszystkich w jedną całość. Ani nie trzeba, ani nie można było nic tu mówić. Czyż można coś dodać do pełni? Miała uczucie (jednocześnie nakładała panu Bankesowi troskliwie wybrany kawałek mięsa), że chwila ta jest częścią nieskończoności; coś podobnego przeżyła już dziś po południu przy innej okazji; istnienie, jakaś stabilizacja, jakiś trwałe związek rzeczy; jest coś nie podlegającego zmianom, co stale lśni jak rubin (spojrzała na siatkę światła odbitych w oknie) na tle rzeczy płynnych, zwiewnych, chybotliwych; po raz wtóry tego dnia doznała uczucia odprężenia i wytchnienia. Takie właśnie chwile, myślała, pozostają na zawsze w pamięci.

– O, tak – zapewniła Williama Bankesa – wystarczy dla wszystkich.

– Andrew – powiedziała – trzymaj talerz niżej, żebym

nie rozlała. (*Boeui en Daube* był rzeczywiście przepyszny). Odkładając łyżkę czuła, że znajduje się w zacisznej przestrzeni koło jądra wszystkich spraw, w której można, zależnie od woli, albo ruszać się, albo spoczywać; więc teraz mogła (wszyscy już zostali obsłużeni) czekać przysłuchując się innym lub, jak sokół spadający nagle z wysoka, zawisnąć przez moment na skrzydłach, by za chwilę zanurzyć się lekko w śmiech, skupiając swoją uwagę na tym, co przy drugim końcu stołu mówił jej mąż o kwadratowym pierwiastku z tysiąca dwustu pięćdziesięciu trzech, który dziwnym zbiegiem okoliczności dawał numer jego biletu kolejowego.

Co to wszystko znaczyło? Nigdy się w tym nie orientowała. Pierwiastek kwadratowy? Co to takiego? Jej synowie na pewno wiedzieli. W sprawach sześcianów i kwadratowych pierwiastków polegała na nich; właśnie teraz mówili o tym; a także o Wolierze i pani de Stael; o charakterze Napoleona; o francuskim prawie własności ziemi; o lordzie Rosebery; o pomnikach Creeveya; pozwalała, by ta godna podziwu osnowa męskiej inteligencji, rozpościerająca się w różnych kierunkach i ścisłymi szwami logiki wiążąca chwiejną podstawę świata, dodawała jej odwagi i podtrzymywała ją na duchu: mogła jej zaufać i ze spokojem zamknąć oczy lub zamrużyć nimi przez chwilę jak dziecko, gdy patrzy ze swej poduszki na miliony liści na drzewie. Ocknęła się. Mężczyźni dalej tkali swoją osnowę. William Bankes chwalił powieści Scotta, które czytywał w półrocznych

odstępach.

Dlaczegoż to jednak wprowadziło w taki gniew Charlesa Tansleya? Wtrącił się gwałtownie do rozmowy (tylko dlatego, myślała pani Ramsay, że Prue nie chce być dla niego miłą) i napadł na Scotta, chociaż zupełnie nic, ale to nic o nim nie wiedział; pani Ramsay nie tyle go słuchała, co obserwowała. Widziała z jego sposobu zachowania się, że usiłował przede wszystkim zwrócić na siebie uwagę; będzie to robił zawsze, dopóki nie otrzyma profesury lub nie ożeni się, bo wtedy już nie będzie potrzebował ciągle mówić: ja, ja, ja. Do tego się właściwie sprowadzały wszystkie jego zarzuty w stosunku do biednego Woliera. Ciągle to: ja, ja, ja. Z brzmienia jego głosu, z braku swobody i z napięcia, z jakim mówił, wnioskowała, że myśli o sobie i wrażeń, które wywiera. Powodzenie bardzo by mu dobrze zrobiło. Dyskusja znów się ożywiła. Mogła się zająć swoimi myślami. Oczywiście, nie będzie to trwało długo, ale na razie mogła przypatrzeć się wszystkim siedzącym przy stole i jak jasnowidz zdejmować z nich zasłony, odkrywać ich myśli i uczucia; robiła to bez wysiłku, jak blask, który tak przeświecła wodę, że wszystkie jej załamania, trzciny w niej rosnące, uwijające się płatki oraz spokojnie stojący pstrąg zostają oświetlone w momencie, gdy drżą w zawieszeniu. W ten sposób widziała i słyszała wszystkich siedzących, przy stole; to, co mówili, było w jakiś sposób podobne do ruchu pstrąga, którego się widzi jednocześnie z falowaniem wody i żwirem na dnie, z czymś po prawej

stronie i czymś po lewej – a wszystko to zamyka się w jeden obraz; kiedy indziej ona też by zapuszczała sieci i oddzielała jedną rzecz od drugiej, mówiła, że lubi powieści Scotta albo że ich nie zna, dopingowała siebie do wysiłku; lecz teraz całkowicie nie odzywała się – trwała w zawieszaniu.

– Ale jak pan myśli, czy to będzie długo trwało? – zapytał ktoś. Miała wrażenie, że posiada anteny, które z drżeniem wysunęły się teraz i odebrawszy alarmujące sygnały, zwracały na nie jej uwagę. Poczowała, że jej mężowi zagraża niebezpieczeństwo. Takie pytanie mogło łatwo sprowokować jakieś odezwanie się, które by przypomniało mu własną klęskę. Zaraz pomyśli: A jak długo będą mnie czytali? William Bankes (który był zupełnie wolny od takiej próżności) roześmiał się i powiedział, że nie przywiązuje żadnej wagi do zmian mody. Kto może powiedzieć, co będzie trwałe – w literaturze, czy zresztą w jakiegokolwiek innej dziedzinie?

– Cieszymy się tym, co się nam podoba – powiedział. Jego niezależność poglądów zachwycała panią Ramsay. Wydawało się, że nigdy nie zastanawiał się nad pytaniem: „A jak się to odbije na mnie?” Ale jeśli ktoś ma inne usposobienie, potrzebujące pochwał i zachęty, to zaraz zaczyna odczuwać niepokój (odgadywała, że w takim właśnie stanie jest jej mąż) i pragnienie, by usłyszeć: „O, ale pańskie dzieło przetrwa, panie Ramsay” lub coś w tym rodzaju. Jego podenerwowanie przebijało z tonu, jakim oświadczył, że Scott (czy może chodziło o Szekspira?)

wystarczy mu do końca życia. Wszyscy bez określonej przyczyny poczuli się jakoś niezręcznie. Minta Doyle, obdarzona subtelnym instynktem, powiedziała z głupiafrant, że nie wierzy, aby ktoś dziś czytał Szekspira z prawdziwą przyjemnością. Na to pan Ramsay powiedział surowym głosem (widać było, że zaczął już myśleć o czym innym), iż dużo ludzi bardziej udaje, niż naprawdę lubi Szekspira. Niektóre jego sztuki mają jednak dużą wartość; pani Ramsay poczuła, że niebezpieczeństwo zostało na razie zażegnane; będzie sobie dalej pokpiwał z Minty, a ta, rozumiejąc przyczynę jego niepokoju, potrafi we właściwy sobie sposób zająć się nim i umiejętnie go pochwalić. Ale wolałby, żeby takich zabiegów w ogóle nie stosowano – a może to właśnie jej wina, że były potrzebne? W każdym razie mogła przysłuchiwać się teraz temu, co Paul Rayley mówił o książkach, które się czyta w dzieciństwie. Twierdził, że się je pamięta. W czasach szkolnych czytał kilka rzeczy Tołstoja. Jedna z nich zrobiła na nim silne wrażenie, lecz tytuł uleciał mu z pamięci. – Rosyjskie nazwiska są niemożliwe – odezwała się pani Ramsay. – Zdaje się, że tam występował Wroński – ciągnął dalej Paul. To nazwisko zapamiętał, bo wydawało mu się ono odpowiednie dla czarnego charakteru.

– Wroński – powtórzyła pani Ramsay. – O, to Anna Karenina. – Ale nie posunęli się wiele ponadto; książki nie były ich dziedziną. Charles Tansley w jedną sekundę wszystko by wyjaśnił, tylko że zawsze tak mu bardzo

zależało, by to, co mówił, zostało dobrze przyjęte i zrobiło odpowiednie wrażenie; człowiek dowiadywał się w rezultacie więcej o nim niż o Tołstoj; podczas gdy Paul mówił po prostu, o danej rzeczy, a nie o sobie samym. Podobnie jak wszyscy głupi ludzie, odznaczał się także pewną odmianą skromności, szacunkiem dla cudzych uczuć; ta jego cecha niejednokrotnie zyskiwała mu sympatię pani Ramsay. Teraz nie myślał już ani o Tołstoj, ani o samym sobie, lecz o tym, czy jej nie jest zimno, czy nie wieje na nią i czy nie chciałaby gruszki. Nie, odpowiedziała, nie ma ochoty na gruszkę. Prawdę powiedziawszy, to strzegła zazdrośnie patery z owocami (wcale sobie z tego nie zdając sprawy) w nadziei, że nikt jej nie tknie. Wędrowała spojrzeniem po owocach – ich wypukłościach i pokrytych cieniem zagłębieniach, wpatrywała się w ciemną purpurę winogron i w postrzępione brzegi muszli, zestawiając; barwy żółte z purpurowymi, kształty smukłe z okrągłymi, wcale nie wiedząc, dlaczego to robi i dlaczego z każdą wędrowką czuje się coraz pogodniejsza; aż wreszcie – o, co za szkoda! – jakaś ręka sięgnęła, wzięła gruszkę i zepsuła całą harmonię. Spojrzała przyjaźnie na Rose, siedzącą pomiędzy Jasperem i Prue. Dziwne jednak, że zrobiło to jej własne dziecko!

Dziwne jest widzieć własne dzieci, siedzące niemal w milczeniu jedno obok drugiego; po ruchu ich warg zgadywała, że opowiadali sobie jednak jakąś żartobliwą historyjką. Na pewno nie miała ona żadnego związku z

ogólną rozmową; było to coś, co chcieli zachować do pośmiania się na później, kiedy znajdą się w swoim pokoju. Miała nadzieję, że historyjka ta nie dotyczy ich ojca. Chyba nie. Zastanawiała się raczej melancholijnie, co by to być mogło, gdyż była przekonana, że będą się śmiali, gdy zostaną sami. Różne rzeczy kryły się za tymi nieruchomymi, spokojnymi jak maski twarzami; jej dzieci nie włączały się łatwo do ogólnych rozmów, były raczej obserwatorami spoglądającymi nieco z góry lub może raczej z boku na świat ludzi dorosłych. Ale gdy przyjrzała się Prue, zauważyła, że w stosunku do niej spostrzeżenie to nie było całkowicie słuszne. Prue miała już w sobie lekki ruch, już się otwierała ku życiu. Na jej twarzy gościło delikatne światło, jak by odbicie tego wzruszenia i oczekiwania na szczęście, które łuną płonęło na twarzy Minty siedzącej naprzeciwko; wyglądało to tak, jak by słońce miłości, łączącej mężczyzn i kobiety, weszło nad krawędzią stołu, a ona, nie wiedząc wcale, co to takiego, pochyliła się ku niemu i pozdrowiła je. Patrzyła bez przerwy na Mintę, nieśmiało, lecz z zaciekawieniem, tak że pani Ramsay, przesuważając spojrzenie z jednej na drugą, pomyślała: I ty będziesz kiedyś taka szczęśliwa, jak ona w tej chwili. Będziesz nawet dużo szczęśliwsza. Jej córka musiała być szczęśliwsza od córek innych ludzi. Ale kolacja już się skończyła. Trzeba wstać od stołu. Postanowiła poczekać jeszcze, aż przestaną się śmiać z jakiejś historyjki opowiedanej przez jej męża. Żartował sobie z Minty w związku z jakimś zakładem.

Nagle pomyślała, że lubi Charlesa Tansleya; lubiła jego śmiech, jego gniew na Paula i Mintę i brak towarzyskiego wyrobienia. W gruncie rzeczy był to całkiem wartościowy młody człowiek. A Lily, myślała odkładając serwetkę koło talerza, nigdy nie nudzi się we własnym towarzystwie. O Lily nie trzeba się martwić. Czekala jeszcze. Wsadziła koniec serwetki pod talerz. No, czy już skończyli? Nie. Jedna historyjka pociągnęła za sobą drugą. Jej mąż był tego wieczoru w doskonałym humorze i pragnąc teraz, jak przypuszczała, zatrzeć wrażenie wywołane incydentem z zupą, starał się być przyjemnym dla starego Augustusa i wciągnął go w rozmowę; wspominali kogoś, kogo obydwaj znali w college'u. Spojrzała w okno. W czarnych teraz szybach jaśniej się odbijały płomienie świec; głosy rozmawiających wydawały się dziwne; dochodziła do niej nie treść słów, lecz jedynie ich intonacja; brzmiało to jak nabożeństwo w katedrze. Nagłe wybuchy śmiechu, a potem pojedynczy głos (Minty), przypominały jej mężczyzn i chłopców skandujących łacińskie słowa podczas nabożeństwa w jakiejś katolickiej katedrze. Czekala nadal. Sądząc z rytmu i melancholii w głosie męża recytował on jakiś wiersz:

*Wyjdź w ogród, chodź ze mną
Luriano Lurili,
Chodź ze mną, otwórz drzwi.
Jaśminy stoją całe w bieli,*

*O, jakżeż słodki jest dźwięk pszczele,
Luriano Lurili!*

Słowa wiersza (ciągle patrzyła w okno) płynęły, jak by kwiaty na wodzie, nie należące do nikogo, przez nikogo nie wypowiedziane, powstałe same z siebie.

A wszystko to, cośmy już wzięli,
Lub dadzą przyszłe dni,
Jest pełne drzew i zwiewnych liści,
Luriano Lurili!

Nie wiedziała, co znaczą, lecz miała wrażenie, że słowa te były powiedziane jej własnym głosem, choć przez kogoś innego; doskonale i wiernie wyrażały to, co czuła przez cały wieczór, choć mówiła o czymś zupełnie innym. Bez patrzenia wiedziała, że wszyscy przy stole słuchają głosu mówiącego:

Ciekaw jestem, czy ci się wydaje
Luriano Lurili...

z tym samym uczuciem zadowolenia i przyjemności, co ona – jak by ten wiersz wreszcie wyraził ich naturalne pragnienie, jak by był powiedziany ich własnym głosem.

Recytujący urwał. Rozejrzała się wokół. Zmusiła się, by wstać. Augustus Carmichael podniósł się także i trzymając swą serwetkę w ten sposób, że wyglądała jak

długa biała szata, zaczął skandować:

By widzieć jak jadą królowie
Łaką, gdzie stokroć lśni.
Dzierżąc palmy i gałęzie cedrowe
Luriano Lurill.

Gdy przechodziła koło niego, odwrócił się lekko w jej stronę powtarzając ostatnie słowa:

Luriano Lurill

i ukłonił się, jak by oddawał jej hołd. Widocznie z nie wiadomo jakiej przyczyny po raz pierwszy poczuł do niej sympatię; z ulgą i wdzięcznością oddała mu ukłon i przeszła przez drzwi, które dla niej otworzył.

Należało teraz posunąć wszystko o krok naprzód. Z nogą na progu czekała jeszcze przez chwilę, ale cała sala się zamazywała. Kiedy ujęła Mintę pod ramię i ruszyła, wszystko wyglądało inaczej, miało inny kształt; po raz ostatni rzuciła okiem za siebie, wiedziała jednak, że to, co działo się przed chwilą, było już przeszłością.

18

Jak zwykle, pomyślała Lily. Zawsze było coś, co

należało akurat wykonać, coś, co pani Ramsay z sobie wiadomych przyczyn postanowiła zrobić natychmiast, choćby to miało być w momencie, kiedy wszyscy ciągle jeszcze żartowali, nie zdecydowani, czy pójść do palarni, czy do salonu, czy też na górę. Stała w tej chwili pośrodku całego tego gwaru, trzymając Mintę pod ramię, i zdawało się, że postanawia: „Tak, teraz właśnie tym się zajmę”. Natychmiast też odeszła z tajemniczą miną do swych zajęć. Po jej odejściu towarzystwo stało przez chwilę niezdecydowane, po czym zaczęło się rozchodzić w różne strony; pan Bankes ujął Charlesa Tansleya pod ramię i odszedł z nim na taras, by dokończyć dyskusji na tematy polityczne, którą rozpoczęli przy kolacji; zmieniając wyraźnie kierunek rozmowy nadali reszcie wieczoru odmienny charakter; widząc ich i słysząc urywki zdań, dotyczące polityki Labour Party, Lily pomyślała, że – jak oficerowie marynarki – udali się na mostek kapitański dla ustalenia swej pozycji; przejście od poezji do polityki uderzyło ją w ten właśnie sposób; pan Bankes i Charles Tansley już odeszli, a inni jeszcze ciągle stali i obserwowali panią Ramsay, która w świetle lampy samotnie wchodziła na schody. Dokąd tak szybko zmierza? – zastanawiała się Lily.

Właściwie wcale się nie śpieszyła, szła raczej dosyć wolno. Odczuwała potrzebę spokoju po tej całej gadaninie, by móc wybrać z niej rzecz najistotniejszą, oddzielić ją od reszty, odbarwić ze wszystkich uczuć i niepotrzebnych szczegółów, przyjrzeć się jej i zanieść

potem przed trybunał, w którym zasiadali kołem sędziowie, wyznaczeni przez nią do decydowania w takich sprawach. Czy to dobre, czy złe, czy słuszne, czy niesłuszne? Dokąd zdążamy? W ten sposób chciała znów odzyskać równowagę po wstrząsie; używa do tego całkiem nieświadomie i absurdalnie gałęzi wiązów, widocznych przez okno. Jej świat się zmieniał, one były ciągle w tym samym miejscu. Pozwoliło jej to na określenie własnej pozycji. Zaręczyny dały jej poczucie ruchu. Wszystko musi mieć określony ład. I ona musi doprowadzić do porządku wiele rzeczy, myślała, mimo woli podziwiając to dostojność drzew stojących w ciszy, to znów wspaniały wzlot ich gałęzi (podobny do wznoszenia się dziobu statku na fali), gdy zawiał wiatr. Zrobiło się wietrzno (zatrzymała się na chwilę, by wyjrzeć przez okno). Zrobiło się wietrzno: liście miotane podmuchami coraz to odsłaniały jakąś gwiazdę; gwiazdy z kolei drżały i strzelały światłem wśród liści w poszukiwaniu wolnego miejsca, przez które mogłyby zabłysnąć. A więc stało się – zaręczyny doszły do skutku i, jak wszystko, co już poza nami, nabrały uroczystego charakteru. Gdy się o nich myśli bez tej całej gadaniny i podniecenia, wydaje się, że wydarzyły się nie wiadomo jak dawno, że po prostu zwrócono na nie uwagę; i w ten sposób wszystkiemu jest znów przywrócona równowaga. Odtąd oni, choćby nie wiem jak długo żyli, będą zawsze wracać myślą do tego wieczoru, do tego księżyca, tego wiatru, tego domu – i także do niej. Myśl, że została

wpleciona w ich serca na całe życie, schlebiła jej w najczulszym miejscu; a to, i to, i to, myślała wzruszona idąc na górę i uśmiechając się do kanapy na podeście (po matce) i do bujającego fotela (po ojcu), i do mapy Hybryd – wszystko to będzie trwało we wspomnieniach Paula i Minty. Rayleyowie – wsłuchiwała się w brzmienie małżeńskiego nazwiska nowej pary i czuła, trzymając rękę na klamce do dziecinnego pokoju, że zrodzona z uczuć wspólnota z innymi sprawia, że ściany dzielące ludzi niemal zanikają (czemu towarzyszy uczucie ulgi i szczęścia) i że wszystko stapia się w jeden strumień; krzesła, stoły, mapy są zarówno jej, jak ich – nie ma znaczenia czyje; Paul i Minta będą tworzyć ten strumień, gdy ona już nie będzie żyła.

Nacisnęła zdecydowanie klamkę, aby nie zaskrzypiała, i otworzyła drzwi, lekko sznurując wargi, by nie zapomnieć, że należy tu mówić cicho. Lecz, ledwie weszła, od razu zobaczyła ku swej irytacji, że jej ostrożność jest zbyteczna. Dzieci nie spały. Jakież to było irytujące! Mildred powinna była dopilnować. James był całkiem rozbudzony, Cam siedziała wyprostowana, a Mildred wyszła na bosaka z łóżka; choć była niemal jedenasta, cała trójka gadała jak najęta. Cóż tu się działo? Oczywiście, to znów ta okropna czaszka. Kazała ją usunąć, ale Mildred naturalnie zapomniała o tym, no i teraz Cam i James zamiast spać, już od kilku godzin sprzeczekali się w najlepsze. Co opętało Edwarda, że dzieciom przysłał tę ohydną czaszkę? Musiała chyba mieć

źle w głowie, że pozwoliła przybić ją w ich pokoju. Mildred tłumaczyła się, że nie mogła jej zdjąć, bo była zbyt mocno przybita; a teraz Cam, widząc ją, nie mogła zasnąć, a James z kolei wrzeszczał, gdy tylko się jej dotknęło.

Cam musi zasnąć (twierdziła właśnie, że czaszka ma takie wielkie rogi), musi zasnąć i śnić o pięknych pałacach, powiedziała pani Ramsay siadając na łóżku przy dziewczynce. Cam powiedziała, że widzi rogi w całym pokoju. Była to prawda. Gdzieby nie postawić lampę (a James nie mógł zasnąć bez światła), zawsze gdzieś padał cień czaszki.

– Zastanów się, Cam, przecież to jest tylko zwykła świnka – powiedziała pani Ramsay – miła, czarna świnka, taka jak te na farmie. – Lecz Cam uważała, że czaszka jest okropna, że widzi się ją we wszystkich kątach pokoju.

– No, więc dobrze – mówi pani Ramsay – zasłonimy ją. – Wszyscy obserwują, jak podchodzi do komody, szybko otwiera jedną szufladkę po drugiej, lecz nie znajdując nic, co by się nadawało, zdecydowanym ruchem zdejmuje z ramion swój szal i obwija nim czaszkę raz, drugi i trzeci: potem wraca do Cam i schyla głowę na poduszkę tuż koło główki Cam i mówi, że ta czaszka teraz uroczo wygląda, że się z pewnością spodoba krasnoludkom, że jest zupełnie jak ptasie gniazdo albo jak ta piękna góra, którą widziała kiedyś za granicą, gdzie były doliny i kwiaty, dźwięczące dzwonki, śpiewające ptaszki, małe kózki i antylopy...

Rytmicznie wypowiedane słowa odbijały się echem w umyśle Cam, która powtarzała za nią, że czaszka jest jak góra, jak gniazdo ptaka, jak ogród, i że są tam małe antyloпки; oczy jej przy tym to się zamykały, to otwierały; więc pani Ramsay nadała swojemu głosowi jeszcze bardziej monotony ton i mocno skandując wyrazy powtarzała ciągle, że Cam musi zamknąć oczy i śnić o górach, dolinach i spadających gwiazdach, o papugach, antylopach i ogrodach, o wszystkim, co jest piękne, – mówiąc coraz bardziej mechanicznie, wolno unosiła głowę z poduszki, kiedy wreszcie usiadła, zobaczyła, że Cam już śpi.

Teraz on też musi zasnąć, szepnęła przechodząc przez pokój do łóżka Jamesa, bo przecież widzi, że – tak jak sobie tego <życzy – czaszka dzika wisi nadal na ścianie i nikt jej nawet nie dotknął. James najpierw się upewnił, że czaszka była rzeczywiście pod szalem, po czym powiedział, że chciałby się matki jeszcze o coś zapytać. Czy popłyną jutro do Latarni?

Nie, jutro nie, odpowiedziała, ale niezadługo. Pierwszego pogodnego dnia, jaki nadejdzie. Przyjął to bardzo dobrze. Położył się grzecznie, a ona go okryła. Wiedziała jednak, że James o Latarni nigdy nie zapomni, i zła była na Charlesa Tansleya, na męża i na siebie samą za to, że wzbudziła w nim przedwczesną nadzieję. Potem zaczęła szukać ręką swego szala, lecz przypomniawszy sobie, że owinęła go wokół czaszki, wstała i ściągnęła okno o parę cali w dół; usłyszała, że wieje wiatr,

wciągnęła łyk chłodnego mocnego powietrza i mruknęła dobranoc Mildred; po czym wyszła z pokoju z wolna puszczając klamkę.

Miała nadzieję, że Charles Tansley, który zajmował pokój nad dziećmi, nie będzie zrzucał książek na podłogę, choć taki był nieznośny w zachowaniu. Żadne z dzieci nie sypiało dobrze; były nerwowe i pobudliwe; jeśli więc Tansley potrafił tak się odezwać, gdy była mowa o wyprawie do Latami, to równie dobrze może niezdarnie zwalić łokciem stos książek na podłogę akurat w chwili, gdy dzieci będą zasypiały. Jest już na górze i prawdopodobnie wziął się do pracy. Taki jest osamotniony; poczułaby jednak ulgę, gdyby wyjechał; postara się jutro, by odnoszono się do niego lepiej; choć jego stosunek do męża był godny podziwu, manieri miał zdecydowanie kiepskie; mimo to lubiła jego śmiech. Schodząc na dół zauważyła przez okno nad schodami żółty, dojrzały księżyc. Stała i patrzyła. W tej pozycji zauważyła ją towarzystwo stojące w hallu.

Tak Wygląda moja matka. Oto esencja życia, pomyślała Prue, tak jak by jej matka była jedynym człowiekiem tego rodzaju na świecie. Minta i Paul Rayley powinni się jej dobrze przyjrzeć.

Choć przed chwilą, rozmawiając z innymi, Prue była osobą zupełnie dorosłą, teraz stała się z powrotem dzieckiem, a wszystko, co się wokół niej działo, było zabawą. Zadawała sobie pytanie, czy matka zaaprobuje rozrywkę, czy też ją potępi. A potem pomyślała, że Minta,

Paul i Lily byli uprzywilejowani znając jej matkę; jaki niezwykły dar losu, że ona jest jej córką; chyba nigdy nie stanie się dorosła i nigdy nie opuści domu. Odezwała się jak dziecko: Chcielibyśmy pójść na plażę i popatrzeć na fale.

W jednej chwili, całkiem nieoczekiwanie, pani Ramsay stała się dwudziestoletnią dziewczyną, kipiącą wesołością. Opanował ją duch niefrasobliwości. Oczywiście że muszą iść, oczywiście że muszą iść, wołała śmiejąc się i zbiegła z ostatnich paru stopni; zwracała się od jednej osoby do drugiej, to znów otulała Mintę w jej okrycie, i mówiła, że żałuje, iż sama iść z nimi nie może; czy późno wrócą i czy któreś z nich ma zegarek?

– Tak, Paul ma – odparła Minta, a Paul wyjął piękny złoty zegarek z irchowego woreczka i pokazał jej. Trzymając go przed nią na dłoni uczył, że ona już wie o wszystkim i nie potrzebuje jej nic opowiadać. Jedynie wzrokiem zdawał się mówić: „A jednak zdobyłem się na to, pani Ramsay. To pani wyłączna zasługa”. A pani Ramsay, widząc złoty zegarek leżący na jego dłoni, pomyślała, ileż szczęścia ma Minta! Wychodzi za mąż za człowieka, który ma złoty zegarek w irchowym woreczku!

– Bardzo bym chciała wybrać się z wami! – zawołała. Lecz powstrzymało ją coś tak mocnego, że nawet jej nie przyszło do głowy zastanowić się, co to było takiego. Oczywiście, że nie mogła z nimi pójść, ale miała taką ochotę, że pewnie by poszła, gdyby nie ta wewnętrzna przeszkoda; ubawiona swą absurdalną myślą (co to za

szczęście poślubić człowieka z irchowym woreczkiem na zegarek!), weszła z uśmiechem na ustach do pokoju, w którym siedział jej mąż, pogrążony w czytaniu.

19

Oczywiście, mówiła sobie, musiałam tu przyjść po coś, co było mi potrzebne.

Przede wszystkim chciała sięść na tym, a nie innym krześle, pod tą właśnie lampą. Ale trzeba jej było jeszcze czegoś więcej, chociaż zupełnie nie wiedziała i nie wyobrażała sobie niczego. Spojrzała na męża (podnosząc pończochę i zaczynając robić na drutach) i wyczuła, że wyraźnie nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Czytał coś, co go mocno poruszało. Po półuśmiechu na jego ustach poznała, że stara się opanować wzruszenie. Przekładał gwałtownie kartki. Grał – był zapewne główną postacią książki. Ciekawe, co to za książka? O, to jedna z powieści starego Waltera Scotta, co dostrzegła, gdy przesunęła abażur na lampie tak, by światło padało na jej robotę. Charles Tansley powiedział (spojrzała w górę, jak by oczekując huku książek zrzucanych na podłogę), że ludzie nie czytują już Scotta. Wtedy jej mąż pomyślał: „Tak będą mówili o mnie” i przyniósł sobie jedną z jego powieści. I jeśli dojdzie do wniosku, że Charles Tansley miał rację, to pogodzi się z jego sądem o Scotcie.

(Widziała, jak waży, rozsądza, porównuje jedno z drugim w miarę czytania.) Lecz nie o sobie. Gdy chodziło o jego książki, zawsze był pełen obaw. Martwiła się tym. Gryzł się, czy będą czytane, czy są dobre, dlaczego nie są lepsze, co ludzie o nim sądzą? Nie lubiła myśleć o nim w ten sposób. Zastanawiała się, Czy podczas kolacji odgadli, dlaczego się tak nagle zirytował, gdy mówiono o trwaniu sławy i książek; ciekawa była, czy to z tego dzieci się wyśmiewały. Rozciągnęła swoją pończochę; przy ruchu drutów uwypukliła się piękna rzeźba jej twarzy; zastygła jak drzewo, które miota się i drży, a gdy wiatr ustaje, zapada w ciszę, listek po listku.

Nic z tego nie ma znaczenia. Wielki człowiek, wielka książka, sława – któż to wie? Nie znała się na tym. Ale on ma swój własny sposób patrzenia na siebie – nigdy nie , odbiega od prawdy. Na przykład przy kolacji pomyślała całkiem odruchowo: „Gdybyż się bodaj odezwał!” Ufała mu w pełni. Zostawiając te myśli na uboczu tak, jak nurek mija tu wodorost, tam koral, ówdzie bąbelki powietrza, poczuła znów, zapadając się głębiej, to, co czuła wtedy w hallu, gdy inni rozmawiali: czegoś ja chcę, po coś ja tu przyszłam; i tak, z oczami zamkniętymi, zapadała się coraz głębiej, zupełnie nie wiedząc, czego właściwie pragnęła. Przeczekała chwilę, robiąc na drutach zamyślona, i powoli słowa usłyszane przy kolacji: „Jaśminy stoją całe w bieli, O, jakżeż słodki jest dźwięk pszczeli” zaczęły się rytmicznie kołysać w jej głowie; w takt swego ruchu, jak małe, przyćmione światełka, jedno

czerwone, drugie niebieskie, trzecie żółte, zapalały się w mrokach jej umysłu i przeskakiwały z miejsca na miejsce, by coś wykrzyknąć i odbić się echem; odwróciła się i poszukała ręką książki na stole.

*A wszystko to, cośmy już wzięli,
Lub dadzą przyszłe dni,
Jest pełne drzew i zwiewnych liści,
Luriano Lurili*

mruczała wtykając druty w robotę. Otworzyła książkę i zaczęła czytać na chybił – trafił; czuła, że się wspina w górę, w tył torując sobie drogę pod płatkami kwiatów, które się nań nią tak pochylały, że wiedziała tylko: tu jest kolor biały, a tu czerwony. Z początku w ogóle nie chwyciła znaczenia tych słów.

„O, wy, pokonani żeglarze, ku nam kierujcie swe skrzydlate sosny” – przeczytała i odwróciła stronicę; przeskakiwała wzrokiem tu i tam, z jednej linii na drugą, jak by z gałązki na gałązkę, od jednego czerwono-białego kwiatka do drugiego, aż zbudził ją cichy, ale wyraźny odgłos – to mąż klepał się po udach. Oczy ich spotkały się na chwilę, ale nie mieli ochoty rozmawiać. Nie mieli nic sobie do powiedzenia; jednakże coś zdawało się spływać z niego na nią. Czuła, że to życie samo, potęga życia, znakomity nastrój kazały mu uderzać się w uda. Nie przeszkadzaj mi, zdawał się mówić, nic nie mów, siedź tylko spokojnie tutaj. I czytał dalej. Drgały mu wargi. Był

pełen tego, co czytał. Dodawało mu to siły. Do cna zapomniał już o drobnych utarczkach i zdraśnięciach tego wieczora, o tym, jak go niewypowiedzianie nudziło wysiadanie z ludźmi jedzącymi i pijącymi bez końca, i o podrażnieniu w stosunku do żony, i o tym, jak przeszli do porządku dziennego nad jego książkami, jak by wcale nie istniały. A teraz czuł, że to całkiem nieważne, kto dotrze do Z (jeśli myśl biegnie, jak alfabet, od A do Z). Ktoś tam dotrze, jeśli nie on, to kto inny. Siła i zdrowy rozsądek Scotta, jego umiłowanie rzeczy prostych i prawych, ci rybacy, stary obłąkaniec w zagrodzie Mucklebackita – to mu dawało poczucie krzepkości, ulgę przynosiło tak wielką, że czuł się pobudzony, triumfujący i nie mógł pohamować łez w oczach. Uniósłszy trochę książkę, by zasłonić twarz i dać łzom spłynąć, zakołysał głową i zapomniał całkowicie o sobie (ale nie o swych refleksjach na temat moralności, powieści francuskiej i angielskiej oraz tego, że Scott miał związane ręce, ale jego poglądy mogły być równie słuszne, jak poglądy innych ludzi), o swych własnych troskach i niepowodzeniach wobec utopienia się biednego Steenie'ego i zgryzoty Mucklebackita (w takich rzeczach Scott celował) i tej zdumiewającej przyjemności i poczuciu tężyzny, którą mu ta lektura dawała.

Proszę, pomyślał skończywszy rozdział, niech przewyższą w tym Scotta. Czuł, że prowadził z kimś spór i że wziął nad nim górę. Tego nie można lepiej napisać, żeby tam nie wiem co mówili; jednocześnie jego własna

pozycja stała się pewniejsza. Zestawiając wszystko w myśli, osądził, że postacie kochanków były zupełną bzdurą. To bzdura, ale tamto świetne, myślał. Trzeba to jednak przeczytać jeszcze raz. Nie zapamiętał konstrukcji całości i musiał na razie powstrzymać się od wydania sądu. Powrócił więc do poprzedniej myśli: Jeśli młodzież nie cenila Scotta, to naturalnie nie cenila też i jego. Usiłował zdusić pragnienie uzalenia się przed żoną – doszedł do wniosku, że nie powinien się uskarżać na brak uznania dla siebie wśród młodych. Postanowił sobie, że nie będzie jej więcej niepokoił. Zaczął się przyglądać czytającej żonie. Promieniował od niej spokój. Lubił tę chwilę, gdy wszyscy już się rozeszli, a oni zostawali we dwoje. Życie nie polega na chodzeniu z kobietą do łóżka, myślał wracając znów do Scotta i Balzaka, do powieści angielskiej i francuskiej.

Pani Ramsay uniosła głowę i, jak osoba pogrążona w lekkim śnie, zdawała się mówić, że jeśli chce, by się zbudziła, to się zbudzi, naprawdę się zbudzi; ale, jeśli nie, to czy mogłaby pospać jeszcze chwilkę, jeszcze małą chwilkę? Wspinała się właśnie na gałązki, dotykając rękami raz tego, raz innego kwiatu.

„Ani wychwalać ciemny szkarłat róży” – czytała wspinając się do góry, do szczytu, na sam wierzchołek. Jakie zadowolenie! Jaki spokój! Wszystkie drobne sprawy dnia lgnęły do tego magnesu; umysł miała wysprzątaany, czysty. I oto w jej rękach pojawił się nagle w pełnym swoim kształcie, piękny i mądry, /jak esencja добыta z

życia, zrozumiały i doskonale zaokrąglony – sonet.

Kiedy wyszła ze swego transu, spostrzegła, że mąż przygląda się jej z uśmiechem. Było w nim zdziwienie i łagodna kpina, tak jak by zasnęła w biały dzień; lecz jednocześnie myślał: „Czytaj dalej, teraz przynajmniej nie wyglądasz smutno”. Ciekaw był, co czyta; przesadzał w ocenie jej ignorancji i prostoty, bo lubił myśleć, że nie ma wiedzy, nie ma zupełnie książkowego . wykształcenia. Zastanawiał się, czy rozumie, co czyta. Prawdopodobnie nie, myślał. Ale była zdumiewająco piękna. Jej piękność zdawała się jeszcze, jeśli to możliwe, wzrastać.

*Trwała jeszcze zima
Tylkoś był imieniem,
Więc igrałam z nimi,
Jak by z twoim cieniem*

zakończyła.

– Tak? – powiedziała spoglądając ku niemu znad książki i rozmarzonym uśmiechem odpowiedziała na jego uśmiech.

*Więc igrałam z nimi,
Jak by z twoim cieniem*

zamruczała, kładąc książkę na stole.

Zabierając się znów do swej roboty na drutach starała się uświadomić sobie, co się wydarzyło od chwili, kiedy

po raz ostatni widziała się z nim sam na sam. Pamiętała, jak się ubierała i patrzyła na księżyc; jak Andrew trzymał za wysoko talerz przy kolacji; jak ją przygnębiło coś, co powiedział William; potem przypomniała sobie ptaki na drzewie; kanapę na podeście schodów; rozbudzone dzieci; Charlesa Tansleya, który wybił je ze snu zrzucając książki – ach nie, to już sobie wymyśliła; i Paula z jego irchowym woreczkiem na zegarek. O czym ma mu opowiedzieć?

– Paul i Minta się zaręczyli – oświadczyła znów biorąc się do drutów.

– Domyśliłem się tego – odrzekł. Niewiele tu było więcej do dodania. Ciągłe jeszcze pulsował w niej rytm poezji, a on, po przeczytaniu opisu pogrzebu Steenie’ego, czuł się ciągle pełen energii, pełen wiary w słuszność swych poglądów. Siedzieli więc w milczeniu. Po chwili zdała sobie sprawę, że chce, by coś do niej powiedział.

Cokolwiek, myślała robiąc ciągle na drutach, byle głupstwo.

– Jak to musi być przyjemnie wyjść za mężczyznę, który posiada irchowy woreczek na zegarek – powiedziała; obydwójce lubili dowcipy tego rodzaju.

Parsknął na to. Stosunek do tych zaręczyn miał taki sam, jak i do wszystkich innych – dziewczyna jest o wiele za dobra dla tego młodziana. A ona zaczęła się zastanawiać, dlaczego się chce, by ludzie się pobierali? Jak należy ocenić rzeczy, jakie jest ich znaczenie? (Wszystko, co teraz sobie powiedzą, będzie naprawdę szczere.) No, powiedz coś, myślała, pragnąc usłyszeć

bodaj jego głos, gdyż czuła, że ten cień, który wisiał nad nimi i kazał im się zamykać w sobie, zaczął znów ją ogarniać. Powiedz cośkolwiek, błagała w myśli, patrząc na niego w oczekiwaniu pomocy.

Milczał; huśtał kompasem wiszącym na łańcuszku od zegarka i myślał o powieściach Scotta i Balzaka. Poprzez ich bliskość przerysowaną zmierzchem (bezwiednie się zbliżali, aż się znaleźli tuż obok siebie) czuła, jak jego intelekt osłania jej umysł niby wzniesiona ręka; po chwili jednak zaczął się niespokojnie kręcić wyczuwając, że jej myśli zwróciły się ku sprawom, których nie lubił – do tego „pesymizmu”, jak to nazywał; nadal nie odzywając się podniósł dłoń do czoła, zwinął sobie włosy w lok, by po chwili je rozkręcić.

– Nie skończysz dziś tej pończochy – oświadczył w końcu wskazując robotę palcem. Tego sobie właśnie życzyła – tej szorstkości w jego strofującym głosie. Jeśli uważa, że nie należy być pesymistą, to prawdopodobnie ma rację i to małżeństwo okaże się udane.

– Tak – powiedziała rozprostowując pończochę na kolanie – nie skończę jej.

A co teraz? Czuła, że ciągle jeszcze patrzy na nią, choć już z innym wyrazem twarzy. Pragnął czegoś – tego, co jej zawsze tak trudno było mu dać; chciał, by mu powiedziała, że go kocha. A na to się nie mogła zdobyć. Mówienie przychodziło mu dużo łatwiej niż jej. Potrafił powiedzieć takie rzeczy, których ona nigdy by nie mogła. Więc przyjęło się, że to on był tym, który mówił o

uczuciach; czasami jednak, nie wiadomo dlaczego, jej milczenie sprawiało mu przykrość i czynił jej z tego powodu wyrzuty. Nazywał ją kobietą bez serca, bo mu nigdy nie mówiła, że go kocha. Ale to nieprawda – to nie była prawda. Po prostu nie potrafiła nigdy wyrazić tego, co czuła. Czy nie ma okruszyn na marynarce? Czy mu czegoś nie potrzeba? Wstała i z czerwono-brązową pończochą w ręku stanęła przy oknie; zrobiła to częściowo, by się odsunąć od niego, a częściowo, by popatrzeć na Latarnię, gdyż już jej nie przeszkadzało to, że się jej przyglądał. Czuła, że odwrócił głowę w jej stronę i ciągle ją obserwuje. Wiedziała, że myśli o niej, że jest piękniejsza w tej chwili niż kiedykolwiek przedtem. Muszę być rzeczywiście bardzo piękna, pomyślała. Jakżeż pragnął, żeby mu bodaj raz powiedziała, że go kocha! Był poruszony zaręczynami Minty i swoją książką, i tym, że to już koniec dnia i że się pokłócili o wyprawę do Latarni. A ona tego powiedzieć nie była w stanie. Czując jego wzrok na sobie, odwróciła się bez słowa i popatrzyła na niego. Zaczęła się uśmiechać, bo przecież, choć nie odezwała się ani słowem, wiedział, musiał wiedzieć, że go kocha. Nie mógł temu zaprzeczyć. Z uśmiechem na ustach obróciła się z powrotem do okna myśląc: Nic na ziemi nie dorówna temu szczęściu. Powiedziała równocześnie: – Tak, miałeś rację. Jutro będzie padało. – Właściwie nie powiedziała tych słów, ale on wiedział, że tak pomyślała. Popatrzyła na niego z uśmiechem – odniosła znów triumf.

CZAS PŁYNIĘ

No, cóż, zobaczymy, co nam przyszłość pokaże – powiedział pan Bankes wchodząc z tarasu do domu.

– Jest tak ciemno, że prawie nic nie widać – rzekł Andrew wracając z plaży.

– Nie widać, gdzie się kończy morze, a gdzie zaczyna ląd – zauważyła Prue.

– Czy zostawimy to palące się światło? – spytała Lily, gdy wszedłszy zdjęli płaszcze.

– Nie – odparła Prue – można je zgasić, skoro już wszyscy są w domu.

– Andrew – zawołała do brata – zgaś no to światło w hallu!

Powoli, jedna po drugiej, lampy gasły, tylko u pana Carmichaela, który lubił przed snem poczytać trochę Wergilego, paliła się jeszcze świeca.

2

Gdy zaszedł księżyc i pogaszono wszystkie lampy, a drobny deszczyk zaczął bębnić po dachu, ogromna ciemność ogarnęła świat. Wyglądało na to, że nic się nie oprze temu zalewowi, tej powodzi nocy; mrok wślizgiwał się przez dziurki od kluczy i szpary we drzwiach,

wypełzał zza zasłon na oknach i przenikał do sypialni, gdzie połykał – tu jakiś dzbanek z miednicą, tam wazon z czerwonymi i żółtymi daliami, ówdzie komodę o ostrych kantach i masywnym kształcie. Nie tylko meble roztopiały się w ciemności, z ludzi nie zostawało też nic, co by mogło wskazać, że „to jest on”, a „to jest ona”. Czasami wznosiła się tylko ręka, jak by po to, by coś chwycić, czy odepchnąć; czasami ktoś jęknął lub zaśmiał się głośno, jak by dzielił się żartem z nicością.

Salon, stołowy i schody trwały w ciszy. Tylko zza rogów jakieś wiugi oderwane od wielkiego cielska wiatru przez zardzewiałe zawiasy i spuchnięte od morskiej wilgoci ramy okienne (dom był już jednak mocno nadszarpnięty zębem czasu) zakradały się do środka. Można było wyobrazić je sobie, jak przenikają do salonu i igrając z naderwanymi tapetami pytają je, czy długo jeszcze będą wisiały i kiedy spadną? Łagodnie głaszcząc ściany szły dalej, dumając, czy czerwone i żółte róże na tapetach spłowieją; przeglądały bez pośpiechu (wszystko było dla nich dostępne i miały dużo czasu do swojej dyspozycji) podarte listy w koszu, kwiaty i książki oraz zadawały pytania: Czy to sprzymierzeńcy? Czy to wrogowie? Jak długo jeszcze przetrwają?

Kierowane przygodnym światłem jakiejś nie przesłoniętej gwiazdy czy wędrującego statku, a może nawet Latarni Morskiej sunęły lekko w górę, rysowały schody i maty bladym cieniem i węszyły wokół drzwi do sypialni. Lecz tu wreszcie musiały zaprzestać swych

igraszek. Wszystko mogło zniknąć i zginać, ale to, co tu leżało, musiało pozostać nienaruszone. Tym wślizgującym się światłom, tym myszkującym wiugom, wzdychającym i pochylającym się nawet nad łóżkiem, można było powiedzieć: Niczego wam tu nie wolno tknąć, niczego zniszczyć. A one, jak zmęczone duchy o delikatnych palcach obdarzonych lekką sprężystością piórek, spoglądały na zamknięte oczy i bezwładnie zwisające ręce śpiących, zgar – miały znużonym gestem swe szaty i znikały. Węsząc i ocierając się o wszystko wędrowały do okna na schodach, do pokojów służby, do schowków w mansardach; schodząc, prześlizgiwały się po jabłkach na stole w jadalni, muskały płatki róż, dotykały obrazu na sztalugach, ocierały się o matę i przesypywały ziarenka piasku na podłodze. W końcu, dając za wygraną, jednocześnie przerywały swe wędrówki, zbierały się wszystkie naraz, wzdychały; był to dźwięk nieokreślonego lamentu, na który odpowiedziały jakieś drzwi kuchenne: otworzyły się na rozcież, nie wpuściły nic i zatrzęsnęły się z hukiem.

(W tym momencie pan Carmichael, czytający Wergilego, zgasił świecę. Było już po północy.)

3

Lecz czymże jest jedna noc? Krótką przestrzenią czasu,

zwłaszcza gdy ciemność przeciera się tak szybko, kogut pieje, ptaki zaczynają śpiewać, a ledwie dostrzegalna zieleń nabiera koloru liścia obracanego przez grzebień fali. Jednakże dziś noc jest zwycięska. Zima ma ich w zapasie całą talię i rozdaje je równo, gładko – niezmordowanymi palcami; a one stają się coraz dłuższe i coraz ciemniejsze. Niektóre z nich trzymają w górze lśniące planety, dyski jasności. Jesienne drzewa, choć takie spustoszone, okrywają się błyskami porwanych chorągwi, płonących w ponurym chłodzie katedralnych naw, gdzie złote litery opowiadają w marmurze o śmierci i bitwie i o zbieleńskich kościach prażących się w dalekich piaskach Indii. Jesienne drzewa połyskują w żółtym świetle dojrzałego księżyca – w blasku, który zaciera ślady ludzkiego wysiłku, wygładza rżyska i wiedzie do brzegu błękitem pryskające fale.

Zdawało się teraz, że boska dobroć, wzruszona ludzką skruchą i mozołem, rozdzieli zasłony niebios i ukáže za nimi wyraźne obrazy: stojącego w słupek zajęcia, opadającą falę, kołyszącą się łódź, które, gdybyśmy na to zasłużyli, byłyby naszymi na zawsze. Lecz, niestety, boska dobroć szarpie za sznur i zaciąga zasłonę – nie ma na to ochoty; kryje swoje skarby za ścianą gradu, rozbija je i gmatwa tak, że chyba nigdy nie wróci ich spokojny ład, a my nigdy nie będziemy mogli z rozrzuconych ułamków złożyć pełnej całości ani wyczytać w nich jasnych słów prawdy. Naszej skrusze dana jest bowiem możliwość przelotnego jedynie spojrzenia, a naszym trudom

tylko krótki odpoczynek.

Noce są teraz pełne wiatru i zniszczenia; drzewa szamocą się i gną, a ich liście fruwią tu i tam w podmuchach, by wreszcie zasłać trawniki, oblepić rynsztoki, zapełnić rynny i pokryć zawilgłe ścieżki. I morze także miota się i rozbija o skały. Jeśli istotnie ktoś wyobraża sobie, że znajdzie nad morzem odpowiedź na zwątpienie i towarzysza w samotności, wstanie z łóżka i ruszy na samotny spacer brzegiem, to nie dostrzeże żadnego pomocnego obrazu, który mógłby uciszyć niepokój nocy i odzwierciedlić stan jego duszy. Nikt nie podejmie jego wyciągniętej ręki, a własny głos zahuczy mu pusto w uchu. Zrozumie wtedy, że w tym chaosie zadawanie nocy pytań: o co tu chodzi, dlaczego tak się dzieje, i po co? – dla których przecież wstał z łóżka – jest bezcelowe.

(Pewnego ciemnego poranku pan Ramsay, idący po omacku korytarzem, wyciągnął przed siebie ramiona. Pani Ramsay umarła niespodziewanie poprzedniej nocy i wyciągnięte ramiona zawisły w pustce.)

4

Teraz, gdy dom był pusty, drzwi zamknięte na klucz, a materace pozwijane, wędrujące wiugi, będące przednią strażą wielkiej armii wiatru, wdarły się znienacka, omiotły

gołe deski podłogi, przewąchały je i rozpierzchnęły się w różnych kierunkach; w sypialni i salonie napotkały jedynie fruujące zasłony, skrzypiące drzewo drzwi, gołe nogi stołów, rondle i przybrudzoną, spękaną i pokrytą warstwą kurzu porcelanę – słowem nie natrafiły na nic, co by mogło im się oprzeć. Jedynie te rzeczy, które ludzie pozostawili za sobą: para butów, myśliwska czapka, jakieś spłowiałe spódnice i marynarki. W szafach przechowywały w sobie człowieczy kształt i przypominały w tej pustce, że służyły kiedyś życiu, że były tu kiedyś ręce, które zajmowały się haftkami i guzikami; że w lustrze odbijała się twarz ludzka, a nawet więcej – cały świat zdarzeń; obracała się w nim jakaś postać, migały ręce, otwierały się drzwi i potracając się wpadały i wypadały dzieci. A teraz dzień po dniu tylko światło, jak kwiat odbity w wodzie, przesuwano swój jasny obraz po przeciwległej ścianie; tylko cienie drzew tańczących na wietrze składały ukłony na ścianie i przez chwilę pokrywały cieniem jasną plamę blasku; tylko miękkie, roztrzepotane odbicie lecących ptaków sunęło powoli przez podłogę sypialni.

Z urody i ciszy rodziło się piękno – kształt, w którym nie było życia; samotny jak staw widziany wieczorem z dalekiego okna pociągu, kształt ten zniknął szybko i – raz tylko widziany jak ten staw tonący w zmierzchu – na zawsze pozostał w pamięci. Uroda i cisza podały sobie ręce w sypialni i wśród poprzykrywanych dzbanków i krzeseł w pokrowcach węszący wiatr i miękkie nosy

lepkich morskich powiewów ocierały się, wkręcały i wędrowały to tu, to tam, powtarzając swoje pytania: Czy spłowiejesz? Czy zniszczesz? Ale nic nie było w stanie zakłócić spokoju, obojętności, tej doskonałej nienaruszoności, jak by pytania te nie potrzebowały wcale odpowiedzi przedmiotów: My pozostaniemy.

Zdawało się, że nic nie może rozbić tego obrazu, skazić jego niewinności ani pofałdować płaszcza ciszy, który tydzień za tygodniem wplatał w swą tkaninę świr ptaków, dźwięki syren okrętowych, brzęczenie i szum pól, szczekanie psa i krzyk człowieka – i w milczeniu obwijał nimi dom, Raz tylko wyskoczyła deska na podeście, raz w środku nocy – tak jak skała, która po stuleciach spokoju odrywa się od góry i spada łomocąc w dolinę – z gwałtownym świstem rozwinął się jakiś zwój szala i zaczął trzepotać na wietrze. Potem znów zstąpiła cisza i drgały cienie; światło zginało się w uwielbieniu nad własnym obrazem na ścianie. Pani McNab, która zgodnie z poleceniem przyszła odkurzyć pokoje sypialne, rozdarła ten welon ciszy chrzęstem butów na żwirze i skrzypieniem otwieranych okien.

5

Chwyając się poręczy szła schodami w górę; dźwigała ciężar swojego ciała, kołysząc się z boku na bok jak statek

na morzu; oczyma, które nie zatrzymywały się dłużej na niczym, rzucała z ukosa długie spojrzenia, w których nie było zainteresowania dla pogardy i gniewu świata (bo nie była mądra – o czym wiedziała). Przez cały czas nuciała. Gdy wycierała duże lustro i kątem oka zauważyła w nim swoją kołyszącą się postać, z ust jej wyrwał się strzęp melodii, która dwadzieścia lat temu oznaczała, być może, coś wesołego na scenie – była nucona i tańczona; lecz teraz w ustach bezzębnej sprzątaczkii w czepku traciła wszelki sens: stawała się jedynie głosem swoistego humoru i przywiązania do życia, przydeptywanego, lecz ciągle podnoszącego głowę do góry; zajęta odkurzaniem i zmiataniem, zdawała się opowiadać o trosce i kłopotach długich lat, o wiecznym wstawaniu i kładzeniu się do łóżka, o wynoszeniu rzeczy i przynoszeniu ich z powrotem. Nie był łatwy ani przytulny ten świat, który znała od prawie siedemdziesięciu lat. Trudy życia pochyliły ją ku ziemi. Jak długo będzie to trwało? – zadawała sobie pytanie, gdy stękając i jęcząc sprzątała na kolanach pod łóżkiem. Poderwała się znów niezdarnie na nogi i zaczęła gapić się w lustro, rzucając ukośne spojrzenia, które omijały jej twarz uciekając od zmartwień; uśmiechnęła się bezmyślnie i pokuśtykała kołysząc się, by pozbierać dywaniki i poustawiać porcelanę; ciągle jednak zerkała z ukosa w lustro, jak by w tym miała jakąś swoją pociechę, jak by w jej cmentarnym zawodzeniu krył się jakiś wątek niepoprawnej nadziei. Musiała miewać przy balii wizje

minionych radości – może dotyczyły one jej dzieci? (choć dwoje z nich było nieprawymi, a jedno ją opuściło); a może były związane z popijaniem w szynku lub grzebaniem wśród rupieci pochowanych w jej szufladach? W ciemnych głębiach jej życia musiał istnieć jakiś jasny obszar, z którego płynęło dość światła, ażeby w lustrze odbił się teraz uśmiech na jej twarzy i by biorąc się znów do roboty mogła mamrotać starą wodewilową piosenkę. W tym samym czasie mistycy i wizjonerzy wędrowali po plaży, mącili kałużę, patrzyli na kamienie i zastanawiali się nad tym, czym są? I co to wszystko oznacza? Nieoczekiwanie została im ofiarowana odpowiedź (choć nie mogliby określić, na czym polegała); poczuli się rozgrzani na mrozie i pocieszeni wśród pustyni.

A pani McNab po dawnemu popijała i zajmowała się plotkami.

6

Wiosna, bez jednego listka jeszcze, gola i jasna jak dziewczica surowa w swej czystości i wyniosła, bo bez skazy, legła na polach z szeroko rozwartymi oczyma, czujna, lecz zupełnie nie troszcząca się o to, czym się zajmują i nad czym myślą ci, co się jej przyglądają.

(Prue Ramsay, wspartą na ramieniu ojca, oddano w małżeństwo owego maja. Tak właśnie być powinno –

mówiono. I jakże pięknie wyglądała – dodawano.)

Gdy zbliżyło się lato i wydłużyły wieczory, ci, co czuwali i byli pełni nadziei, co wędrowali po plaży i mącili stawki, zaczęli myśleć o najdziwniejszych rzeczach: o ciele zmienionym w atomy, niesione wiatrem, o błyszczących sercach gwiazd, o skałach, morzu, chmurach i niebie – celowo złączonych razem, by w zewnętrznym świecie skupić rozproszone części ich wewnętrznej wizji. W zwierciadle, jakim jest umysł ludzki, w tym stawku niespokojnej wody, w którym nieustannie obracają się chmury i tworzą cienie – marzenia trwały; nie sposób było pozostać głuchym na dziwną wieść, głoszoną przez mewy, kwiaty, drzewa, mężczyzn, kobiety i samą białą ziemię – że triumfuje dobro, że panuje szczęście i rządzi ład; trudno także było oprzeć się drażącemu pragnieniu, by przemierzać świat w poszukiwaniu absolutnego dobra, najczystszej kryształ (jedynej, pewnej, świecącej jak brylant w piasku) nie związanego z dobrze znanymi przyjemnościami i pospolitymi cnotami i nie mającymi nic wspólnego z domowym życiem – który by dał posiadaczowi uczucie bezpieczeństwa. A do tego jeszcze wiosna, teraz już miękka i łagodna, pełna brzęku pszczół i tańca muszek, otuliła się płaszczem, przesłoniła welonem oczy, odwróciła głowę i wśród zwiewnych cieni i przelotnych deszczyków zdawała się brać na siebie cały ciężar wiedzy o ludzkich troskach.

(Prue Ramsay umarła owego lata na jakąś chorobą

związaną z połogiem, co było prawdziwą tragedią, jak orzekli ludzie. Dodawali przy tym, że nikt nie był bardziej wart szczęścia niż ona.)

A teraz, w letnim upale, wiatr posłał znów swych gońców na przespiegi do domu. Pajęczyny pojawiły się w pokojach od słonecznej strony; chwasty, które wyrosły pod oknami, stukały nocami o szyby. Kiedy zapadała ciemność, błyski Latarni, które oświetlały dywan tak wyraźnie, że teraz w miękkim wiosennym mroku widać było jego deseń, wślizgiwały się łagodnie z poświatą księżycy, rozglądały się, myszkowały, ukradkiem wycofywały i rozkochane znów powracały. W trakcie tych milczących pieszczot, gdy długa smuga światła dotknęła łóżka, rozległ się jak by łomot pękającej skały – to rozwiął się i rozkołysał drugi zwój szala. Przez krótkie noce i długie dni lata, kiedy puste pokoje zdawały się odpowiadać cichym echem na głosy pól i brzęk much, proporzec z szala powiewał łagodnie, kołysał się bezcelowo; gdy słońce pomalowało pokoje w pasy i kraty i wypełniło je żółtą mgiełką, pani McNab, która się tu wdarła i kręciła się zamiatając i odkurzając, wyglądała jak tropikalna ryba, która płetwą toruje sobie drogę przez przebitą słońcem wodę.

Lecz choć panował nastrój snu i drzemki, pod koniec lata rozległy się złowieszcze dźwięki, przypominające miarowe uderzenia młotów, głuszone filcem; rozluźniły one jeszcze bardziej zwoje szala i porysowały filizanki. Od czasu do czasu dźwięczały kieliszki i wibrowały kufle,

jak gdyby wstrząśnięte nabrzmiałym od cierpienia głosem jakiegoś olbrzyma. I znów zapadała cisza, a potem, już noc w noc, czasem nawet i w jasny dzień, kiedy róże płonęły pełnią swych barw i światło na ścianie zmieniało kształt, tę ciszę, tę obojętność, tę nienaruszalność – mącił dźwięk czegoś spadającego.

(Wybuchł pocisk. Dwudziestu czy trzydziestu młodych ludzi, a wśród nich Andrew Ramsay, zostało rozerwanych we Francji. Andrew miał śmierć łaskawą, natychmiastową.)

O tej porze ci, którzy poszli na spacer po plaży, by zapytać się morza i nieba, co mają im do powiedzenia i ukazania, musieli zauważyć wśród przejawów boskiej obfitości: zachodu słońca na morzu, bladości poranka, wschodzącego księżyca, łodzi rybackich w poświacie, dzieci obrzucających się garściami trawy – że coś się popsuło w tej radosnej harmonii pogody. Nagle pojawiała się na przykład milcząca zjawa statku koloru popiołu i – zniknęła; albo na nieskazitelnej powierzchni morza ukazywała się szkarłatna plama, tak jak gdyby w niewidocznych głębinach coś się kłębiło i krwawiło. Te sceny, zakłócające harmonię krajobrazu, który miał pobudzić do wzniosłych rozmyślań i do wyciągania najdogodniejszych wniosków, przerywały im spokojny bieg myśli. Nie można było lekceważyć i przekreślać ich znaczenia i dalej spacerować brzegiem morza podziwiając, jak piękno zewnętrzne odbija piękno wewnętrzne.

Czy przyroda uzupełniała poczynania człowieka? Czy kończyła to, co on zaczął? Z jednaka beztroską patrzyła na jego nieszczęście i nie sprzeciwiała się jego udrekom, jak i darowywała mu jego podłości. A więc marzenie o tym, by w samotności na plaży znaleźć odpowiedź i wejść w jej posiadanie w pełni, było jedynie odbiciem w zwierciadle? A samo zwierciadło – tylko szklistą powierzchnią, powstającą wtedy, gdy szlachetniejsze siły spoczywały uśpione w głębinach? Niecierpliwy i zrozpaczony wędrowiec, nie mający jednakże ochoty zawrócić (bo piękno ma swoje czary, ofiarowuje swoje pocieszenie), nie był mimo wszystko w stanie kontynuować swego spaceru; kontemplacja stawała się niemożliwa – zwierciadło zostało rozbite.

(Pan Carmichael wydał tej wiosny tomik wierszy, który miał nieoczekiwane powodzenie. Wojna, jak mówili ludzie, pobudziła zainteresowanie poezją).

7

Noc po nocy, przez lato i przez zimę, dręczące burze i strzeliste cisze pięknej pogody następowały po sobie w niczym nie zakłóconej kolejności.

Z górnych pokojów pustego domu można było dosłyszeć – gdyby ktoś tam był – jedynie gigantyczny chaos dudniących i przewalających się dźwięków,

przeszywanych od czasu do czasu grzmotem; wichry i fale zabawiały się, niby bezkształtne lewiatany, których czoła nie tknęło światło rozumu: dosiadały jeden drugiego, kłębiły się i przewalały zarówno w ciemności, jak i świetle dziennym (gdyż noc i dzień, miesiąc i rok płynęły teraz jednym strumieniem) w idiotycznej zabawie; w końcu wydawało się, że świat cały bezsensownie walczy i przewala się w dzikim bezładzie, w rozpustnej chuci.

Na wiosnę kamienne wazy w ogrodzie, wypełnione roślinami, zasianymi kapryśną wolą wiatru, wyglądały tak wesoło jak niegdyś. Rozkwitły fiołki, a później narcyzy. Lecz cisza i jasność dnia były równie dziwne, jak chaos i tumult nocy; drzewa , i kwiaty patrzyły przed siebie, patrzyły w górę i stały tak: ślepe, nic nie widzące – i dlatego straszne.

8

Bez żadnej złej myśli, bo rodzina już tu nie przyjedzie nigdy, jak mówili niektórzy, a dom będzie sprzedany, prawdopodobnie na świętego Michała, pani McNab schyliła się i zrywała kwiaty, by je wziąć do swego domu. Położyła je na stole i wzięła się do sprzątanía. Lubiła kwiaty. Szkoda, żeby tak się marnowały. Gdyby dom miano sprzedać (stała ze skrzyżowanymi ramionami przed lustrem), to trzeba by się nim zająć – i to gruntownie. Stał

przez te wszystkie lata zupełnie pusty. Książki i rzeczy zawilgociły się, gdyż ze względu na wojnę i trudności ze znalezieniem służby nie sprzątno go tak, jak należało. A teraz było zbyt trudno jednemu człowiekowi to naprawić. Była zresztą za stara – bolały ją mocno nogi. Wszystkie te książki należało rozłożyć w słońcu, na trawniku; w hallu opadł tynk; pod oknem gabinetu zatkała się rynna i woda ciekła do pokoju, – dywan zniszczył się zupełnie. Powinni jednak sami przyjechać albo przynajmniej przysłać kogoś, żeby się zajął wszystkim na miejscu. Przecież w szafach były ubrania – pozostawili zresztą odzież we wszystkich pokojach sypialnych. Co miała z tym począć? Już się mole zakradły do rzeczy pani Ramsay. Biedna, już nigdy nie będzie potrzebowała tych rzeczy. Mówiono, że parę lat temu zmarła w Londynie. Był tu jej stary popielaty płaszcz, który nosiła do pracy w ogrodzie (pani McNab obracała go właśnie w rękach). Pamiętała, jak odnosząc pranie widywała panią Ramsay pochyloną nad kwiatami. Dziko zarośnięty ogród wyglądał teraz żałośnie – z grządek wyskakiwały na człowieka króliki (pamiętała ją w tym szarym płaszczu z jednym z dzieci przy boku). W sypialniach były także buty i półbuty; szczotka i grzebień leżały na toaletce, jak by pani Ramsay była zupełnie przekonana, że jutro tu wróci. (Mówiono, że umarła w końcu zupełnie nagle.) Raz mieli tu być, ale odłożyli przyjazd ze względu na to, że podróże były takie uciążliwe w czasie wojny; no, i przez te wszystkie lata nie pojawili się tu; przysyłali jej tylko pieniądze, ale nigdy nie

pisali, nigdy sami nie przyjeżdżali; a teraz pewnie spodziewają się, że zastaną tu. wszystko tak, jak kiedyś – mój Boże! No, proszę, szufladki toalety (wyciągnęła je) pełne były wszystkiego: chusteczek, kawałków wstążek. Tak, pamiętała, jak odnosząc pranie widywała panią Ramsay.

„Dobry wieczór, pani McNab” – pozdrawiała ją. Przyjemna to była pani. Dziewczęta wszystkie ją lubiły. Ach, Boże złoty, jak wiele zmieniło się od tamtej pory (zamknęła szufladki); dużo rodzin potraciło swoich najbliższych. No i ona też już nie żyje, pan Andrew został zabity, a panny Prue także nie ma – mówiono, że umarła przy pierwszym dziecku; no cóż, każdy kogoś stracił w tych latach. Ceny bezwstydnie poszły w górę i już się nie cofnęły z powrotem. Dobrze ją pamiętała w tym popielatym płaszczu.

„Dobry wieczór, pani McNab” – pozdrawiała ją i kazała kucharce nalać jej talerz mlecznej zupy, jak by wiedząc, że pani McNab ma na nią ochotę po przyniesieniu ciężkiego kosza z bielizną aż z samego miasta. Widziała ją teraz, jak żywą, schyloną nad kwiatami (w miarę jak pani McNab kuśtykała, krzątając się po pokojach, słaby, migotliwy obraz pani w popielatym płaszczu pochylonej nad kwiatami, podobny do złocistego widma lub krążka na końcu teleskopu, przesunął się po ścianie sypialni, minął toaletkę i dotarł wreszcie do umywalni).

A jakże to miała na imię kucharka? Mildred? Marianna? – jakoś tak. Nie pamiętała jednak dokładnie –

pamięć miała teraz kiepską. O, to była ognista kobieta, jak wszystkie rude. Nieraz się dobrze razem uśmieły. W kuchni panią McNab zawsze chętnie widziano. Potrafiła wszystkich zabawić i rozśmieszyć. Tak, lepsze to były czasy niż obecnie.

Westchnęła; za wiele teraz było pracy, jak na nią jedną. Kiwała głową raz w prawo, raz w lewo. To był pokój dziecienny. A teraz pełno w nim wilgoci i tynk opada. Po co zawiesili tu zwierzęcą czaszkę? – ona też pokryła się pleśnią. Szczury zagnieździły się we wszystkich mansardach. Przez dziury w dachu dostawał się deszcz. A oni nigdy nikogo nie przysłali ani sami nie przyjeżdżali. Niektóre zamki poodpadały, więc drzwi teraz trzaskały. Nie lubiła sama przebywać na górze o zmierzchu. O, za wiele tu roboty dla jednej kobiety, za wiele, za wiele. Jęczała i postękiwała. Zatrzasnęła drzwi. Przekreśliła klucz w zamku i zostawiła za sobą dom – zamknięty, samotny.

9

Dom był porzucony, dom był opustoszały. Teraz, gdy nie było w nim życia, tkwił na piaszczystym pagórku jak muszla wypełniająca się suchymi ziarnami soli. Nastaly długie noce; wydawało się, że lekkie, obwążujące wiugi i wilgotne, oblepiające oddechy zatriumfowały. Rdzewiały rondle, gniły dywaniki. Do wewnątrz zaczęły się

przedostawać ropuchy. Szal kołysał się leniwie to w tę, to w tamtą stronę. Między dachówki spizarni wcisnął się oset. Jaskółki uwiły sobie gniazdo w salonie i na podłodze było pełno słomy; tynk odpadał całymi płacami, obnażając belki wiązań; szczury porywały, co się im trafiło, i ogryzały za boazerią. Motyle, o barwie szylkretu, wypryskiwały z kokonów, by roztrzepotywać swe życie na szybach okien. Maki porozsiewały się wśród dalii, a trawnik zamienił się w łąn wysokiej, falującej trawy, olbrzymie karczochy górowały nad różami; fryzowany goździk rozkwitał wśród kapusty; delikatne pukanie chwastów w okna przemieniło się, gdy zimą ustawały wiatry, w bębnienie krzepkich drzewek i kolczastych głogów (w lecie było od nich zielono w pokoju).

Jaka siła mogła teraz powstrzymać tę bezmyślną płodność, tę niewrażliwość przyrody? Wizja pani, dziecka i talerza mlecznej zupy przesunęła się po ścianach, jak słoneczna plama – i znikła. Pani McNab zamknęła drzwi na klucz.

– To jest ponad siły jednej kobiety – powiedziała odchodząc. Nikogo nie przysłali. Nigdy nic nie napisali. A tu rzeczy gniły po szufladach i wstyd doprawdy tak to zostawiać – mruzczała. Dom poszedł na marne. Tylko błyski Latarni wchodziły do pokojów i w ciemnościach zimy wlepiały wzrok w łóżko i w ścianę i spoglądały z obojętnością na osty i jaskółki, na szczury i na słomę. Nic ich nie mogło powstrzymać, nic nie mogło im się sprzeciwić. Niech sobie wiatr dmie; niech się rozsiewają

maki, a goździki bratają z kapustą. Niech jaskółki gnieźdzą się w salonie, niech osty rozsadzają dachówki, niech motyle wygrzewają się w słońcu na spłowiałych pokryciach foteli. Niech szkło i porcelana leżą sobie na trawniku porośnięte trawą i poziomkami.

Nadeszła teraz chwila wyczekiwania, gdy świt już drży, a noc jeszcze wstrzymuje oddech, gdy jedno piórko, osiadłe na szali wagi, może pociągnąć ją w dół za sobą. Jedno piórko – a ginący, zapadający się dom obsunie się i runie w głębię ciemności. A wtedy w zniszczonych pokojach wycieczkowicze zaczną rozpalać ogień pod swoimi kociołkami; kochankowie poszukają samotności na gołych deskach; pasterz ustawi swój obiad na ceglach; a włóczęga zaśnie, otulony własnym płaszczem dla ochrony przed zimnem. Potem zapadnie się dach; głóg i szalej rozplenią się bujnie, zarosną ścieżki, przesłonią okna. Choć będą się krzewić nierówno, zbłąkany przechodzień widząc gęsto porośnięty pagórek jedynie po czerwonym kwiecie zagubionym wśród pokrzyw lub po porcelanowych skorupach w szaleju będzie mógł poznać, że tu ktoś kiedyś mieszkał, że tu był dom.

Gdyby piórko osiadło i przeważało szalę w dół, cały dom zapadłby się w głąb i osiadł na piaskach zapomnienia. Lecz działała tu jakaś siła, która nie dopuszczała do tego; coś, co niewiele miało świadomości, co rzucało ukośne spojrzenia i kołysało się na boki, co nie czuło potrzeby, by do pracy zabierać się z obrzędowym dostojeństwem, i uroczystymi śpiewami.

Pani McNab stękała, a pani Bast jęczała. Były stare i ociążałe – bolały je nogi. Przyszły wreszcie ze swoimi szczotkami i kubłami i wzięły się do roboty. Niespodziewanie jedna z młodych pań napisała, by pani McNab uporządkowała dom, zrobiła to, zrobiła tamto – i to jak najszybciej – bo może przyjadą na lato. Zwlekali z listem do ostatniej chwili, a spodziewali się oczywiście, że zastaną wszystko w takim stanie, jak kiedyś. Powoli, boleśnie, z kubłem i szczotką w ręku, myjąc i szorując, pani McNab i pani Bast powstrzymały pochód zniszczenia i rozkładu; z jeziora czasu, które się szybko zamykało nad nimi, uratowały – tu jakąś miednicę, tam szafę; pewnego ranka wydobyły z zapomnienia wszystkie powieści Scotta i komplet do herbaty, a po południu tego samego dnia wystawiły na słońce i powietrze mosiężną osłonę kominka i stalowe szczypce do węgla. George, syn pani Bast, wyłapał szczury i ściał trawę. Zostali sprowadzeni murarze. Przy akompaniamencie skrzypienia zawiasów i zasuwek, trzaskania spaczonych od wilgoci desek obydwie kobiety uparcie pracowały. W miarę jak jęcząc i śpiewając zginały się i podnosiły, jak skrobały i ścierały, raz na górze, to znów na dole w piwnicach – wśród rdzy odbywał się mozolny poród. Ależ to, mówiły, robota.

Czasami przerywały pracę w południe i z osmolonymi twarzami, trzymając w starczych, pokrzywionych rękach kije od szczotek, piły herbatę to w sypialni, to znów w gabinecie. Rozsiadłszy się na krzesłach, rozwodziły się nad wygraną batalią z wanną i kranami lub nad bardziej

męczącym, lecz tylko częściowym zwycięstwem nad długimi rzędami niegdyś czarnych jak kruki książek, z których teraz wyrastały blade plamy pleśni i ukradkiem uciekały pająki.

Poczuwszy w sobie gorącą herbatę, pani McNab znów dopasowała teleskop pamięci do swych oczu i w kółeczku światła ujrzała, nadchodząc ze swym praniem, jak stary pan Ramsay, chudy jak tyczka, stał na trawniku i prawdopodobnie mówił coś do siebie kiwając głową. Nigdy jej nie zauważał. Niektórzy mówili, że już nie żył, a inni twierdzili, że to ona umarła. Więc w końcu które z nich umiało? Tego i pani Bast nie umiała powiedzieć. Że młody pan nie żyje – tego jest pewna, bo wyczytała jego nazwisko w gazecie.

No, a ta kucharka, Mildred, czy Marianna – jakieś takie imię – o wybuchowym usposobieniu, jak wszystkie rude kobiety, ale i dobra zarazem, jeśli się umiało z ni postępować. Nieraz się dobrze razem uśmieły. Miała zawsze talerz zupy dla Maggie, a czasem nawet kawałek szynki czy co tam zostało od stołu. Ramsayowie żyli dostatnio w owych czasach. Mieli wszystko, co chcieli (napiała się gorącej herbaty i – siedząc w wiklinowym fotelu przy kominku w pokoju dzieciennym – ze swadą i humorem rozwijała kłębek swoich wspomnień). Roboty było zawsze pełne ręce, bo i w domu potrafiło być dwadzieścia osób; zmywanie kończono nieraz dobrze po północy.

Odstawiając filizankę pani Bast (która nigdy ich nie

znała, bo mieszkała w tamtych czasach w Glasgow) zapytała się, po co została tam zawieszona ta zwierzęca czaszka. Pewno przywieźli ją z polowania gdzieś za granicą.

Bardzo możliwe, powiedziała pani McNab, grzebiąc wśród swych wspomnień: mieli przyjaciół we wschodnich krajach; odwiedzali ich eleganccy panowie i panie w wieczorowych sukniach; widziała kiedyś przez otwarte drzwi stołowego pokoju, jak siedzieli przy kolacji. Było chyba ze dwadzieścia osób – postrojonych w klejnoty; została wtedy, by pomóc w zmywaniu, które się przeciągnęło gdzieś do dwunastej.

O, powiedziała pani Bast, zastaną tu wielkie zmiany. Wychyliła się przez okno i patrzyła, jak jej syn George kosi trawę. Będą się pewnie dziwili, jak doszło do takiej ruiny, bo przecież stary Kennedy miał się tu opiekować wszystkim; ale po upadku z wozu miał bardzo kiepską nogę i przez cały prawie rok nie było nikogo; potem dopiero przyszedł Davie Macdonald, no i może nawet przysłali nasiona, ale kto tam wie, czy były kiedykolwiek zasiane? Tak, zastaną tu wielkie zmiany.

Przyglądała się, jak syn kosi trawę. Dobry był do roboty, spokojny chłopak. No, a teraz trzeba się brać dalej do szaf. Dźwignęły się obydwie.

Wreszcie, po wielu dniach pracy wewnątrz domu, po kopaniu w ogrodzie i koszeniu trawników, ścierki zniknęły z szyb, pozamykano okna i w całym domu rozległ się zgrzyt przekręcanych kluczy. Wszystko było

gotowe.

A teraz, kiedy nie było już słycać dźwięków sprzątańa, szorowania i koszenia, zaczęła napływać falami ledwie słyszalna melodia, która wpadała do ucha, by za chwilę znów ulecieć: jakieś szczekanie, jakieś beczenie, nieregularne, przerywane, a jednak współbrzmiące; brzęczenie owadu, szelest koszonej trawy, nie powiązane z sobą, a jednak w jakiś sposób uzupełniające się; szum trzmiela, to głośniejszy, to cichszy pisk koła, w tajemniczy sposób spokrewnione ze sobą. Wszystkie te dźwięki ucho starało się ogarnąć razem, lecz one nigdy nie dawały się w pełni usłyszeć, nigdy w pełni zharmonizować; aż wreszcie, gdy nadszedł wieczór, zamierały jeden po drugim i zapadała cisza. Po zachodzie słońca krajobraz zatracił swoją ostrość – wiatr ustał i spokój, jak rozpościerająca się mgła, ogarnął wszystko. Świat przeciągnął się leniwie przed snem; w ciemności widać było odbłask nasyconych zielenią liści i jasne plamy białych kwiatów przy oknie.

(Późnym wieczorem we wrześniu Lily Briscoe kazała zanieść swą podróżną torbę do domu. Pan Carmichael przyjechał tym samym pociągiem.)

10

Wreszcie nastał całkowity spokój. Morze wymieniało z

ładem sygnały pojednania. Nigdy nie przerywać więcej swego spoczynku, coraz głębiej pogrążyć się w ciszy i całym swym istnieniem potwierdzać święte, mądre sny marzycieli – czy o tych pragnieniach szumiało morze? – zastanawiała się Lily, gdy złożyła głowę na poduszkę w czystym, cichym pokoju i wsłuchiwała się w głos fal. Przez otwarte okno dochodził łagodny głos piękna, zbyt nikły, by usłyszeć, co mówił; nie miało to jednak znaczenia, bo sens był jasny; zawarta w nim była prośba (dom był znów pełen; przyjechała pani Beckwith i pan Carmichael), by, jeśli nie zejda na plażę, przynajmniej unieśli zasłony i wyjrzeni przez okna. Zobaczą wtedy, jak noc płynie w purpurze, z koroną na głowie, dzierżąc wysadzane klejnotami berło – noc o oczach, w które mogłoby bez lęku spojrzeć dziecko. A jeśli jeszcze się wahali (Lily była zmęczona podróżą i zasnęła prawie natychmiast, pan Carmichael natomiast czytał jeszcze książkę przy świecy) i opierali się jej . urodzie mówiąc, że ta wspaniałość to tylko złuda oparów i że rosa poranku obdarzona jest większym urokiem, i że chce im się spać – to wtedy, nie skarżąc się i nie wdając się w spory, głos nocy nucił dalej swą łagodną pieśń. Miętko rozbijały się fale (Lily słyszała je przez sen), łagodnie padało światło (zdawało się przenikać przez jej powieki). Niewiele tu się zmieniło, wszystko wyglądało tak – myślał pan Carmichael zamykając książkę i zapadając w sen – jak przed laty.

Gdy zasłony nocy spadły na dom, na panią Beckwith,

pana Carmichaela i Lily Briscoe, otulając ich oczy warstwami ciemności, głos piękna znów wrócił do swych pytań: dlaczego nie przyjąć i nie zadowolić się tym, co jest? Dlaczego nie zrezygnować z pragnień i nie pogodzić się z losem? Miarowy szmer fal, oblewających całą wyspę, działał na nich kojąco; noc przykryła ich swym płaszczem; nic nie przerywało im snu aż do chwili, gdy o brzasku ptaki rozpoczęły tkać swymi głosami bielejącą szatę dnia, zaskrzypiał gdzieś wóz i zaszczekał pies. Wreszcie słońce przebiło firanki w oknach i rozdarło welon przesłaniający im oczy; Lily Briscoe poruszyła się we śnie i złapała się kurczowo za koc tak, jak spadający człowiek chwyta się kępki mchu na brzegu skały. Oczy jej rozwarły się szeroko. Oto znów tu jestem – pomyślała siadając w łóżku rozbudzona.

LATARNIA

Cóż to oznacza, cóż to wszystko ma znaczyć? – zadawała sobie pytanie Lily Briscoe, zastanawiając się, czy wobec tego, że została sama, wypada jej pójść do kuchni, by przynieść sobie drugą filiżankę kawy, czy też ma czekać. Co to ma znaczyć? – było to pytanie nie oddające zbyt dokładnie jej nastroju, ale – wyczytane w jakiejś książce – natrętnie utkwіło jej w pamięci; nie potrafiła tego pierwszego ranka u Ramsayów uporządkować swych uczuć; jak długo wznosiły się opary, nie potrafiła wypełnić pustki swego umysłu niczym innym. Bo co właściwie czuła, przybywszy tu po tylu latach – gdy nie było już pani Ramsay? Nic, nic – nic, co by potrafiła w jakikolwiek sposób wyrazić.

Przyjechała późno poprzedniego wieczoru, kiedy wszystko było ciemne i tajemnicze. A teraz, w biały dzień, siedziała przy śniadaniu na swoim dawnym miejscu – zupełnie sama. Było bardzo wcześnie – zegar nie wybił jeszcze ósmej. Dziś miała odbyć się ta wycieczka: pan Ramsay, Cam i James mieli popłynąć do Latarni. Powinni już chyba ruszać – jeśli chcieli złapać przyływ. Ale ani Gam, ani James nie byli jeszcze gotowi, a Nancy zapomniała powiedzieć, by zrobiono kanapki; pan Ramsay zirytował się i wyszedł z pokoju. – Teraz jest już za późno, by wyruszyć! – krzyknął.

Nancy przezornie zniknęła, a on rozwścieczony

przechadzał się tam i z powrotem po tarasie. Wydawało się, że cały dom pełen jest trzaskania drzwi i krzyku. Po chwili Nancy wróciła i rozglądając się po pokoju zapytała dziwnym, na pół zgubionym, na pół zrozpaczonym głosem: – Co się posyła do Latarni? – tak, jak by była przekonana, że bierze się do czegoś, czemu nie będzie w stanie sprostać.

Rzeczywiście, co się posyła do Latarni! Kiedy indziej Lily potrafiłaby zaproponować coś rozsądnego: herbatę, tytoń czy gazety. Jednakże tego ranka wszystko wydawało się tak niebywale dziwaczne, że pytanie Nancy: „Co się posyła do Latarni?”, otwierało w mózgu jakąś bujającą się tam i z powrotem i trzaskającą furtkę, a otepiały człowiek sam w końcu zaczynał sobie zadawać pytania: Rzeczywiście, co się posyła? Co się powinno robić w tej sytuacji? Dlaczego w ogóle tu jestem?

Siedząc samotnie przy długim stole (Nancy znów wyszła), wśród czystych filiżanek, Lily poczuła się odcięta od innych ludzi; mogła jedynie obserwować, rozmyślać i zadawać sobie pytania. Ten dom, cała ta okolica i ten ranek – wszystko to tchnęło jakąś obcością. Nie łączyło jej tu nic z niczym i z nikim; wszystko mogło się zdarzyć, a cokolwiek się działo (słysząc było jakieś kroki na dworze i głos wołający: „Nie w kredensie, tylko na podeście”), zamieniało się w wątpliwość, tak jak gdyby ta więź, która normalnie łączyła wszystko ze sobą, została przecięta, a one krążyły to tu, to tam – bez żadnego sensu i ładu. Jakie to wszystko bezcelowe, jakie chaotyczne i

nierzeczywiste, myślała patrząc na pustą filiżankę po kawie. Pani Ramsay nie żyje; Andrew zabity; Prue także nie żyje! Lecz choćby myślała o tym nie wiem jak długo, nie budziły się w niej żadne uczucia. A my wszyscy spotykamy się tu w taki poranek jak by nigdy nic, pomyślała wyglądając przez okno. Dzień był piękny i cichy.

2

Pan Ramsay, przechodząc, podniósł nagle głowę i spojrzał prosto na nią tym swoim dzikim, roztargnionym wzrokiem, który był jednak bardzo przenikliwy, zupełnie jak by widział człowieka po raz pierwszy i – choć patrzył tylko przez sekundę – chciał zapamiętać. na zawsze; udała, że pije kawę z pustej filiżanki, by ujść przed nim – ujść przed jakimś jego żądaniem i odwlec choć na chwilą spełnienie jego nie cierpiącego zwłoki pragnienia. Skinął w jej stronę głową, ale nie zatrzymał się. – Samotny... zgubiony... – posłyszała, jak mówi, i słowa te, jak wszystko inne tego dziwnego poranka, stały się symbolem, zapisały się wielkimi zgłoskami na szarozielonych ścianach. Czowała, że gdyby potrafiła połączyć je razem, ułożyć z nich zdanie, to dotarłaby do samego dna prawdy. Sitarzy pan Carmichael przywędrował cichutko, nalał sobie kawy i wyniósł się z filiżanką, by

siąść na słońcu w ogrodzie. Niebywała nierealność tej sceny przerażała, ale i podniecała zarazem. Wyprawa do Latarni. Ale co należy posłać do Latarni? Zgubiony... samotny...

Szarozielone światło na przeciwległej ścianie. Puste krzesła. Oto niektóre części, ale jak należy je ułożyć obok siebie? – zadawała sobie pytanie. Nie chcąc, by pan Ramsay ją zauważył, jak gdyby każda przeszkoda mogła zniszczyć ten kruchy kształt budowany przez nią na stole, odwróciła się plecami do okna. Musi jakoś uciec i poszukać samotności. Nagle przypomniała sobie. Gdy tu siedziała przed dziesięciu laty, patrzyła w momencie objawienia na deseń z liści czy gałązek wyhaftowany na obrusie. Chodziło o pierwszy plan obrazu. Należy przesunąć drzewo do środka – tak sobie wtedy powiedziała. Nigdy tego obrazu nie skończyła. Powracała jednak do niego myślą przez te wszystkie lata, Namaluje go teraz. Ale gdzie są jej farby? – zastanawiała się. Zostawiła je wczoraj wieczorem w hallu. – Zacznie zaraz malować. Podniosła się szybko, by pan Ramsay nie zdążył się obrócić.

Przyniosła sobie krzesło. Z precyzją starej panny ustawiła sztalugi na brzegu trawnika, nie za blisko pana Carmichaela, ale tak jednakże, by być pod jego opieką. To dziwne, dokładnie w tym samym miejscu stały jej sztalugi dziesięć lat temu. Oto tam jest ten sam mur, a tu żywopłot i drzewo. Problem polegał na uchwyceniu stosunku tych rzeczy do siebie. Męczyło ją to przez te wszystkie lata.

Teraz znalazła rozwiązanie – wiedziała już, co należy zrobić.

Nie mogła jednak pracować, kiedy pan Ramsay był w pobliżu. Każde jego zbliżenie – spacerował tam i z powrotem po tarasie – oznaczało chaos w głowie, oznaczało nieszczęście. Nie mogła malować, to się pochylała, to obracała, to znów podnosiła jakąś szmatkę czy wyciskała tubkę z farbą, a wszystko po to, by go odstraszyć bodaj na chwilę. Uniemożliwiał jej pracę. Gdyby zauważył, że jest choćby najmniejsza okazja, że Lily – chwilowo nie zajęta – patrzy w jego stronę, skierowałby się ku niej, mówiąc (tak, jak wczoraj wieczorem): „Więc uważa pani, żeśmy się bardzo zmienili”. A sześcioro jego dzieci, którym nadali przydomki królów i królowych angielskich: „Rudy”, „Piękna”, „Przewrotna” i „Bezlitosny”, siedziało w milczeniu, z wściekłością w sercu. Poczciwa stara pani Beckwith powiedziała coś rozsądnego, ale był to dom pełen sprzecznych namiętności – Lily czuła to przez cały wieczór. A w dodatku pan Ramsay wstał, uściśnął jej rękę i powiedział: „Zobaczy pani, żeśmy się bardzo zmienili”; nikt się na to nie poruszył ani nie przemówił; siedzieli bez słowa, jak by nie byli w stanie mu zaprzeczyć. Tylko James (z pewnością „Posepny”) wpatrywał się ponuro w lampę, a Cam kręciła chusteczkę w palcach. Pan Ramsay przypomniał im, że jutro mają się wybrać do Latarni. Muszą być gotowi w hallu punktualnie o wpół do ósmej. Wychodząc, zatrzymał się z ręką na klamce i obrócił się

do nich, pytając, czy rzeczywiście mają ochotę się wybrać? Gdyby się ośmielili powiedzieć, że nie mają (była przyczyna, dla której mógł sobie tego życzyć), to rzuciłby się tragicznie w odmęt rozpacz. Ach, jakżeż się lubował w gestach! Robił wrażenie króla na wygnaniu. James powiedział „tak” z determinacją, lecz Cam zająknęła się nieszczęśliwie. Ale tak, naturalnie, będą gotowi obydwój – odpowiedzieli. I to ją uderzyło: te zniewolone dzieci, które utraciły swobodę ducha; to właśnie było tragedią, a nie żałoba, całun i kurz. James miał lat szesnaście, Cam – pewnie siedemnaście. Szukała spojrzeniem kogoś, kogo brakowało – prawdopodobnie pani Ramsay. Lecz była tylko poczciwa pani Beckwith, przeglądająca pod lampą swoje szkice. Zmęczona (myśl jej nadal, tak jak fala morska, to opadała, to wznosiła się), nasycona smakiem i zapachem miejsca, do którego wróciła po długiej nieobecności, z oczyma wypełnionymi chybotliwym blaskiem świec, zatraciła się zupełnie i przestała istnieć dla świata. Noc była cudowna, jarząca się od blasku gwiazd; gdy szli na górę, słychać było szum fal, a olbrzymi, błądy księżyc wyjrzał na nich nagle z okna klatki schodowej. Zasnęła natychmiast.

Osadziła czyste płótno na sztalugach, niby barierę niezbyt mocną, ale dostateczną, by zagrozić drogę panu Ramsayowi i jego precyzyjnym pytaniom. Kiedy był do niej odwrócony plecami, robiła, co mogła, by zastanowić się nad obrazem: tu nad jakąś linią, tam nad jakimś konturem. Ale na nic się to zdało. Choćby znajdował się

nie wiadomo jak daleko od niej, choćby nawet do niej nie mówił i nie widział jej, czuła stałe jego obecność: narzucał się i przenikał wszystko. Wszystko też zmieniał. Już nie czuła koloru, już nie czuła linii; nawet gdy stał odwrócony plecami, myślała jedynie o tym, że zaraz tu wpadnie i zażąda czegoś, czego na pewno nie będzie mu w stanie ofiarować. Odrzuciła jeden pędzel – wzięła drugi. Kiedyż przyjdą te dzieci? I kiedy one wreszcie ruszą w świat? – zastanawiała się z niecierpliwością. Ten człowiek, myślała z wzrastającym gniewem, nigdy nic nie dawał; umiał tylko brać. A ona, przeciwnie, będzie zmuszona do ofiarowywania wszystkiego z siebie. Pani Ramsay zawsze ofiarowywała się, aż wreszcie umarła i zostawiła ich wszystkich. O, była zła na panią Ramsay. Z pędzlem w drżącej dłoni stała wpatrzona w żywopłot, schodki i mur. Temu wszystkiemu winna była pani Ramsay. A teraz nie żyła już. A Lily – miała już czterdzieści cztery lata – marnowała czas, nie była w stanie nic robić; stała tu i zabawiała się malowaniem, jedyną rzeczą, którą powinno się traktować serio. A temu wszystkiemu winna była pani Ramsay. Ale nie żyła już. Schodki, na których zwykle siedziała, były puste. Nie żyła już.

Po co nieustannie to powtarzać? Po ~o ciągle wysilać się na uczucia, których w rzeczywistości nie doznawała? Było w tym jakieś bluźnierstwo. Wszystko już w niej wyschło, wszystko zwiędło, wszystko wypaliło się. Nie powinni byli jej tu zapraszać, a ona nie powinna była

przyjeżdżać. Nie wolno marnować czasu, jak się ma czterdzieści cztery lata, myślała. Nie znosiła traktowania malarstwa jak rozrywki. Pędzel, to jedyna rzecz, na której można polegać w skłóconym, rozbitym i bezładnym świecie, nie powinien służyć do zabawy, nawet świadomej; nie cierpiała tego. A on ją do tego zmusił. „Nie wolno ci dotknąć płótna – zdawał się mówić kierując się ku niej – dopóki nie spełnisz moich życzeń. „ I znów podszedł, łapczywy, roztargniony. No cóż, pomyślała zrozpaczona Lily, opuszczając prawą rękę, będzie prościej przebrnąć przez to teraz. Z pewnością potrafi naśladować, uciekwszy się do wspomnień, ten żar uniesienia i oddania się, który rozniecał się na twarzach tylu kobiet (na przykład u pani Ramsay) przy takiej okazji; pamiętała wyraz twarzy pani Ramsay: tę ekstazę współczucia, a następnie błogiego zadowolenia z okazanej wdzięczności; dzięki tym uczuciom, których przyczyn nie rozumiała, kobiety doznają najwyższej rozkoszy, do której natura ludzka jest zdolna. A teraz właśnie zatrzymał się przy jej boku. Ofiaruje mu to, na co ją stać.

3

Robiła na nim wrażenie, jak by się nieco zeszcła. Była drobna i niepozorna, ale miała swoisty wdzięk. Lubił ją. Kiedyś przebąkiwano o jej małżeństwie z Williamem

Bankesem, ale nic z tego nie wyszło. Żona też ją lubiła. Przy śniadaniu stracił panowania nad sobą i wybuchnął. I właśnie wtedy – była to jedna z takich chwil, kiedy czuł ogromną, podświadomą potrzebą zbliżenia do kobiet – chciał przymusić ją, wszystko jedno jak, by okazała mu to, czego pragnął: współczucie.

– Czy ktoś się panią opiekuje? – spytał. – Czy ma pani wszystko, co pani potrzeba?

– Och, dziękuję, mam wszystko – odparła Lily nerwowo. Powinna była od razu wylewnie ofiarować swe współczucie, gdyż oczekiwał na nie z ogromnym napięciem. Lecz nie, nie była w stanie tego zrobić, nie umiała przełamać swej sztywności i rezerwy. Zapadło przykre milczenie. Obydwoje spoglądali na morze. Dlaczego nie patrzy na mnie, gdy jestem przy niej? – zastanawiał się pan Ramsay. Lily wyraziła nadzieję, iż morze będzie na tyle spokojne, by mogli wylądować przy Latarni. Latarnia! Latarnia! Cóż to ma do rzeczy! – myślał zniecierpliwiony. I natychmiast (już dłużej nie mógł się powstrzymać) jęknął z tak głębokim bólem w głosie, że każda kobieta w świecie zareagowałaby mówiąc coś lub po prostu robiąc jakiś gest. Każda, ale nie ja, pomyślała Lily, gorzko szydząc z siebie, bo ja nie jestem kobietą, tylko zaszuszoną i zgryźliwą starą panną z humorami.

Pan Ramsay ciężko wzdychał. Czekał. Czy ona wreszcie się odezwie? Czy nie widzi, czego od niej oczekuje? Powiedział wreszcie, że ma specjalny powód, dla którego chce wybrać się do Latarni. Jego żona zwykle

posyłała rodzinie latarnika różne rzeczy. Jego syn miał gruźlicę biodra. Westchnął głęboko, znacząco. A Lily pragnęła jedynie, by ten zalew, nawał wielkich trosk (miał ich tyle, że mógł nimi zaopatrzyć ją na całe życie), niezaspokojony głód współczucia i żądanie, by mu się całkowicie poddała – skierował się w inną stronę (patrzyła ciągle na dom w nadziei, że stamtąd nadejdzie ratunek), zanim zatopi ją w swych odmętach.

– Takie wyprawy – powiedział pan Ramsay kopiąc ziemię czubkiem buta – są pełne bolesnych wspomnień. – Lily w dalszym ciągu milczała. (Ależ to zimny głaz – myślał sobie w duszy.) I bardzo wyczerpujące – dodał – spojrzawszy z taką żałością na swoje piękne ręce, że jej się aż niedobrze od tego zrobiło. (Gra – pomyślała – ten wielki człowiek okropnie siebie dramatyzuje.) To było obrzydliwe, to było żenujące. Czyż nigdy nie nadejdą, niecierpliwiła się, bo nie mogła już ani chwili dłużej utrzymać tego ogromnego ciężaru strapień, udźwignąć tych ciężkich draperii żałoby (przyjął pozę zgrzybiałego starca – nawet zachwiał się na nogach).

A ona dalej nie była w stanie nic powiedzieć; w całym krajobrazie nie znalazła nic, o czym by mogła z nim pomówić; czuła jedynie, ku swemu zdumieniu, że żałobne spojrzenie pana Ramsaya pozbawia koloru oświetloną słońcem trawę i rzuca zasłonę z krepy na rumianą, senną i w pełni zadowoloną postać pana Carmichaela, czytającego francuską powieść na leżaku – jak by taka istota, drażniąca w świecie smutku swoim powodzeniem,

musiała wywoływać posępne myśli. „Popatrz na niego – zdawał się mówić pan Ramsay – i popatrz na mnie”; cały czas, zresztą, pragnął tylko tego jednego: myśl o mnie, myśl o mnie. Ach, gdybyż można mieć tego pana Carmichaela obok siebie; dlaczego nie umieściła sztalug bliżej niego; żeby tu był jakiś mężczyzna, jakikolwiek mężczyzna, toby powstrzymał tę fontannę żalu, przerwał ten potok skarg. Przyczyną tej okropności było to, że jest kobietą; ale jako kobieta powinna umieć poradzić sobie z tym. Ogromnie uwłaczało to jej płci, że stała tak, jak niema. W takim wypadku mówiło się... co się właściwie mówiło? O, panie Ramsay! Drogi panie Ramsay! Tak by od razu powiedziała ta poczciwa stara pani Beckwith, która robi szkice – tak należało się odezwać. Ale Lily milczała. Stali więc obydwój oddzieleni od reszty świata. Jego ogromne rozczenie nad samym sobą, jego domaganie się współczucia zdawały się wylewać z niego i tworzyć kałuże u jej stóp; a ona, nieszczęsna grzesznica, nie potrafiła nic innego robić, jak tylko obciągać ciaśniej spódnicę koło kostek, żeby się nie zamoczyć. Stała nie odzywając się ani słowem i kurczowo ścisnęła pędzel.

Chwała Bogu, najwyższa chwała! Usłyszała jakieś odgłosy z domu – widocznie nadchodzili James i Cam. Pan Ramsay wreszcie jednak zrozumiał, że zostało mu już niewiele czasu, bo natarł na jej samotność całym ciężarem swych strasznych niedoli; mówił właśnie o swym wieku, o braku sił, o opuszczeniu, gdy nagle podrzuciwszy niecierpliwie głowę z irytacji – bo, w końcu, jakaż kobieta

umiała mu się oprzeć! – spostrzegł, że rozwiązały mu się sznurowadła u butów. Były to doprawdy niezwykle buty: ogromnych rozmiarów i – jak by wyrzeźbione; jak wszystko zresztą, co miał na sobie, począwszy od postrzępionego krawata, aż do częściowo tylko zapiętej kamizelki, nosiły niezaprzeczalne piętno jego osobowości. Mogła sobie wyobrazić, jak z własnej inicjatywy ruszają do jego pokoju i wyrażają same cały jego patos, zgryźliwość, złe humory i – urok.

– Cóż za piękne buty! – wykrzyknęła i zawstydziała się od razu. Jakżeż mogła chwalić jego buty, gdy on domagał się pociechy duchowej, gdy ukazywał jej swoje krwawiące ręce, porwane serce i prosił, by okazała mu litość. Jakżeż mogła beztrąsko zauważyć: „Cóż za piękne buty pan ma na nogach!”; wiedziała, że to zasługiwało – należało tego zaraz oczekiwać – na nagły ryk gniewu i zupełne unicestwienie.

A tymczasem pan Ramsay się uśmiechnął. Zniknęły gdzieś żalobny całun, draperie i wszystkie słabości. – O, tak – powiedział podnosząc nogę, by mogła się dobrze przyjrzeć – tak, to są pierwszorzędne buty. W Anglii jest tylko jeden szewc, który potrafi robić takie buty. A buty są jednym z największych przekleństw ludzkości – rzekł. – Szewcy z upodobaniem okaleczają i torturują nam nogi. To najbardziej uparty i przewrotny rodzaj ludzki. – Od wczesnej młodości starał się nosić wygodne buty. Z pewnością jeszcze nigdy nie widziała (najpierw podniósł prawą nogę, potem lewą) butów o takim kształcie. Zostały

zrobione z najlepszego gatunku skóry. Większość skór – to po prostu brązowy papier i tektura. Patrzył z zadowoleniem na ciągle jeszcze podniesioną nogę. I oto, pomyślała Lily, dotarliśmy do [błogosławionej wyspy dobrych butów, na której króluje pokój, panuje zdrowy rozsądek i zawsze świeci słońce. Poczwała w sercu trochę ciepła dla niego. – A teraz zobaczmy, czy pani potrafi zawiązać supełek – powiedział. Phi, pogardliwie zlekceważył jej wysiłki i pokazał, jak to robi sam. Jeśli się tak zawiąże, to samo nigdy się nie rozsypła. Trzy razy zawiązywał i odwiązywał jej bucik.

Dlaczego w tym zupełnie niewłaściwym momencie, gdy był pochylony nad jej butami, zalała ją taka fala współczucia, że gdy się schyliła, sama krew nabiegła jej do twarzy i (pamiętała, z jaką surowością potępiła go, jako komedianta) poczuła, jak łzy wzbierają jej w oczach i łaskoczą powieki? Zawiązywał węzły. Zajmował się kupowaniem butów. Nie sposób było pomóc mu na drodze, po której kroczył. Wydał się jej teraz postacią niesłychanie patetyczną. I właśnie teraz, gdy chciała coś powiedzieć i czuła, że jej się to uda, nadeszli Cam i James. Wyszli bez pośpiechu na taras, jedno obok drugiego – poważna, melancholijna para.

Dlaczego tak właśnie szli? Nie potrafiła się powstrzymać od pewnej irytacji: mogli przecież mieć weselsze miny, mogli ojcu ofiarować to, czego ona nie będzie już w stanie dać, gdyż zaraz wyruszali. Poczwała nagłą pustkę i zawód. Jej uczucia przyszły za późno;

teraz, gdy była gotowa je okazać, on już ich nie potrzebował. Stał się z powrotem dystyngowanym, starszym panem, któremu na niej zupełnie nie zależało. Poczula się zlekceważona. Zarzucił sobie plecak na ramiona. Rozdzielił paczki, których było sporo – wszystkie niedbale zapakowane w brązowy papier. Posłał Cam po płaszcz. Zachowywał się jak dowódca przygotowujący wyprawę. A (potem obrócił się i obładowany brązowymi paczkami – pomaszerował w tych swoich cudownych butach mocnym, wojskowym krokiem; dzieci ruszyły ścieżką za nim. Pomyślała, że wyglądają tak, jak by los wyznaczył im jakieś trudne, poważne zadanie, ku któremu zdążają, na tyle jeszcze młode, by poddać się woli ojca bez sprzeciwu, lecz z pobladłymi oczami świadczącymi o tym, że cierpią w milczeniu, ponad swój wiek. Szli brzegiem trawnika, a Lily wydawało się, że obserwuje jakiś pochód, który choć marudzi i ociąga się, to jednak idzie naprzód pod wpływem wspólnego wszystkim impulsu; ta mała grupka związanych ze sobą ludzi wywarła na niej silne wrażenie. Gdy mijali ją, pan Ramsay pozdrowił ją ręką, uprzejmie, ale z pewną rezerwą.

„Cóż to za interesująca twarz, myślała czując, jak współczucie, o które jej nie proszono, domaga się teraz, by mu dać jakiś wyraz. Co uformowało tę twarz? Zapewne myślenie po całych nocach „o realności kuchennego stołu” – dodała przypomniawszy sobie ten symbol, który jej ongi podsunął Andrew, gdy w swej

nieświadomości pytała go, o czym myśli pan Ramsay. (Przypomniała sobie, że Andrew został zabity na miejscu – przez odłamek szrapnela.) Ten stół kuchenny – to twór surowej wyobraźni; coś, co jest nagie, twarde i nieozdobne; coś, co nie ma koloru, co całe składa się z brzegów i kątów i jest całkowicie, absolutnie proste. Ale pan Ramsay trzymał oczy utkwione w tę rzecz i nie pozwalał się od niej oderwać ani nie dawał się zwodzić innymi sprawami, aż twarz mu się pobruździła, stała się ascetyczna i piękna ową nieozdobną urodą, która na niej robiła tak głębokie wrażenie. A później przypomniała sobie (stojąc, z pędzlem w ręku, tam, gdzie ją zostawił), że i inne, mniej szlachetne troski również żłobiły tę twarz. Musiał mieć różne wątpliwości co do tego stołu: czy był rzeczywistym stołem, czy był wart czasu, który mu poświęcał, i czy w końcu potrafi go w ogóle znaleźć. Z pewnością miał wątpliwości, bo w przeciwnym razie mniej by wymagał od ludzi. Podejrzewała, że o tym właśnie rozmawiał nieraz późną nocą z panią Ramsay, która następnego dnia wyglądała umęczona; to tak wściekało Lily, że gniewała się na niego o byle drobnostkę. Teraz nie miał z kim pomówić o tym stole ani o swoich butach czy supełkach; był jak lew szukający, kogo by pożreć; twarz jego nosiła piętno przesadnej, rozpaczy, która tak ją zaniepokoiła i kazała jej obciągnąć spódnicę. A potem nagle podniecił się i ożywił (gdy pochwaliła jego buty), nagle, odzyskał żywotność i zainteresował się znów zwykłymi, ludzkimi sprawami; z

kolei i to odmieniło się (stale się odmieniał, nie maskując zresztą swych nastrojów) i przeszło w tę ostatnią fazę, całkiem dla niej nową; musiała przyznać, że zawstydziła się swojej uprzedniej irytacji, kiedy zostawiwszy za sobą wszystkie troski i ambicje, nadzieję na współczucie i pragnienie pochwał, odszedł do jakiejś innej krainy – wdał się, powodowany ciekawością, w niemą rozmowę z samym sobą lub może z kimś innym – i prowadząc ten mały pochód zniknął jej z oczu. Niezwykła twarz! Rozległ się trzask zamykanej furtki.

4

A więc poszli – westchnęła z ulgą i rozczarowaniem. Z nagłą, niby prąd, przeniknęło ją uczucie sympatii. Czuła się dziwnie rozdarta, jak gdyby jedną jej część ciągnęło coś za nimi (dzień był spokojny, zasnuty lekką mgiełką, wydawało się, że Latarnia jest ogromnie daleka), druga jej część uparcie i mocno trzymała się trawnika. Ujrzała, jak jej obraz napływa z góry i ustawia się przed nią: biały i nieubłagany. Zdawał się wpatrywać w nią zimnym wzrokiem i czynić jej wyrzuty za cały ten pośpiech i podniecenie, za to bezsensowne marnowanie uczucia; ostro przywoływał ją do porządku i najpierw, gdy tylko zniknęły bezładne wzruszenia (pan Ramsay już odszedł, a ona, która go tak żałowała, nie powiedziała mu nic),

rozpostarł w jej umyśle obłok spokoju, a następnie – wypełnił go pustką, Patrzyła bezmyślnie na płótno, na jego bezlitosną biel; po chwili przeniosła spojrzenie na ogród. Było tu coś (stała, zmrużywszy chińskie oczka w swej drobnej, pomarszczonej twarzy) w tym układzie zbiegających w dół i przecinających się linii, w tej bryle zielonego żywopłotu skupiającej niebieskie i brązowe barwy, coś, co utkwilo w jej pamięci; zawęzliło się to tak w jej mózgu, że przy różnych niespodziewanych okazjach – to idąc Brompton Road, to na przykład czesząc się – łapała się na tym, że zupełnie machinalnie maluje swój obraz i wodzi po nim oczami, starając się rozwiązać ten problem w wyobraźni. Ba, ale to zupełnie co innego swobodnie komponować w wyobraźni, a co innego wziąć pędzel do ręki i zdecydować się na pierwsze pociągnięcie.

Zdenerwowana obecnością pana Ramsaya wzięła niewłaściwy pędzel, a i nerwowo ustawione sztalugi stały pod złym kątem. A teraz, gdy ustawiła je poprawnie i pozbyła się tych niepotrzebnych i rozprasających jej uwagę myśli, które zmuszały do zastanowienia się nad sobą i nad swym stosunkiem do ludzi, sięgnęła po pędzel i uniosła go do góry. Przez chwilę ręka jej drżała w powietrzu w bolesnej, lecz podniecającej ekstazie. Od czego zacząć, w którym miejscu zrobić pierwsze pociągnięcie? – oto pytanie. Już pierwsze pociągnięcie pędzla po płótnie budziło niezliczone wątpliwości, zmuszało do szeregu decyzji, z których nie można się było później wycofać. To, co w myśli wydawało się proste, w

praktyce od razu się komplikowało; to było tak jak z falami: z wysokiego brzegu wydają się symetryczne, a płynący wśród nich człowiek widzi głębokie zapadliska i pienne grzbiety. Ale nie ma rady – trzeba podjąć ryzyko, trzeba wykonać pierwszy ruch.

Gdy pociągnęła pędzlem zdecydowanie i szybko, doznała dziwnego uczucia – jak by ją coś pchało do przodu, a jednocześnie nie pozwalało się ruszyć. Na białym płótnie pędzel zostawiał za sobą błyszczący, brązowy ślad. Pociągnęła po raz drugi – i trzeci. I tak na zmianę pauzując i błyskając kolorem, wprawiała się w taneczny, harmonijny ruch, w którym przerwy były jedną, a pociągnięcie pędzlem – drugą częścią rytmu; pracując szybko i lekko, pokryła płótno brązowymi, nerwowymi liniami, które wkrótce zamknęły pewną przestrzeń (czuła, jak ta przestrzeń olbrzymieje jej przed oczami). W dole, w załamaniu jednej fali, widziała już następną, wspinającą się nad nią coraz to wyżej i wyżej. Cóż może bardziej przerażać niż taka przestrzeń? Odstąpiwszy od obrazu, by nań popatrzeć, pomyślała, że oto znów wyrwała się z kręgu plotek, z życia, z wspólnoty ludzkiej, by znaleźć się twarzą w twarz ze swym starym, potężnym nieprzyjacielem: tą inną rzeczywistością, która nagle wyłoniwszy się naga spod osłony pozorowanej... położyła na niej swe ręce i objęła w posiadanie. Czowała w sobie niechęć i opór. Dlaczego zawsze musi ją coś ciągnąć i odwoływać od tego, co robi. Dlaczego nie może w spokoju porozmawiać z panem Carmichaelem siedzącym

na trawniku? A poza tym sztuka stawia takie niezwykle wymagania. Inne rzeczy godne czci nie pragną nic więcej poza kultem: mężczyźni, kobiety, Bóg zadowolają się, gdy kornie chylimy się przed nimi w hołdzie; lecz forma, choćby tylko w postaci białego abażuru na wiklinowym stole, podnieca do nieustannej walki, wyzywa do zmagania, z których człowiek musi wyjść pobity. Zawsze (być może tkwiło to w jej naturze lub w jej płci – nie potrafiła tego sama rozstrzygnąć), nim zamieniła rozwichrzenie normalnego życia na koncentrację malowania, przeżywała kilka chwil takiej nagości; wydawało jej się wtedy, że jest nie narodzoną jeszcze duszą, duszą pozbawioną ciała, wahającą się na jakimś wietrznym szczycie i wystawioną bez żadnej ochrony na wszystkie podmuchy zwątpienia. Po cóż więc malowała? Spojrzała na płótno, po którym biegło lekko parę linii. I tak powieszają ten obraz w jakimś pokoju dla służby. Albo zwiną i wepchną pod kanapę. Cóż więc z tego malowania przyjdzie? Jakiś głos mówił jej, że nie umie malować, że nie potrafi tworzyć; wpadła z przyzwyczajenia w jeden z tych ciągów asocjacji, które po pewnym czasie przybierają w naszym umyśle kształt doświadczenia; powtarza się wtedy słowa, nie pamiętając już, kto je pierwszy powiedział.

– Nie potrafię malować, nie potrafię pisać – mruzczała monotonicznie, zastanawiając się w napięciu, w jaki sposób ma zaatakować płótno. Ta przestrzeń wyrasta przed nią: czuła, jak wysuwa się poza obraz i naciska jej gałki oczne. A potem, jak by wlał się w nią nowy strumień energii

potrzebny do pobudzenia zmysłów, zaczęła z namysłem maczać pędzel w kobaltach i umbrach, ruszając nim to tu, to tam; szło to teraz ciężiej i wolniej niż poprzednio, jak by dostosowywała się do jakiegoś narzuconego jej rytmu (cały czas patrzyła to na żywopłot, to na płótno); widziała jednocześnie, że choć jej ręka drga życiem, to rytm ten jest na tyle mocny, by nadać pędzlowi swój bieg. Straciła zupełnie poczucie otaczającego ją świata. Ale choć nie była świadoma swojego imienia, swojej osobowości, wyglądu i nie zdawała sobie sprawy z tego, czy pan Carmichael znajduje się w jej pobliżu, czy już go nie ma, pamięć jej jak fontanna ciągle wyrzucała ze swej głębi sceny, nazwiska, powiedzenia, wspomnienia i myśli na tę koszmarne trudną, jarząco białą przestrzeń, którą usiłowała ukształtować przy pomocy barw zielonych i niebieskich.

Przypomniała sobie, jak Charles Tansley mawiał, że kobiety nie potrafią ani malować, ani pisać. Gdy malowała, dokładnie na tym samym miejscu co teraz, podchodził od tyłu i stawał tuż za jej plecami; wprost nie znosiła tego. – Machorka – mówił – pięć pensów za łut – popisując się swoim ubóstwem i swymi zasadami. (Wojna stępiła jednak żądło jej kobiecej złośliwości. Biedacy, myślało się teraz zarówno o mężczyznach, jak i o kobietach, w jakiejże to kabale się teraz znaleźli.) Zawsze nosił pod pachą książkę – jakiś czerwono oprawny tomik. „Pracował”. Pamiętała, jak brał się do czytania siedząc w pełnym słońcu. A w porze kolacji można go było zwykle

zobaczyć pośrodku tego widoku, który miała teraz przed oczami. No i jeszcze ta scena na plaży. Tego nie wolno zapomnieć. Był wietrzny ranek. Wszyscy wybrali się na plażę. Pani Ramsay siedziała pod skałą zajęta listami. Pisała je i pisała. „Och – zapytała się wreszcie, spojrzawszy na coś unoszącego się na morzu – czy to niewód na homary, czy też przewrócona łódź?”; miała tak krótki wzrok, że nie mogła dojrzeć; a wtedy Charles Tansley stał się niezwykle miły. Zaczął puszczać kaczki po wodzie. Rzucali z Lily małe, płaskie kamyczki i patrzyli, jak skaczą z fali na falę. Co jakiś czas pani Ramsay spoglądała na nich sponad okularów i śmiała się. Lily nie mogła sobie przypomnieć, o czym była mowa; pamiętała tylko, że Charles i ona rzucali kamyczkami i byli, ni z tego, ni z owego, w doskonałej komitywie – a pani Ramsay ich obserwowała. Lily zauważyła to doskonale. Ach, ta pani Ramsay! – zamyśliła się, cofnęła krok od obrazu i zmrużyła oczy. (Gdy pani Ramsay siedziała na schodkach z Jamesem, to cała konstrukcja widoku musiała być całkiem odmienna. Ich postacie rzucały przecież cień.) Pani Ramsay! Gdy rozpamiętywała scenę na plaży, to wszystko zdawało się być jakoś uzależnione od pani Ramsay, siedzącej pod skałą z blokiem na kolanach i piszącej listy (Pisywała niezliczoną ilość listów). Czasami wiatr porywał kartki i tylko z trudem udawało się uratować je przed wpadnięciem w morze. Jakaż potęga tkwi w duszy ludzkiej! – myślała. Ta kobieta, siedząca pod skałą i

pisząca listy, stwarzała koło siebie atmosferę prostoty; sprawiała, że wszelkie gniewy i irytacje opadały z człowieka jak zeschnięte liście; łączyła to z tym, a tamto z owym; z śmiesznej głupoty i złośliwości (bo przecież jej kłótnie i utarczki z Charlesem były głupie i zaprawione złośliwością) potrafiła zawsze coś wydobyć: na przykład ten moment przyjaźni i zbliżenia na plaży, który przetrwał w niej nienaruszony. przez te wszystkie lata i mogła teraz sięgnąć do niego, by skorygować swe wspomnienia; pamiętała tę chwilę tak, jak pamięta się dzieło sztuki.

– Jak dzieło sztuki – powtórzyła przenosząc wzrok z płótna na schodki do salonu i z powrotem. Trzeba odpocząć chwilę – pomyślała. A gdy odpoczywała, spoglądając ciągle niepewnie to na schodki, to na płótno, ta dobrze znana wątpliwość, wiecznie przesuwająca się przez horyzont jej duszy, ta wielka, zasadnicza wątpliwość, która w momentach rozluźnionego napięcia jawiła się przed nią w postaci uformowanego już pytania, znów nad nią zawisała niby czarna chmura. Jaki jest sens życia? Oto wszystko – proste zupełnie pytanie. Z latami jednak człowiek coraz głośniej je słyszy. Ale moment wielkiego objawienia nie przychodzi – i może nigdy nie przyjdzie. Zamiast niego zdarzają się małe, codzienne olśnienia, krople jasności, które jak zapalki niespodziewanie rozbłyskują w ciemności – tak jak przed chwilą. Są to różne drobne sprawy: ona, Charles Tansley i fala rozbijająca się na brzegu; pani Ramsay, starająca się ich zbliżyć; pani Ramsay, mówiąca: „Niech życie się tu

zatrzyma w ciszy”; pani Ramsay, nadająca trwałość ulotnej chwili (Lily też usiłowała, choć w innej dziedzinie, nadawać chwili trwałość) – to wszystko miało w sobie coś z objawienia. Wśród chaosu istniał kształt; wieczyste przemijanie i odchodzenie (spojrzała na płynące chmury i na drżące liście) zostało przemienione w trwałość. „Niech życie się tu zatrzyma” – powiedziała pani Ramsay. Pani Ramsay! Pani Ramsay! – powtarzała. To jej zawdzięczała to objawienie.

Panowała zupełna cisza – jeszcze nikt nie wstał. Popatrzyła na dom, śpiący w rannym słońcu, na okna, którym odbite liście nadawały zielononiebieski kolor. Myśli o pani Ramsay, snujące się w jej głowie, zdawały się harmonizować z tym spokojnym widokiem – z dymem płynącym z komina i ze świeżością wczesnego poranka. Były zdumiewająco czyste i podniecające. Miała nadzieję, że nikt nie otworzy okna, nie wyjdzie z domu i że będzie mogła dalej myśleć i malować w samotności. Zajęła się znów obrazem. Lecz powodowana zaciekawieniem i niemiłą świadomością, że nie okazała swego współczucia, podeszła do końca trawnika, żeby się przekonać, czy dojrzy w dole na plaży małą grupkę Ramsayów szykującą się do odpłynięcia. „Prawie nie było wiatru: część żaglówek stała w miejscu ze zwisającymi żaglami, inne odpływały bardzo powoli. Na jednej z łodzi, która trzymała się z dala od innych, nawet nie podniesiono jeszcze żagla. Doszła do wniosku, że to właśnie w niej siedział pan Ramsay z Cam i Jamesem. W tym momencie

odległa i cicha łódź podniosła żagiel, który po krótkim łopotaniu i trzepocie wypełnił się wiatrem. Otulona płaszczem Lily patrzyła, jak ta maleńka łódź mija inne żaglówki i wypływa na morze.

5

Żagle zwisły nad ich głowami. Woda z chichotem zbryzgiwała boki łodzi, drzemiącej bez ruchu w słońcu. Od czasu do czasu malutka bryza przebiegała zmarszczką przez żagiel, by za chwilę zniknąć. Łódź stała w miejscu. Patrząc na ojca, siedzącego pośrodku łodzi z podkurczonymi nogami, jego dzieci (James sterował, a Cam tkwiła samotnie na dziobie) poczuły prawie równocześnie, że zaraz się zniescierpliwi. Nie znośli zwłoki. I rzeczywiście wiercił się przez parę sekund i po chwili powiedział coś ostro do młodego Macalistera, który zaraz zaczął wiosłować. Wiedzieli jednak, że ojciec się nie uspokoi, dopóki nie nabiorą szybkości. Będzie ciągle wyczekiwał na bryzę, kręcił się i mruczał pod nosem, a stary Macalister i jego chłopak dosłyszają, co mówi, i robi im się strasznie nieprzyjemnie. Uparł się, po prostu zmusił ich, żeby się z nim wybrali, W swej złości mieli nadzieję, że bryza w ogóle nie zawieje i że wszystko inne też mu się nie uda – źli byli, że musieli z nim płynąć wbrew swej woli.

Przez całą drogę na plażę Cam i James ociągali się, chociaż domagał się od nich – nie mówiąc zresztą ani słowa – by szli szybciej. Maszerowali ze zwieszonymi głowami, jak by zgięła je w dół bezlitosna wichura. Nie byli w stanie odezwać się do niego ani słowem. Zmusił ich do pójścia, zmusił ich do towarzyszenia mu. Szli więc za nim i nieśli paczki w brązowym papierze. Ale w czasie drogi przysięgli sobie w milczeniu, że będą sobie nawzajem pomagać, i zawarli przymierze celem wspólnej walki z tyranią – aż do śmierci. Postanowili, że w milczeniu zasiądą na dwóch końcach łodzi. Nie odezwą się wcale, będą tylko patrzyli od czasu do czasu na niego, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami, naburmuszony i wiercący się, psykający i mrużący coś do siebie w niecierpliwym oczekiwaniu na bryzę. A oni chcieli jemu na złość, żeby była cisza, żeby cała wyprawa wzięła w łeb i żeby musieli zawrócić razem z paczkami na plażę.

Ale kiedy chłopak Macalistera, uparcie wiosłując, wyprowadził ich dalej w morze, żagle zaczęły się powoli wypełniać: łódź przyśpieszyła biegu, osiadła głębiej w wodzie i ruszyła ostro naprzód. Natychmiast pan Ramsay jak by poczuł ulgę po wielkim napięciu, wyprostował nogi, wyjął woreczek z tytoniem i podał go Macalisterowi z lekkim chrząknięciem; widać było, że zapomniał już o tym wszystkim, co miało miejsce przed chwilą, i jest w doskonałym humorze. W tym nastroju będą płynęli aż do końca podróży: pan Ramsay zapyta prawdopodobnie starego Macalistera o wielki sztorm, który przydarzył się

na Boże Narodzenie poprzedniego roku, ten mu opowie o tym wydarzeniu i razem będą pykać ze swoich fajek; potem Macalister weźmie się do zawiązywania czy rozwiązywania jakiegoś węzła na nasmołowanej linie, a jego syn zajmie się łowieniem ryb, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Przez cały czas James będzie musiał pilnować, by żagiel się nie marszczył i nie drżał. Gdyby łódź zwolniła biegu, stary Macalister obróciłby się na swoim miejscu, a pan Ramsay powiedziałby ostro: „Uważaj! Uważaj!”

I rzeczywiście – pan Ramsay zapytał się o wielki sztorm na Boże Narodzenie. – A jeden statek nie mógł minąć cypla – mówił stary Macalister opisując sztorm, w czasie którego dziesięć statków schroniło się do zatoki – jeden tu, drugi tu, a trzeci tam – (powoli wskazywał te miejsca, a pan Ramsay szedł wzrokiem za jego wyciągniętą ręką). Macalister widział, jak trzech mężczyzn wisiało uczepionych na maszcie. A potem statek poszedł na dno. – W końcu zepchnęliśmy łódź na wodę – ciągnął dalej (połączeni przymierzem zawartym celem wspólnej walki z tyranią, siedzieli gniewni i milczący na przeciwległych końcach łodzi i chwyтали tylko pojedyncze słowa.) – W końcu zepchnęli na wodę tę łódź ratunkową i udało im się przepłynąć koło cypla – opowiadał Macalister; a James i Cam, choć chwyтали tylko oderwane słowa, cały czas byli świadomi zachowania ojca: jak, pochylony do przodu, dostosowywał swój głos do głosu Macalistera, jak, pykając z fajki, patrzył na

wskazywane przez Macalistera miejsca i jak się rozkoszował myślą o sztormie, ciemnej nocy i rybakach walczących z żywiołem. Podobał mu się obraz mężczyzn, pracujących w pocie czoła na brzegu morza w wietrzną noc; podobało mu się, że wyteżali wszystkie siły w walce z falą i wiatrem; uważał, że mężczyźni tak właśnie powinni się trudzić, ryzykując życie w walce ze sztormem, a kobietom przystoi, by zajmowały się gospodarstwem i pilnowały dzieci śpiących w domu. James i Cam odgadywali jego myśli (patrzac to na niego, to na siebie) z jego potakiwania, czujnej uwagi i brzmienia głosu, lekko teraz zabarwionego szkockim akcentem; gdy się wypytywał Macalistera o tych jedenaście statków, zapędzonych przez burzę do zatoki, wydawało się, że to mówi szkocki chłop. – Trzy z nich poszły na dno.

Patrzył z ogniem w oczach na miejsca, które mu Macalister wskazywał, a Cam, nie wiadomo czemu dumna z ojca, pomyślała, że gdyby tam był, na pewno spuściłby łódź ratunkową na wodę i dotarł do tonącego statku. Jakież był śmiały i dzielny! Przypomniała sobie jednak, że jest związana przymierzem i ma walczyć z tyranią aż do śmierci. Oboje przytłaczało poczucie krzywdy: zmuszono ich, kazano im wbrew ich woli. Raz jeszcze ojciec przygniótł ich swoim autorytetem i ponurością: musieli wypełnić jego rozkaz i ruszyć z nim tego cudownego poranka; musieli udać się do Latarni z tymi paczkami, bo tak sobie życzył; sprawiało mu

przyjemność, by czcić pamięć zmarłych i odprawiać jakieś obrzędy, więc chociaż nie znosili tego, musieli brać w nich udział. Powlekli się za nim, ale przepiękny ranek stracił cały swój urok.

Tak, bryza działała odświeżająco. Pochylona łódź ostro cięła wodę, która odpadała zielonymi kaskadami, pełnymi pęcherzy i bryzgów. Cam zapatrzyła się w pianę, w morze pełne skarbów, a pęd wody tak ją zahipnotyzował, że więź łącząca ją z Jamesem nieco się rozluźniła, straciła swe napięcie. Zaczęła się zastanawiać, z jaką szybkością płyną. I dokąd płyną? Oczarował ją ruch wody. A James z oczami utkwionymi w żagiel i w horyzont ciągle sterował, z zaciętym wyrazem twarzy. Jednocześnie myślał, że przecież w końcu wyrwie się i oswobodzi od tego wszystkiego. Wylądują gdzieś przecież i będą wreszcie wolni. Spojrzeli na siebie i przez chwilę doświadczyli uczucia wyzwolenia i uniesienia, zrodzonego z pędu i odmiany wrażeń. Ale i w panu Ramsayu bryza wywołała uczucie podobnego podniecenia. Gdy stary Macalister odwrócił się, by wyrzucić linę za burłę, pan Ramsay krzyknął głośno: – Zginęliśmy – a potem dodał: Każdy samotnie. – Za chwilę, po normalnym u niego nawrocie skruchy czy wstydu, powstrzymał się i wyciągnął rękę w stronę lądu.

– Widzisz ten domek? – zapytał Cam pragnąc, by zwróciła uwagę na to, co wskazywał. Niechętnie podniosła się, by lepiej się przyjrzeć. Który? Z tej odległości nie potrafiła już rozróżnić, który z tych domów

na wzgórzu był ich. Wszystko wydawało się dalekie, pełne spokoju i obce. Odległy brzeg stracił swą ostrość i stał się dziwnie nierzeczywisty. Już ten niewielki dystans, jaki przepełnęli, bardzo ich oddalił od lądu i nadał brzegowi uspokajający wygląd, jaki posiada to, co zostawiamy za sobą, co nas nie tyczy. Który z tych domów był ich? Nie mogła rozpoznać.

– Lecz mnie burzliwsze zalewały fale – mruzczał pan Ramsay. Odnalazł dom, a widząc go, widział i siebie w nim; widział, jak spaceruje samotnie po tarasie: chodzi od jednej wazy z kwiatami do drugiej i wydaje się samemu sobie bardzo stary i pochylony troską. Od razu też przygarbił się i skurczył, instynktownie grając rolę niepokieszonego wdowca; przywoływał w myśli całe zastępy ludzi, którzy wyrażali mu swe współczucie, i odgrywał mały dramat, wymagający od niego, by okazał się zgrzybiały, zmęczony i pełen smutku; podniósł zeschuplałe ręce, by znaleźć potwierdzenie dla swego teatru wyobraźni; i nagle poczuł, jak zalewa go kojąca fala kobiecego współczucia i pocieszenia; doznał w marzeniach uczucia, które było odbiciem tej niezwyklej rozkoszy, jaką mu dawało w rzeczywistości współczucie kobiet; westchnął i zadeklamował łagodnie i żałośnie:

*Lecz mnie burzliwsze zalewały fale
I ku groźniejszej ciągnął mnie wir skale*

tak by wszyscy usłyszeli jego smętne słowa. Cam aż się

uniosła z miejsca. Była zgorziona, była oburzona. Jej ruch wyrwał ojca z marzeń: zadrżał, przerwał swoją deklamację i zawołał: – Patrzcie! Patrzcie! – tak nagłoco, że i James odwrócił głowę. Za chwilę wszyscy skierowali wzrok na wyspę.

Cam nie mogła jednak nic dojrzeć. Myślała o tym, że wszystkie ścieżki i trawniki tak mocno związane z ich życiem, znikły, zatarły się, zginęły w przeszłości, straciły swą rzeczywistość; a rzeczywistość – to ta łódź z połatanym żaglem, Macalister z kolczykiem w uchu, szum fal. Tak myśląc szeptała do siebie: „Zginęliśmy, każde samotnie”, gdyż słowa ojca ciągle dźwięczały jej w uszach; pan Ramsay, widząc jej zamyślenie, zaczął się z nią droczyć. Zapytał: – Czy umie pokazać strony świata? Czy wie, gdzie jest północ, a gdzie południe? I czy rzeczywiście myśli, że mieszkają tam, gdzie patrzy? Wskazał jej znów ich dom tam, przy tych drzewach. Bardzo by chciał, żeby się lepiej orientowała. – Powiedz mi, gdzie jest wschód, a gdzie zachód? – mówił trochę się z niej śmiejąc, a trochę ją łając, bo nie był w stanie pojąć, że ktoś, kto nie jest zupełnym matołkiem, może nie umieć wskazać stron świata. A jednak ona nie potrafiła. Widząc jej błędne i wystraszone oczy, skierowane tam, gdzie domu znaleźć nie mogła, pan Ramsay przestał spacerować w marzeniu między wazami na tarasie i rozkoszować się wyciągniętymi ku niemu kobiecymi ramionami. Kobiety zawsze są takie same – pomyślał – ich umysły są beznadziejnie niedokładne. Nigdy nie mógł tego pojąć, ale

było to niezaprzeczalnym faktem. Tak samo miała się sprawa z jego żoną. Nic nie rysowało się jasno w ich głowach. Lecz nie miał racji gniewając się o to, ba! lubił nawet ten kobiecy brak precyzji. Była to część ich niezwykłego uroku. Uczynię coś, by się do mnie uśmiechnęła, pomyślał. Wygląda na wystraszoną. Taka jest milcząca. – Zacisnął dłonie i postanowił, że użyje teraz głosu i twarzy: tych szybkich, wyrazistych gestów, którymi w dalszym ciągu posługiwał się z łatwością, gdy chciał wzbudzić litość u ludzi czy wywołać ich pochwałę. Uczyni coś, by się uśmiechnęła do niego. Powie jej coś prostego i przyjemnego. Lecz co? Pochłonięty stale swą pracą nie pamiętał, co się w takich wypadkach mówi. Mieli tego szczeniaka. Kto się dziś zajmuje pieskiem? – zapytał. – No tak – pomyślał surowo James widząc głowę siostry na tle żagla – teraz mu ulegnie. I sam będę musiał walczyć z tyranem. Tylko ja dotrzymam układu. Cam nie będzie walczyć z tyranią aż do śmierci – rozmyślał ponuro widząc jej twarz smutną, nadąsaną, ale już z pierwszymi oznakami uległości. I jak to czasem bywa, gdy cień chmury padnie na zielone zbocze, przytłoczy je swą posepnością i zabarwi wszystkie otaczające wzgórza melancholią i smutkiem, tak że wydaje się, jak by cała okolica rozmyślała nad losem przykrytego ciemną płachtą pagórka, bądź z litością, bądź ze złośliwą radością – tak Cam, siedząc wśród pogodnych, rozsądnych ludzi, czuła się przesłonięta chmurą; zastanawiała się: co ma odpowiedzieć ojcu na pytanie o szczeniaku! Jak się oprzeć

jego prośbie o przebaczenie i uczucie? A James, prawodawca, trzymający na kolanach rozłożone tablice odwiecznej mądrości (jego ręka na sterze nabrała dla niej symbolicznego znaczenia), zdawał się mówić: „Opieraj się, walcz z nim. I słusznie tak mówił, sprawiedliwie. Muszę walczyć z tyranią aż do śmierci. Ze wszystkich ludzkich zalet najwyższej ceniła sprawiedliwość. Brat wydawał jej się w tej chwili ucieleśnieniem ideału, a ojciec – błagającym grzesznikiem. Siedząc między nimi patrzyła na brzeg, na którym niczego już nie mogła rozpoznać: trawnik, taras i dom gdzieś się rozplynęły – nad wszystkim królowała cisza. Po czyjej stronie mam się opowiedzieć? – zadawała sobie pytanie.

– Jasper – powiedziała nadąsana – zaopiekuje się szczeniakiem.

A jak go ma zamiar nazwać? – nalegał ojciec. Gdy był małym chłopcem, miał psa, który się nazywał Frisk. James wyczytał ze znanego sobie wyrazu jej twarzy, że mięknie. One zawsze tak siedzą pochylone nad drutami lub inną robotą, a potem nagle podnoszą oczy. Pamiętał ten błysk niebieskich oczu, gdy ktoś siedzący przy nim uległ ze śmiechem – bardzo go to rozzłościło. Musiała to być jego matka; siedziała wtedy na niskim krześle, a nad nią stał ojciec. Zaczął szperać w pamięci wśród nie kończącego się szeregu wrażeń bezustannie nawarstwianych przez czas – listek po listku, fałda po fałdzie; krążył wśród zapachów i dźwięków, głosów chrypliwych, głuchych i słodkich, wśród zanikających

świateł i stuku szczotek, szumu i ciszy morza, aż wreszcie znalazł obraz chodzącego tam i z powrotem wyprostowanego mężczyzny, który nagle zatrzymał się przy nich. Jednocześnie spostrzegł, że Cam przebiera palcami w wodzie, wpatruje się w brzeg i milczy. Nie, ona jednak nie ulegnie, pomyślał, ona jest inna.

Pan Ramsay postanowił, że skoro Cam nie chce się odezwać, to nie będzie jej więcej męczył, i sięgnął do kieszeni po książkę. Lecz ona chciała mu odpowiedzieć; gorąco pragnęła usunąć przeszkodę, kępującą jej język, i rzec: „To dobre imię Frisk. Nazwę go Frisk”. Chciała się nawet zapytać: „Czy to ten pies, który sam potrafił znaleźć drogę przez bagna?” Lecz w żaden sposób nie umiała powiedzieć nic, co byłoby surowe i zgodne z ich układem, a jednocześnie wyrażało – tak, by nie wzbudzić podejrzeń Jamesa – jej miłość do ojca. Nurzała rękę w wodzie (makrela z zakrwawionymi skrzelami, którą złapał przed chwilą chłopiec Macalistera, rzucała się na dnie łodzi) i myślała patrząc na Jamesa, który beznamietnie obserwował żagiel, od czasu do czasu rzucając okiem na horyzont: Ty nie odczuwasz tej presji i konfliktu, tej ogromnej pokusy. Ojciec ciągle grzebie w kieszeniach – za chwilę wyciągnie swoją książkę. Nikt nie wywarł na niej takiego wrażenia – lubiła jego piękne ręce i stopy, także głos, sposób wyrażania się, niecierpliwość, żywość temperamentu, dziwactwo i namiętność; lubiła, gdy mówił przy wszystkich, niczym się nie kępując: „Giniemy, każdy samotnie”; lubiła jego dalekość. (Otworzył teraz

książkę.) Ale nieznośna w nim była ta uparta ślepotą i tyrania (myślała, obserwując, jak chłopiec Macalistera wyciąga haczyk z oskrzeli następnej ryby), którymi zatrzał jej dzieciństwo i które tak ją oburzały; nawet jeszcze teraz budziła się w nocy, drżąc z wściekłości na wspomnienie tych aroganckich rozkazów: „Zrób to”, „Zrób tamto”, tego narzucania swej woli – tego „Czyń, jak ja ci każę”.

Nic więc nie powiedziała; patrzyła tylko z uporem i smutkiem na brzeg, spowity w płaszcz ciszy – wyglądał, jak by ludzie tam posnęli; byli wolni jak dym, mogli pójść, dokąd chcieli – jak duchy. Oni tam nie cierpią – myślała,

6

Tak, to ich łódź, stwierdziła Lily Briscoe, stojąc na skraju trawnika. To ta łódź z szarobrazowymi żaglami, która się teraz właśnie pochyliła na wodzie i jak strzała ruszyła przez zatokę. To musi być pan Ramsay, a obok niego siedzą dzieci – nadal pogrążone w milczeniu. Był teraz poza jej zasięgiem. Ciężka jej świadomość, że nie okazała mu współczucia, kiedy go tak potrzebował. Malowanie przychodziło jej z trudnością.

Zawsze uważała, że jest trudnym człowiekiem. Nigdy nie potrafiła mu bezpośrednio wyrazić swego uznania. To pozbawiało ich obcowanie zabarwienia seksualnego, nadającego jego zachowaniu w stosunku do Minty

elegancji, niemal wesołości. Zrywał dla niej kwiaty, pożyczał jej książki. Ciekawe, czy sądził, że je czyta? Ciągała się z nimi po ogrodzie wkładając do środka listki dla zaznaczenia miejsca.

„Pamięta pan to, panie Carmichael?” – Lily miała ochotę zapytać spojrzawszy na staruszkę. Ale on naciągnął sobie kapelusz na czoło i spał lub marzył, a może po prostu leżał polując na słowa.

„Pamięta pan to?” – miała ochotę zapytać przechodząc koło niego i znów wspominając panią Ramsay na plaży: tę beczkę, to wznoszącą się, to opadającą na fali i fruujące kartki listów. Dlaczego wspomnienie to przetrwało wszystkie minione lata w reflektorze pamięci, jasne i wyraziste w każdym szczególe, gdy wszystko przed tym i wszystko po tym było wielkim obszarem pustki?

„Czy to łódź? Czy to beczka?” – pytała się pani Ramsay; a teraz Lily powtarzała jej słowa wracając niechętnie do swojego płótna. Dzięki Bogu, pomyślała podnosząc pędzel, pozostaje przynajmniej zagadnienie przestrzeni. Trzymało ją to w napięciu. Wszystko od tego zależało. Zewnętrznie obraz powinien być piękny i jasny, leciutki jak piórko, wprost przezroczysty; kolory mają się wtapiać jeden w drugi – jak na skrzydłach motyla; ale wewnętrzna treść musi zostać sprężgnięta żelaznymi bolcami. Ma to być płótno tak subtelne, by oddech mógł je sfalować, a jednocześnie tak zwarte, by zaprzęg koni nie mógł rozerwać jego spistości. Zaczęła więc nakładać

kolory: czerwony i szary, próbując wypełnić pustą płaszczyznę pośrodku. Wydawało jej się równocześnie, że jest koło pani Ramsay na plaży.

„Czy to łódź? Czy to beczka?” – zapytała pani Ramsay. I zaczęła szukać okularów. Znalazłszy je, usiadła i w milczeniu patrzyła na morze. Lily wytrwale malując miała wrażenie, że jest w wysoko sklepionej katedrze, bardzo ciemnej i uroczystej i że rozgląda się w milczeniu. Z bardzo daleka dochodziły jakieś wołania. Parowce z unoszącymi się nad nimi łodygami dymu znikwały za horyzontem. A Charles puszczał kaczki na wodzie.

Pani Ramsay siedziała nie odzywając się. Lily pomyślała, że jest zadowolona, gdy może odpocząć w spokoju, nie wdając się z nikim w rozmowę, nie przemierzając pogmatwanych ścieżek ludzkich spraw. Kto wie, czym jesteśmy i co czujemy? Kto może powiedzieć, nawet w chwilach największego zbliżenia: oto już znam prawdę? Czyż zresztą nie psujemy życia, mogłaby zapytać pani Ramsay (jakże często towarzyszyła jej cisza), przez to, że staramy się je określać. Czyż milczenie nie jest bardziej wymowne? W każdym razie chwila ta wydawała się pełna znaczenia. Pani Ramsay wygrzebała małą dziurkę w piasku i zasypała ją z powrotem – zakopując w niej doskonałość tego przeżycia. Była to jak by kropla srebra, z której człowiek czerpie blask dla oświetlenia ciemnych obszarów przeszłości.

Lily cofnęła się od płótna – o właśnie do tego miejsca – dla sprawdzenia perspektywy. Dziwna to była rzecz – to

malowanie. Szło się ciągle naprzód, dalej i dalej, aż wreszcie miało się wrażenie, że się jest samotnie na wąskiej kładce zawieszzonej nad oceanem. Zanurzyła pędzel w niebieską farbę i gestem tym przeniosła się w przeszłość. Pamięta, że właśnie wtedy pani Ramsay wstała. Już był czas wracać do domu na obiad. Wszyscy ruszyli z plaży: pani Ramsay z Williamem Bankesem trzymali się z tyłu, a na przedzie szła Minta – z dziurą w pięcie. Jakżeż ta różowość ciała, widoczna poprzez okrągłą dziurkę w pończosze, zdawała się kłuć ich w oczy. Jakżeż to przeszkadzało Williamowi Bankesowi, choć – o ile pamięta – nie powiedział ani słowa na ten temat. Było dla niego zaprzeczeniem kobiecości i łączyło się z brudem i bałaganem, wymawiającą służbą i nie zasłanymi łózkami – słowem ze wszystkim, czego najbardziej nie znosił. W takich wypadkach wstrząsał się, wyciągał przed siebie rękę i rozpościerał palce, jak by chciał nimi zakryć przykry dla siebie widok. Uczynił tak i wtedy. A Minta poszła naprzód i prawdopodobnie spotkali się z Paulem i ruszyli razem do ogrodu.

Ach, ci Rayleyowie, myślała Lily Briscoe wyciskając zieloną farbę z tubki. Uszeregowała w myślach wszystkie swe wspomnienia związane z nimi. Zobaczyła ich życie w serii obrazów; na przykład ta scena na klatce schodowej o świcie. Poprzedniego dnia Paul poszedł wcześniej do łóżka, a Minta wróciła późno do domu. Pamięta ją, jak stała o trzeciej nad ranem na schodach – jaskrawo umalowana, z kwiatami przy sukni. Faul pojawił się w

pidżamie, z pogrzebaczem w rękę na wypadek, gdyby się okazało, że to włamywacz. Minta jadła kanapkę stojąc w połowie wysokości schodów przy oknie, w trupim świetle wczesnego poranka. W dywanie, pamięta, była dziura. Ale czego dotyczy ich rozmowa? – zastanawiała się wtedy, jak gdyby wzrokiem mogła dosłyszeć, co mówią. W każdym razie była to gwałtowna wymiana zdań. Podczas gdy on mówił, Minta w prowokacyjny sposób jadła dalej kanapkę. Z oburzeniem wyrzucał z siebie jakieś obelżywe i pełne zazdrości słowa, ścisząc głos, by nie zbudzić ich dwóch małych chłopców. Miał twarz ściągniętą i zmęczoną, a ona zachowywała się nonszalancko i beztrosko. Po roku czy dwóch ich pożycie stało się kiepskie – małżeństwo należało uznać za nieudane.

Nabierając zielonej farby, Lily pomyślała, że takie układanie scen z życia innych ludzi nazywa się potocznie „znajomością”, „myśleniem o nich” lub „lubieniem ich”! Nie było w tym ani cienia prawdy – wyobrażenie to stanowiło wytwór jej wyobraźni; a jednak na nim opierała się jej znajomość Rayleyów. Zmagała się nadal z obrazem ciągnącym jednocześnie nić wspomnień.

Kiedyś Paul powiedział, że „grywa w szachy w kawiarni”. Także i na tym powiedzeniu zbudowała cały gmach domysłów. Gdy to mówił, wyobraziła sobie, jak służąca powiedziała mu przez telefon: „Pani Rayley wyszła, proszę pana” – wobec czego postanowił, że nie pójdzie do domu. Widziała go, jak siedzi w kącie jakiejś

ponurej budy, w której dym czepia się czerwonego pluszu siedzeń, a kelnerki wiedzą już, że grywa w szachy z małym jegomościem z Surbiton, pracującym w handlu herbatą – tyle Paul o nim wiedział. I właśnie wtedy, gdy wrócił do domu, a Minty jeszcze nie było, nastąpiła owa scena na schodach, kiedy pojawił się z pogrzebaczem w rękę na wypadek, gdyby się okazało, że to włamywacz (bez wątpienia chciał ją również nastraszyć) i powiedział z wielką goryczą w głosie, że zmarnowała mu życie. W każdym razie, kiedy Lily wybrała się w odwiedziny do ich domku koło Rickmansworth, atmosfera była okropnie napięta. Paul pokazał jej belgijskie zające, które hodował w ogrodzie, a Minta, która szła za nimi podśpiewując, w pewnej chwili objęła go nagim ramieniem dając mu w ten sposób znak, by nic Lily nie mówił.

Było widoczne, że Mintę nudziły te zające. Nigdy się jednak z niczym nie zdradzała: nie robiła nigdy takich wyznań, jak to o grze w szachy po kawiarniach. Była na to zbyt opanowana i zbyt ostrożna. A teraz – teraz minęli już ten niebezpieczny okres. Zauważyła to ostatniego lata, gdy spędziła u nich parę dni. Coś się zepsuło w samochodzie i Minta miała podać narzędzia mężowi, który siedział na drodze naprawiając wóz. Prosty, rzeczowy i przyjacielski sposób, w jaki to uczyniła, świadczył, że z powrotem między nimi wszystko było w porządku. Nie byli już w sobie „zakochani”; on był zajęty inną, poważną kobietą, która nosiła teczkę w rękę, a włosy miała splecione w warkocz (Minta mówiła o niej z

wdzięcznością, niemal z podziwem); podzielała jego poglądy (coraz bardziej zdecydowane) na podatek ziemski i daninę majątkową i chodziła z nim na różne zebrania. Ten związek nie tylko, że nie rozbił ich małżeństwa, lecz przeciwnie – uratował je, Widać było, gdy siedział na drodze, a ona wręczała mu narzędzia, że są teraz parą wielkich przyjaciół.

Takie były dzieje Rayleyów – Lily uśmiechnęła się do siebie. Wyobraziła sobie, że opowiada je pani Ramsay, która ogromnie pragnie się dowiedzieć, co słyhać u Rayleyów. Nie bez pewnej satysfakcji powiedziałyby jej, że małżeństwo ich okazało się nie udane.

Lecz umarli? – myślała Lily, cofnąwszy się o krok od płótna, by zastanowić się nad pewnym problemem kompozycji. – Ach umarli! – mruknęła – litujemy się nad nimi, nie zwracamy na nich uwagi i mamy nawet dla nich trochę pogardy. Są zdani na naszą łaskę. Pani Ramsay po prostu rozplynęła się i nic po niej nie zostało. Możemy nie liczyć się z jej życzeniami i zastąpić jej, staroświeckie, ograniczone poglądy czymś znacznie bardziej zaawansowanym. Jej postać oddala się od nas coraz to dalej i dalej.

Wyobraziła sobie, że widzi panią Ramsay stojącą na końcu długiej perspektywy lat, i przypomniała sobie z ironią jej nedorzeczne naleganie: „Trzeba wychodzić za mąż, koniecznie trzeba wychodzić za mąż!” (było to wczesnym porankiem, a ptaki właśnie zaczęły ćwierkać w ogrodzie). Należałoby jej powiedzieć: „Wszystko

potoczyło się wbrew pani życzeniom”. Oni są szczęśliwi na swój sposób, a ja na swój. Życie zmieniło się zupełnie. W momencie gdy to sobie uświadomiła, cała istota pani Ramsay, nawet jej piękność, stała się nagle szara i trąca myszką. Przez chwilę też, stojąc tyłem do słońca i zastanawiając się nad życiem Rayleyów, czuła triumf nad panią Ramsay, która nigdy nie dowie się o tym, że Paul chodził po kawiarniach i miał kochankę, ani o tym, że siedział na drodze, a Minta podawała mu narzędzia; nie będzie też wiedziała, że Lily stoi tu i maluje i że wcale nie wyszła za męża: ani za Williama Bankesa, ani za nikogo innego.

Pani Ramsay uplanowała sobie ich małżeństwo. Możliwe, że gdyby żyła, doprowadziłaby do niego. Przecież owego lata nie mówiła o nim inaczej, jak „to ogromnie dobry człowiek, to największy uczony naszych czasów, jak mówi mój mąż”; był także „biednym Williamem”. Tak mnie to smuci – mówiła – gdy zachodzę do niego w odwiedzinę i widzę, że nie ma nic w domu, co by rozweselało oko – że nawet nie ma kto ułożyć mu kwiatów w wazonie”. Wysyłała ich na wspólne spacerunki zauważając leciutko ironicznym tonem, o który nie można było mieć pretensji, że Lily ma umysł naukowy, że lubi kwiaty i że jest taka dokładna. Skąd się w niej brała ta mania do swatania ludzi? Zbliżając się i oddalając od sztalug, rozważała to pytanie.

(Nagle, z szybkością spadającej gwiazdy, zapaliło się w jej mózgu czerwone światło; wydobywało się ono z Paula

Rayleya i ogarniało go swym blaskiem. Było podobne do ognia roznieconego na plaży przez dzikich przy okazji jakiejś uroczystości. Słyszała syk płomieni i trzask palącego się drzewa. Na milę wokół morze płonęło czerwienią i złotem. Czuła równocześnie jakiś winny zapach, który upajał jej zmysły, tak że znów ogarnęło ją niezmiernie pragnienie, żeby się rzucić ze skały i utonąć w poszukiwaniu perłowej broszki, zgubionej na plaży. Syk płomieni i trzask palącego się drzewa przerażały ją i budziły obrzydzenie, choć była potęga i wielkość w trawiącym wszystko ogniu; widziała jednak równocześnie, że karmił się skarbami tego domu, chciwie, żarłocznie; napawało ją to wstrętem. Ale wspaniałość tego zjawiska przewyższała wszystko, co jej się zdarzyło przeżyć, i świeciła przez lata całe niby ognisty stos palony na brzegu samotnej wyspy; wystarczyło tylko powiedzieć, że ktoś „zakochany”, a natychmiast – tak jak i w tej chwili – buchał w górę płomień obejmujący ongi Paula. Teraz opadł, a Lily powiedziała do siebie ze śmiechem: „Ach, ci Rayleyowie” (miało to znaczyć, że Paul chodził po kawiarniach i grywał tam w szachy).

Uratowała się, ale wszystko wisiało już na włosku. Wpatrywała się wtedy w obrus i nagle olśniła ją myśl, by drzewo przesunąć do środka i w ogóle nie wychodzić za mąż; poczuła wielką ulgę: mogła już się oprzeć pani Ramsay – jej zdumiewającej władzy nad ludźmi. Zrób to, mówiła, i człowiek to robił. Nawet jej cień, gdy siedziała przy oknie z Jamesem, był pełen autorytetu. Williama

Bankesa oburzyło lekceważenie, z jakim odniosła się do głębokiego znaczenia tego symbolu. Czy nie podobał jej się obraz matki z synem? – zapytał. A gdy mu tłumaczyła, że to nie jest u niej brak szacunku, tylko że po prostu światło w jednym miejscu wymaga cienia w innym – oczy miała pełne dziecięcej mądrości. Nie miała zamiaru okazać lekceważenia dla tematu, który – oboje się co do tego zgadzali – Rafael ujął w tak cudowny sposób. Nie była wcale cyniczna. Wręcz przeciwnie. A on, dzięki swemu umysłowi naukowca, zrozumiał ją, dając dowód niezależnej inteligencji; bardzo jej się wtedy wydał miły i ogromnie ją podniósł na duchu. Okazało się, że można mówić poważnie o malarstwie z mężczyzną. Tak, przyjaźń z nim była jedną z najpiękniejszych rzeczy w jej życiu. Kochała Williama Bankesa.

Jeździli do Hampton Court, gdzie on, jak prawdziwy dżentelman, ruszał sam na przechadzkę, zostawiając jej zawsze dość czasu na umycie rąk. Charakterystyczne dla ich przyjaźni było to, że o wielu sprawach się nie mówiło. Każdego lata wędrowali przez dziedzińce i podziwiali piękne proporcje pałaców i kwiaty; mówił jej dużo o perspektywie i architekturze; czasami zatrzymywał się, by nasycić się widokiem pięknych drzew czy jeziora lub by zachwycić się jakimś dzieckiem (cierpiał nad tym, że nie miał córki); czynił to w sposób powściągliwy, z pewnym dystansem, co było naturalne u mężczyzny spędzającego mnóstwo czasu w laboratorium; kiedy wychodził z niego, świat zewnętrzny tak go oślepił, że szedł powoli z

podniesioną ręką dla osłonięcia oczu i przystawał, z odrzuconą w tył głową, by móc głęboko zaczerpnąć powietrza.

Pewnego razu powiedział jej, że gospodyni jest na urlopie i że musi kupić nowy chodnik na schody. Zapytał ją, czy nie zechciałaby wybrać się razem z nim po ten zakup. Raz znowu coś mu nasunęło na myśl Ramseyów i opowiedział jej, że gdy po raz pierwszy zetknął się z panią Ramsay, miała na sobie szary kapelusz. Była wtedy zdumiewająco piękną, dziewiętnasto – czy dwudziestoletnią młodą kobietą. Mówiąc to stanął, zapatrzony w głąb alei w Hampton Court – zdawało się, że ją zobaczył tam na tle bijących fontann.

Skierowała wzrok na próg salonu. Ujrzała oczami Williama spokojną postać kobiecą, pogrążoną w milczeniu, z opuszczonymi oczyma. Postać ta siedziała w głębokiej zadumie (zdaje się, że tego dnia miała na sobie szarą suknię). Wyglądała, jak by zamarła w swojej pozie. Zapatrzona przed siebie Lily myślała, że właśnie taką panią Ramsay musiała nieraz widzieć; w tamtych czasach nie nosiła co prawda szarej sukni i nie była już ani tak młoda, ani tak cicha i spokojna. Ale samą postać widziała zupełnie wyraźnie. „Zdumiewająco piękna” – powiedział William. Ale piękno to jeszcze nie wszystko. Za takie piękno płaci się jednak haracz – zbyt łatwo przychodzi i zbyt jest doskonałe. Wstrzymuje życie – zamraża je. Zapomina się przy nim o drobnych wzruszeniach: o rumieńcu lub bladości, o nagłym skrzywieniu, o

przelotnym błysku lub cieniu; choć tylko przez chwilę odmieniają twarz, nadają jej jednak swoisty wyraz, który się pamięta potem przez całe życie. A maska piękności Wszystko to wygładza i czyni niewidocznym. Ale jak ona wyglądała, zastanawiała się Lily, kiedy włożyła na głowę wiejski kapelusz, biegła przez trawnik lub łajała ogrodnika? Któż mógł jej to teraz opisać? Któż mógł w tym dopomóc?

Wbrew swej woli Lily wypłynęła z zatoki rozmyślań na brzeg rzeczywistości – wynurzyła się do połowy ze swego obrazu. Trochę oślepiąca patrzyła na pana Carmichaela, jak na jakąś nienaturalną zjawę. Siedział rozparty na krześle z rękami zaciśniętymi nad brzuchem, ale wcale nie czytał ani nie pisał – po prostu wygrzewał się na słońcu, jak istota wypełniona po brzegi istnieniem. Książka spadła mu na trawę.

Miała ochotę podejść do niego i powiedzieć: „Panie Carmichael!” Spojrzyłby na nią dobrotliwie, jak zwykle, swoimi przydymionymi oczami, o lekko nieprzytomnym wyrazie. Lecz budzić kogoś można tylko wtedy, kiedy ma się mu coś konkretnego do powie coś, lecz – wszystko. Banalne słowa jedynie łamią i zamazują myśl, a ona chciała pomówić „O życiu i śmierci – o pani Ramsay”. Nie, pomyślała, o niczym istotnym nie można z nikim rozmawiać. Nigdy nie mówi się dokładnie o tym, co jest najważniejsze. Celownik rozmowy nie jest precyzyjnie nastawiony i słowa nigdy nie trafiają w środek celu. Więc się daje za wygraną i znika chęć wypowiedzenia swej

istotnej myśli; człowiek staje się taki, jak większość ludzi w średnim wieku: ostrożny i skrywający swe uczucia; marszczy mu się czoło, a twarz przybiera taki wyraz, jak by się bez przerwy spodziewał czegoś niedobrego. Bo jak można wyrazić w słowach to, co czuje nasze ciało? Jak wyrazić panujące tam uczucie pustki? (Patrzyła na schodki do salonu – robiły wrażenie przeraźliwie pustych.) Było to uczucie doznane przez ciało, a nie przez umysł. Ale fizyczna reakcja na puste schodki stała się nagle szalenie nieprzyjemna. Niezaspokojone pragnienie wywołało w jej ciele uczucie drętwoty, czczości i napięcia. Ach, pragnąć i nie móc mieć, pragnąć, stale pragnąć – jak to ssało, jak to dręczyło serce! O, pani Ramsay! – zawołała po cichutku do tej abstrakcyjnej istoty, która zasiadła przy łodzi, która nosiła kiedyś szarą suknię; jak by chciała ją zelżyć za to, że odeszła, a odszedłszy – wróciła znów. Wydawało się, że można o niej myśleć bez żadnego niebezpieczeństwa. Była przecież tylko duchem, powietrzem, nicością, czymś, z czym łatwo można sobie dać radę o każdej porze dnia i nocy; aż tu nagle wyciągnęła rękę i tak szarpnęła sercem. I niespodziewanie puste schodki, ozdobne oparcie krzesła w salonie, szczeniak turlający się po tarasie, falowanie w szmer ogrodu – wszystko to zmieniało się w spirale i arabski wirujące wokół jądra pustki.

Cóż to więc znaczy? Jak pan to wszystko wytłumaczy? – chciała zapytać pana Carmichaela. Zdawało się, że cały świat był tego wczesnego ranka jednym wielkim jeziorem

myśli, czarą wypełnioną po brzegi, rzeczywistością; a to, co powie pan Carmichael, będzie jak łza, która marszczy gładką powierzchnię wody. I co dalej? Coś się wynurzy; może jakaś ręka wychynie do góry, a może błysnie ostrze miecza? Nie, to głupstwa oczywiście.

Przyszła jej do głowy dziwaczna myśl: może on jednak słyszy to wszystko, czego nie mogła wypowiedzieć. Z tą żółtą smugą na brodzie, ze swoją poezją i zagadkami był nieprzeniknionym starym człowiekiem; pogodnie żeglował przez świat, który zaspokajał wszystkie jego potrzeby; wystarczy mu opuścić rękę ku trawnikowi, myślała, był znaleźć wszystko, czego potrzebował. Spojrzała na swój obraz. Może by wskazał nań w odpowiedzi: „Pani i ja, i *ona* przechodzimy i znikamy; nic się nie ostaje, wszystko się zmienia; wszystko – prócz słów i farb”. Cóż z tego, kiedy mój obraz i tak pójdzie na strych, myślała, albo zostanie zawinięty i wrzucony pod kanapę. A jednak nawet i w wypadku jej obrazu – miał rację. Można powiedzieć i o jej twórcze – nie o tym, co było na płótnie, ale o idei, która mu przyświecała – że „pozostanie na zawsze”; miała to właśnie szepnąć sama do siebie, po cichu, bo głośno wypowiedziane słowa takie byłyby zbyt wielką przechwałką, gdy, spojrzawszy na obraz, zdumiała się, że nic w ogóle nie widzi. Oczy miała pełne gorącej cieczy (w pierwszej chwili nie zdała sobie sprawy, że to łzy, które, nie zmieniając stanowczego wyrazu jej ust, zapiekły i spłynęły po policzkach. Pod każdym innym względem była całkowicie opanowana.

Czy więc opłakiwała panią Ramsay nie odczuwając przy tym bólu? Znow zwróciła się w myślach do starego pana Carmichaela. O co tu chodzi? Co to ma znaczyć? Czy rzeczy mają ręce, które mogą wyciągać do człowieka? Czy ostrze miecza może ciąć, a dłoń chwytać? Czy nie można uchronić się przed niebezpieczeństwem? Nauczyć się na pamięć mechanizmu świata? Czyż nie ma żadnych wskazówek, żadnej ucieczki – tylko wszystko jest cudem i skokiem ze szczytu wieży w nieznane? Więc życie jest nawet i dla starszych ludzi – zaskakujące, nieoczekiwane, ciągle nieznane? Przez krótką chwilę miała wrażenie, że gdyby stanęli obydwój z panem Carmichaelem tu, na tym trawniku, i prosili o wytłumaczenie, dlaczego życie jest tak krótkie i tak niezrozumiałe, i jako pełnoprawne istoty ludzkie, przed którymi nic nie powinno być ukryte, zażądali go z całym naciskiem, toby piękno rozerwało swe podwoje, pusta płaszczyzna się wypełniła, a z przypadkowych zygzaków wyłonił określony kształt. Gdyby krzyknęli dostatecznie głośno, pani Ramsay by wróciła.) – Pani Ramsay! – powiedziała głośno Lily – pani Ramsay! – a łzy toczyły się po jej twarzy.

7

(Chłopiec Macalistera wziął jedną z ryb, wyciął jej kawałek mięsa z boku i założył na haczyk jako przynętę. Okaleczoną, ciągle jeszcze żywą, rzucił z powrotem do

morza.)

8

– Pani Ramsay – zawołała Lily – pani Ramsay! – Lecz nic się nie działo – tylko wzrastał jej ból. Udręka potrafi zaprowadzić człowieka na samo dno głupoty – rozmyślała. W każdym razie pan Carmichael jej nie usłyszał. Trwał dalej w błogości i spokoju, doskonały – można by powiedzieć – w swym oderwaniu od świata. Dzięki Bogu, nikt nie słyszał jej kompromitującego krzyku: ustań, bólu! ustań! Widocznie nie postradała jeszcze zmysłów. Nikt nie dostrzegł, jak z kładki nad wodą zstępuje w otchłań zagłady. Była nadal tylko zasuszoną starszą panną, stojącą na trawniku z pędzlem w ręku.

Powoli zelżał gorzki gniew i ból niezaspokojonego pragnienia. (Cóż spowodowało, że wróciła myślą do pani Ramsay? Wydawało się przecież, że już nigdy więcej nie uczuje smutku z jej powodu. Może wywołane to było nieobecnością pani Ramsay, gdy piła kawę przy śniadaniu? Ale nie, nie to było przyczyną.) Pozostała kojąca jak balsam ulga – niby odtrutka, a także dziwna świadomość czyjejś obecności – chyba pani Ramsay; stała lekko (była to pani Ramsay w całej krasie swej urody) przy boku Lily i – uwolniona od ciężarów, które świat na nią nakładał – podnosiła do czoła wieniec białych

kwiatów, które zabrała ze sobą, gdy odchodziła.

Lily wycisnęła tubkę z farbą. Znow wróciła do problemu żywopłotu. Jakie to było dziwne, że tak wyraźnie widziała ją, jak szła przez pole swym zwykłym, szybkim krokiem, by zniknąć wśród miętko-purpurowych zagonów, na których rosły hiacynty czy lilie. Niezawodnie było to złudzenie malarskiego oka. Przez długi czas potem, kiedy dowiedziała się o śmierci pani Ramsay, tak ją właśnie widywała: jak podnosi wieniec do czoła i idzie przez pole z cieniem – swoim milczącym towarzyszem. Ten obraz, ta kadencja, miały w sobie moc pocieszenia. Gdziekolwiek by nie malowała: tu na wsi czy w Londynie, wizja ta stale się jawiła, a ona z na pół przymkniętymi oczami szukała jakiegoś punktu, w którym by mogła ją osadzić. Zdarzało się, że rozglądała się po wagonie kolejowym lub po autobusie, że się doszukiwała zarysu ramion lub policzka, to znow wpatrywała się w okno po drugiej stronie ulicy lub obserwowała Picadilly, omotaną wieczorem liniami świateł. Wszystko to było częścią pół śmierci. Lecz zawsze coś: czyjaś twarz, głos lub krzyk gazeciarza, sprzedającego „Standard” czy „News”, przebijał się do jej świadomości, budził ją zmuszając w końcu do uwagi < – wizja musiała być stale tworzona na nowo. Teraz także, wiedziona instynktowną potrzebą przestrzeni i błękitu, spojrzała na leżącą u swych stóp zatokę, na której błękitne pasma fal z rozdzielającymi je purpurowymi płachtami wody wyglądały niby wzgórza poprzegradzane kamienistymi polami. Jak zwykle uwagę

jej zwróciło coś nie pasującego do tego widoku: pośrodku zatoki widać było jakąś brązową plamkę. Zorientowała się po chwili, że była to łódź. Lecz czyja? Pana Ramsaya – odpowiedziała sobie. Pan Ramsay przemaszerował koło niej z podniesioną ręką, obcy i daleki; idąc w swych pięknych butach, wiódł mały orszak; oczekiwał od niej współczucia, a ona mu odmówiła. Łódź była pośrodku zatoki.

Ranek był tak piękny, mimo zrywających się od czasu do czasu podmuchów wiatru, że morze i niebo wyglądały jak zrobione z jednej tkaniny: albo żagle wspięły się wysoko do nieba, albo też chmury osiadły na morzu. Daleki parowiec zawiesił w powietrzu wielki zwój dymu, wijący się i falujący w dekoracyjne wzory; powietrze było jak cieniutka gaza, która delikatnie podtrzymuje przedmioty w oczkach swej siatki łagodnie je tylko kołysząc w tę lub ową stronę. I jak to się zdarza czasami przy pięknej pogodzie – skały nadbrzeżne wyglądały tak, jak by wiedziały o statkach, a statki o skałach: wydawało się, że wymieniają między sobą tajne sygnały. A Latarnia, czasami zupełnie bliska brzegu, zdawała się być dziś, w tej mgielce, niesłychanie odległa.

Gdzie oni teraz są? – zastanawiała się szukając ich wzrokiem na morzu. – Gdzie jest ten stary człowiek, który przeszedł obok niej niosąc pod pachą paczkę w brązowym papierze? Łódź była pośrodku zatoki.

9

Niczym się tam nie przejmują, myślała Cam patrząc na brzeg, który to się wznosił, to opadał – coraz to dalszy i spokojniejszy. Ręka jej ciąła bruzdę w morzu; w myślach skręcała zielone wiry i pasma wody w różnorodne wzory; otepiała i zamknięta w sobie zapuściła się w wyobraźni w podwodny świat morza, gdzie rozety z pereł wpięte są w białe gałązki koralu i gdzie w zielonym świetle człowiek całkowicie się przeistacza, w na wpół przezroczyste ciało, okryte zielonym płaszczem i opalizuje.

Wirujące wokół jej ręki prądy ustały. Nie czuła już pędu wody, a świat wypełnił się odgłosem trzeszczenia i skrzypienia. Fale rozbijały się o bok łodzi z takim pluskiem, jak by stali na kotwicy w porcie. Wszystko bardzo się zbliżało. Żagiel, który James tak usilnie obserwował przez cały czas, że patrzył nań teraz, niby na znajomą osobę, obwisł zupełnie; łódź stała wśród palącego słońca w oczekiwaniu na bryzę – już oddzielona wieloma milami od brzegu, a jeszcze mająca wiele mil do Latarni. Wydawało się, że cały świat zmienił się w ciszę. Znieruchomiła Latarnia, ustaliła się linia dalekiego lądu. Słońce paliło coraz mocniej; ludziom w łodzi zdawało się, że siedzą coraz bliżej siebie; poczuli znowu swoją obecność, o której uprzednio prawie że zapomnieli. Żyłka wędku Macalistera zwisała prostopadle w morze. Tylko pan Ramsay, podkurczywszy pod siebie nogi, czytał dalej nie

zwracając na nic uwagi.

Pochłaniała go mała lśniąca książeczka w okładce cętkowanej niby jajko siewki. Od czasu do czasu słychać było w przytłaczającej ciszy szelest odwracanych kartek. James czuł, że każdemu odwróceniu kartki towarzyszy szczególny gest, wymierzony przeciwko niemu: to stwierdzał coś, to rozkazywał; czasami znów zmierzał do wywołania u ludzi współczucia dla siebie; przez cały czas, gdy ojciec czytał i odwracał kartki, James lękał się tej chwili, kiedy podniesie wzrok znad książki i zwróci się do niego ostro. Dlaczego tak tu marudzą? – zapyta, lub powie coś podobnego, równie bezsensownego. Jeśli to zrobi, myślał James, to wezmę nóż i uderzę go prosto w serce.

Uderzenie ojca nożem prosto w serce było z dawna istniejącym w jego życiu symbolem. Obecnie jednak, kiedy był już starszy, jego stosunek do ojca zmienił się na tyle, że gdy patrzył na niego w bezsilnej wściekłości, to chciał zabić nie tego starszego człowieka, pogrążonego w lekturze, lecz tę harpię, którą niepostrzeżenie zstępowała na ojca – tę dziką, czarnoskrzydłą harpię o twardych, zimnych szponach i dziobie uderzającym raz po raz (jeszcze z dzieciństwa pamiętał razy tego dzioba w swoje gołe nogi); po chwili harpia zniknęła i siedział znów – tak jak teraz – po prostu bardzo smutny, stary człowiek, czytający książkę. Nie tego człowieka, ale tego potwora w nim chciał trafić w samo serce i zabić. Cokolwiek będzie w życiu robić (mógł zająć się najróżniejszymi rzeczami, rozmyślał patrząc to na Latarnię, to na odległy brzeg): czy

będzie pracował w handlu, czy w banku, czy zostanie adwokatem, czy zajmie wreszcie jakieś kierownicze stanowisko – zawsze będzie obnażał i wykorzeniał tyranie i despotyzm; tak nazywał wszelkie próby niedopuszczania ludzi do głosu, zmuszania ich, by robili to, czego nie chcą. Czy mogło które z nich zaprotestować: Ależ ja na to nie mam ochoty! – gdy on powiedział: Chodź z nami do Latarni, zrób to, przynieś mi tamto? W takich momentach rozpościerały się czarne skrzydła i bił twardy dziób. A już w następnej chwili siedział spokojnie nad książką i mógł spojrzeć na człowieka – nigdy nie wiadomo kiedy i dlaczego – w sposób zupełnie rozsądny. Mógł zagadać do Macalisterów; mógł wcisnąć suwerena w zmarzniętą rękę starej żebraczki na ulicy; mógł nagle wykrzyknąć coś na temat przyjemności połowu i w podnieceniu machać rękami. Potrafił też siedzieć u szczytu stołu i milczeć jak zaklęty przez całą kolację. Tak, rozmyślał James (w zalanej słońcem łodzi, która kołysała się i pluskała), ostatnimi czasy, gdy ojciec powiedział coś, co zaskakiwało innych, to odczuwał coraz częściej, że na tej surowej, kamiennej pustce – ni, pokrytej śniegiem, były tylko dwie pary śladów: jego własne i ojcowskie. Tylko oni dwaj znali siebie nawzajem. Więc skąd ta tyrania i ta nienawiść? Zanurzył się w las wspomnień i stapał po liściach nawarstwionych przez przeszłość; wpatrywał się w głąb gęstwiny, w której światło i cień przeplatały się nawzajem zmieniając kształt wszystkiego – błędziło się w niej to ze światłem, to z głębokim cieniem w oczach;

szukał w niej obrazu, który by oczyścił namiętności i nadał konkretny kształt jego uczuciom. Przypuśćmy, że jako malutkie dziecko, siedzące bezradnie w wózku lub na czyichś kolanach, zobaczył, jak wóz, rzecz pozbawiona świadomości i wobec tego niewinna, miażdży czyjaś nogę. Przypuśćmy, że tę nogę widział uprzednio, gładką i całą na trawie, a potem zmiażdżoną przez koło, krwawiącą. Przecież koło było niewinne. No i właśnie, w taki sam sposób, kiedy ojciec szedł korytarzem i stukał wczesnym rankiem do drzwi, by ich poderwać na wyprawę do Latarni, koło to toczyło się przez jego nogę i przez nogę Cam – przez każdą napotkaną nogę. Można było tylko siedzieć i obserwować je.

Lecz czyjaż to nogę pamiętał z dzieciństwa i w jakim ogrodzie mogło się to przydarzyć? Przecież takie wspomnienia mają zawsze swoje tło: drzewa, kwiaty, światło i kilka postaci. Tak, to musiało być w jakimś ogrodzie, w którym nie było nic z tej ponurości, z tego podrzucania rąk do góry, a ludzie mówili normalnymi głosami. Cały dzień ktoś przychodził i odchodził. Była tam jakaś stara kobieta, plotkująca w kuchni; bryza wydymała rolety w oknach to w tę, to w tamtą stronę; pełno było wszędzie ruchu i życia; nocą nad talerzami i wazonami, nad wysoki mi, czerwonożółtymi kwiatami o intensywnej barwie rozciągał się cieniutki, żółty welon niby liść wina. Lecz była to taka delikatna zasłona, że światło unosiło ją, a głosy – marszczyły; widział przez nią jakąś pochylającą się postać, słyszał, jak podchodziła

bliżej, to znów się oddalała; dochodził także do niego szelest sukni i pobrzękiwanie łańcuszka.

W tym to właśnie świecie koło przejechało przez czyjąś nogę. Pamiętał, jak coś stanęło nad nim i zaciemniło świat; nie chciało się ruszyć; uniosło się w powietrze i – twarde i ostre – spadło z góry niby ostrze miecza; kwiaty i liście tego szczęśliwego świata spadły na ziemię – pocięte na kawałki.

James pamiętał, jak ojciec powiedział: „Będzie padał deszcz. Nie będziecie mogli wybrać się do Latarni”.

Latarnia była wtedy srebrzystą, we mgłę spowitą wieżą z żółtym okiem, które wieczorem rozwierało się łagodnie, acz nieoczekiwanie. A dziś...

Spojrzał na Latarnię. Widział bielejące skały i gołą, prostą wieżę w białe i czarne pasy; dostrzegł nawet w niej okna i schnącą na skałach odzież. Więc to była Latarnia?

Ale tamta z dzieciństwa także była Latarnią. Nic nie jest po prostu tylko jedną rzeczą. Tamta również była Latarnią. Ledwie się ją dostrzegało przez zatokę. Wieczorem otwierała i zamykała swoje oko, a jej światło docierało do nich, gdy siedzieli w słonecznym, pełnym powietrza ogrodzie.

Otrząsnął się z tych rozmyślań i przywołał do porządku. Ile razy mówił „oni” lub „ktoś” i słyszał, jak ten „ktoś” nadchodzi, stawał się nadzwyczaj wyczulony w stosunku do osoby, która w danym momencie była w pokoju. W tym wypadku był to jego ojciec, Poczul, jak wzrasta w nim napięcie. Bo jeśli nie powieje zaraz bryza, ojciec z

trzaskiem zamknie książkę i powie: „No, i co się tu dzieje? Dlaczego tak marudzimy, he?” – tak, jak to zrobił ongiś na tarasie, gdy spuścił między nich ostrze swego dzioba, matka zeszywniała, a James, gdyby była pod ręką siekiera czy nóż lub cokolwiek o ostrym końcu, byłby to porwał i ugodził ojca prosto w serce. Matka, sztywna cała, opuściła ramię, a chłopiec poczuł, że nie słucha już tego, co on mówi – wstała i odeszła, zostawiając go na podłodze z nożyczkami w ręku, bezsilnego i śmiesznego.

Wiatr zupełnie zamarł. Na dnie łodzi, gdzie trzepotało się kilka makreli, woda kląskała i bulgotała; było jej tak mało, że nie zakrywała ryb. W każdej chwili pan Ramsay mógł się podnieść (James nie miał odwagi na niego spojrzeć), zamknąć książkę i powiedzieć coś ostro; na razie jeszcze ciągle czytał, więc James ukradkiem, jak by się skradał bosy po schodach, starając się, by trzeszczenie desek nie zbudziło czuwającego psa, zastanawiał się, jaka była matka i dokąd poszła owego dnia? Szedł za nią po całym domu, aż w końcu znaleźli się w jakimś pokoju, wypełnionym niebieskim światłem, jak by odbitym od wielu porcelanowych naczyń; zaczęła tam z kimś rozmawiać, a on przysłuchiwał się. Mówiła do służącej po prostu to, co jej przyszło na myśl. „Dziś wieczorem będzie potrzebny duży półmisek. Gdzie jest ten niebieski półmisek?” Tylko ona mówiła prawdę i tylko jej jednej potrafił mówić wszystko. Pewnie to go tak do niej zawsze ciągnęło; można jej było powiedzieć wszystko, co tylko człowiekowi przychodziło na myśl. Cały czas, gdy ją

wspominał teraz, uświadamiał sobie, że ojciec obserwuje go i śledzi bieg jego myśli – od czego zaczęło mu się plątać i gmatwać w głowie.

Wreszcie przestał rozmyślać; siedział w słońcu z ręką na sterze, wpatrzony w Latarnię, niezdolny do ruchu, pozbawiony sił, by strzepnąć te ziarna goryczy, które w nim ciągle osiadały.

Zdawało mu się, że ojciec spętał go sznurem i że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko chwycić nóż i wbić go... W tej chwili żagiel z wolna się przesunął i wypełnił wiatrem; łódź, z początku jak by na wpół jeszcze śpiąca, wstrząsnęła się i po chwili zbudzona do życia pomknęła przez fale. Co za ulga. Znów wszyscy poczuli się swobodnie – jak by się na powrót oddalili od siebie; linki wędek zwisające z boku łodzi wyprężyły się i pobiegły w tył. Ale ojciec nie zmienił pozycji. Wzniósł tylko zagadkowo prawą rękę w górę i opuścił ją na kolano, jak by dyrygował niewidzialną orkiestrą.

10

(Nic nie plamiło gładkiej powierzchni morza. Tafla wody w zatoce wyglądała jak rozpięty płat jedwabiu. Odległość ma dziwną siłę – myślała Lily Briscoe, ciągle jeszcze patrząc przed siebie – połknęła ich zupełnie, zniknęli na zawsze, wtopili się w krajobraz. Tak było

cicho i spokojnie. Nawet parowiec zniknął; wisiał tylko jeszcze w powietrzu wielki zwój dymu, smutno opadający na znak pożegnania jak chorągiew).

11

A więc tak wygląda nasza wyspa, myślała Cam przebierając znów fale palcami. Nigdy nie oglądała jej od strony morza. A więc tak wygląda: zagłębienie pośrodku i dwie iglice skalne po bokach, a morze, które w okresie przyływu tak napiera, oblewa ją wokół jak daleko okiem sięgnąć! Tak, była zupełnie maleńka, kształtem przypominała stojący liść. „Wzięliśmy więc małą łódkę” – zaczęła sobie w myślach opowiadać wyimaginowaną historię o ucieczce z tonącego okrętu. Ale że uwagę jej pochłonęła woda, która przemykała się strumykami przez jej palce, znacząc swój ślad piórami wodorostów, nie miała wielkiej ochoty ciągnąć dalej swojego opowiadania; pragnęła jedynie atmosfery przygody i nieskrępowanej wolności; łódź płynęła naprzód, a ona myślała, jak nagle wszystko gdzieś się zapadło i przeminęło: i gniew ojca, gdy nie umiała wskazać stron świata, i uparte trwanie Jamesa przy ich pakcie, i jej własne strapienie. A co teraz nastąpi? Dokąd płynęli? Na myśl o wyswobodzeniu się, o przygodzie (że żyje i może tu być) z jej lodowato zimnej ręki, zanurzonej głęboko w wodzie, popłynął strumień

spontanicznej radości. Jego krople padały na ciemne, niewyraźne zarysy myśli w jej głowie; były to kształty świata jeszcze nie uświadomionego, obracające się w mroku i chwytające tu i ówdzie odbłysek światła – Grecja, Rzym, Konstantynopol. Czyżby i ta maleńka ich wysepka o kształcie stojącego liścia zalewanego złotem nakrapianą wodą – też miała miejsce w porządku wszechświata? Ci starsi panowie w gabinecie mogliby jej to powiedzieć. Czasami, niby przypadkowo, zachodziła z ogrodu do gabinetu, żeby posłuchać ich rozmowy. Siedzieli naprzeciwko siebie w niskich fotelach (mógł to być pan Carmichael lub pan Bankes, bardzo stary i bardzo sztywny) i szeleścili stronicami „Timesa”, a ona, pełna wątpliwości, pytała to o coś w związku z Chrystusem, to o mamuta znalezionego pod londyńską ulicą lub jaki był naprawdę ten wielki Napoleon? Brali wtedy jej pytania w swoje czyste ręce (nosili szare ubrania i pachnieli wrzosem) i ze strzępków jej myśli tworzyli całość, – odwracali gazety, zakładali nogę na nogę i rzucali jej od czasu do czasu krótką odpowiedź. A ona pogrążona w jakimś transie, brała książkę z półki i stała obserwując, jak ojciec pisze: równo i porządnie, od jednego brzegu stronicy do drugiego, z lekka tylko pokasłując i rzucając od czasu do czasu parę słów do drugiego starszego pana, siedzącego naprzeciwko. Tak stojąc z otwartą książką w rękę, dochodziła do wniosku, że może pozwolić każdej swej myśli, by się rozpostarła tu, jak liść na wodzie, i jeśli ci starsi panowie, palący fajki i szeleszczący „Timesem”,

potwierdzą ją, to znaczy, że jest słuszna. Obserwując ojca piszącego w gabinecie, myślała (siedząc w łodzi), że jest uroczy, że jest bardzo mądry, że nie jest wcale próżnym tyranem. Gdyby dostrzegł wtedy, że stoi z otwartą książką w ręku, na pewno by ją zapytał jak najdelikatniej: Czy może jej w czymś pomóc?

By się upewnić, spojrzała na ojca czytającego książeczkę w błyszczącej okładce, cętkowanej jak jajko siewki. Ale nie, na pewno miała rację. Chciała głośno powiedzieć Jamesowi: Popatrz teraz na niego. (James jednakże trzymał oczy utkwione w żaglu.) To złośliwy brutal – James by odpowiedział. – Rozmowę zawsze sprowadza do siebie i swoich książek. Jego egoizm jest nie do wytrzymania. A poza wszystkim, to – despota. Lecz ona, wpatrując się w ojca, zawołała w myśli do Jamesa: Spójrz – że! Spójrz na niego teraz. Siedząc z podkurczonymi nogami, czytał tę swoją małą książeczkę, której pożółkłe kartki dobrze znała z widzenia, nie wiedząc zresztą, co zawierają. Była mała, gęsto drukowana; pamiętała, że na karcie tytułowej ojciec zanotował, że wydał piętnaście franków na kolację: tyle kosztowało wino, a tyle dał kelnerowi napiwku; wszystko było starannie podsumowane na dole stroniczki. Lecz co tam było w tej książeczce z zagiętymi od trzymania w kieszeni brzegami – tego nie wiedziała. Żadne z nich nie wiedziało, o czym ojciec rozmyślał. Tak był pochłonięty swoimi myślami, że nawet teraz, kiedy na chwilę uniósł wzrok, to czynił to nie po to, by spojrzeć na coś, lecz by

móc się lepiej skoncentrować. Zawsze po chwili zanurzał się na powrót w czytaniu. Na Cam robił wrażenie człowieka, który kieruje jakimś przedsięwzięciem czy też toruje sobie drogę po wąskiej ścieżce – jedynej prowadzącej na szczyt; szedł szybko, prosto naprzód, przebijając się przez zarośla; mimo że czasami napotykał przeszkody w postaci gałęzi lub kolących cierni głogu, ani na chwilę nie ustawał w marszu, parł ciągle naprzód – kartka po kartce. Więc Cam opowiadała sobie dalej historię ucieczki z tonącego statku – czuła się bezpieczna, gdy ojciec zajęty był lekturą; tak bezpieczna, jak wtedy, gdy się wśliznęła z ogrodu do gabinetu i zdjęła książkę z półki, a stary pan Carmichael sponad nagle opuszczonej gazety rzucił parę lakonicznych słów o charakterze Napoleona.

Spojrzała teraz poza siebie na wyspę oblaną morzem. Liść stracił ostrość swego konturu. Był zupełnie mały i bardzo daleki. Morze stało się teraz ważniejsze od brzegu. Ze wszystkich stron otaczały ich fale: to wzbijały się w górę, to spadały w dół; na jednej przewalał się jakiś bal, na innej unosiła mewa. „Gdzieś tu – snuło się jej po głowie – zatonął statek”. Nurzając rękę w wodzie, mruzczała do siebie jak by w półśnie, że zginęli, każdy samotnie.

12

A więc tyle zależy, myślała Lily Briscoe, patrząc na morze bez jednej plamki, tak ciche i spokojne, że żagle i chmury zdawały się być wtopione w jego błękit – tyle zależy od odległości: od tego, czy ludzie są tuż koło nas, czy też daleko; w miarę jak łódź wypływała coraz to dalej i dalej w morze, jej uczucia dla pana Ramsaya także się zmieniały: zdawały się wydłużać i rozciągać; a on sam stawał się coraz bardziej i bardziej odległy. Zdawało się, jak by został pochłonięty wraz z dziećmi przez błękit i odległość; tymczasem tu, na trawniku, niespodziewanie chrząknął pan Carmichael. Roześmiała się, a on swą szponiastą dłoń podniósł książkę z trawy. Rozsiadł się znów na krześle i dyszał, i sapał jak potwór morski. Po chwili znów zapanowała cisza. Musieli już wstać z łóżek – rozmyślała patrząc na dom – ale jakoś nikt się nie pojawiał. Co prawda, zabierali się zwykle zaraz po posiłku do swoich spraw. Pustka wczesnej godziny harmonizowała z, ciszą tego nierzeczywistego poranka. Lily patrzyła na duże, pobłyskujące okna i pióropusz błękitnego dymu jak na zjawiska nierealne – czasami świat potrafi przybrać taki wygląd. Gdy się wraca z dalekiej podróży lub wstaje po chorobie, zanim jeszcze nasze przyzwyczajenia stępią ostrość wizji, odczuwa się taką właśnie zaskakującą nierealność przedmiotów, z której wyłania się coś niezwykłego. Życie nabiera wtedy

wyrazistości i człowiek się czuje swobodnie. Na szczęście, – idąc przez trawnik, nie trzeba mówić ze sztucznym ożywieniem do starej pani Beckwith, która wyszła, by sobie znaleźć jakiś kącik do siedzenia: „Dzień dobry, pani Beckwith! Jakież piękny dzień! Nie boi się pani siedzieć na słońcu? Jasper pochował gdzieś krzesła, ale zaraz pani coś znajdziemy”, i tak dalej, i tak dalej – takie zwykłe gawędzenie. Nie ma teraz potrzeby odzywać się do nikogo. Człowiek się prześlizgiwał między różnymi sprawami i tak lawirował (w zatoce panował już duży ruch: łodzie wyruszały w morze), by się znaleźć poza nimi. Życie nie było puste, lecz odwrotnie – pełne po brzegi. Zdawało się jej, że stoi zanurzona aż po usta w jakiejś toni, że się w niej porusza: to pływa po powierzchni, to zapada w dół – a toń jest niezmiernie głęboka. Zniknęło w niej tyle ludzkich istnień. Zapadli się w nią Ramsayowie, ich dzieci, praczka ze swoim koszem i tyle innych zabłąkanych i zagubionych rzeczy: knifofie, kruk, szara zieleń roślin i to uczucie, które wszystko spajało w całość.

Chyba właśnie to uczucie pełni kazało jej powiedzieć dziesięć lat temu, gdy stała nieomal w tym samym miejscu, co dziś, że jest zakochana w tym zakątku świata. Miłość ma tysiąc kształtów. Czasami bywają kochankowie, którzy potrafią tak wybrać różne elementy otaczającego ich świata i tak je połączyć ze sobą, że otrzymują nową więź, której przedtem nie było; z jakichś wydarzeń, ze spotkań (dawno minionych, nie

kojarzonych) tworzą jednolite całości, o których człowiek myśli z przyjemnością i otacza je gorącym uczuciem.

Wzrok jej spoczął na brązowej plamce Żaglówki pana Ramsaya. Przewidywała, że dotrą do Latarni w porze obiadu. – Wiatr powiał z nową siłą i łodzie zmieniły kierunek; a ponieważ niebo i morze także trochę się zmieniły, więc widok, przed chwilą tak cudownie skomponowany, nie dawał już jej uprzedniego zadowolenia: smuga dymu została rozgoniona przez wiatr, a położenie statków nie przyciągało oka.

Zniszczona doskonałość widoku na morze zakłóciła jej wewnętrzną harmonię. Poczowała jakiś niewytłumaczalny niepokój. Gdy się odwróciła od obrazu, zrozumiała źródło swego przygnębienia: marnowała ranek. Z niewiadomej przyczyny nie potrafiła utrzymać koniecznej, acz niezwykle delikatnej równowagi między dwoma przeciwstawnymi siłami: panem Ramsayem i swym płótnem. Może było coś nie w porządku z kompozycją? Może linia ściany wymagała załamania lub plama drzew była zbyt ciężka? Uśmiechnęła się ironicznie – czyż się jej nie zdawało, gdy zaczynała pracę, że rozwiązała już cały problem?

Na czym w końcu polegał ten problem? Musi schwycić to coś, co jej umyka. Umykało wtedy, gdy myślała o panu Ramsayu, umyka i teraz, gdy myśli o obrazie. Jawiły się określenia. Jawiły się obrazy. Piękne obrazy. Piękne określenia. Lecz jej trzeba było tego wstrząsu nerwów, tego impulsu, który powstaje, zanim jeszcze wizja

nabierze bardziej realnego kształtu.

Jak tylko poczuję go, zacznę wszystko na nowo – powtarzała rozpaczliwie, ustawiając się z determinacją przed sztalugami. Jakżeż kiepskim i nieudolnym narzędziem jest człowiek, gdy chodzi o malowanie i wyrażanie uczuć; zawsze zawodzi w zasadniczym momencie i trzeba mu bohaterstwa, by przeć naprzód. Patrzyła w skupieniu, ze zmarszczonym czołem. Oto tu jest żywopłot. Lecz największe nawet wysiłki, by uchwycić go, nic nie pomogą. Wpatrywanie się w linię ściany tylko oślepia oczy; tak samo jest z myśleniem o tym, że pani Ramsay miała na głowie szary kapelusz, że była zdumiewająco piękna. Niech się stanie, co ma się stać – postanowiła. Istnieją przecież takie chwile, kiedy nie można ani myśleć, ani odczuwać. A jeśli nie można ani myśleć, ani odczuwać, to co się staje z człowiekiem?

Jest się tu, na trawie, na ziemi, siedzi się na świetle – pomyślała siadając i rozgarniając pędzlem małą kępkę babki. (Trawnik był bardzo zapuszczony.) Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że tego ranka wszystko, co się działo, zaszło po raz pierwszy lub może po raz ostatni; czuła się, jak wyglądający z okna pociągu podróżny, który wie, choćby był jeszcze na wpół śpiący, że musi popatrzeć zaraz, bo inaczej nigdy już nie zobaczy tego miasta, tego wózka ciągniętego przez muła czy tej kobiety pracującej w polu. Światem był trawnik; razem ich tu los wyniósł, pomyślała, patrząc na pana Carmichaela, a on (choć przez cały czas nie odezwał się ani jednym słówkiem)

zdawał się podzielać jej myśli. Możliwe, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Posunął się mocno w latach. Stał się także sławny – uświadomiła to sobie z uśmiechem, patrząc na pantofel zwisający mu z nogi. Ludzie mówili o jego poezji, że jest „taka piękna”. Drukowali mu rzeczy, które napisał czterdzieści lat temu. Pan Carmichael! Stał się teraz sławnym człowiekiem – stwierdziła z uśmiechem; pomyśleć, ileż to postaci może przybierać jeden i ten sam człowiek: w gazetach był wybitnym poetą, a tu – tym, czym zawsze. Wyglądał też tak samo jak zawsze – może trochę posiwiał. Tak, nie zmienił się, choć przypomniawszy sobie, jak ktoś powiedział, że kiedy pan Carmichael usłyszał o śmierci Andrew Ramsaya (zabił go na miejscu szrapnel; miał być z niego, jak mówiono, matematyk), to „stracił zupełnie zainteresowanie dla życia”. Co to właściwie oznaczało? – zastanawiała się. – Że wędrował po Trafalgar Square z grubym kijem w rękę? Czy że siedział samotnie w swoim pokoju w dzielnicy St. John’s Wood i przewracał strony książki, wcale jej nie czytając? Nie wiedziała, co uczynił, gdy się o tym dowiedział, ale czuła, że śmierć Andrew musiała na nim zaciążyć. Gdy Lily spotykała pana Carmichaela na schodach, spoglądali w niebo i mówili, że będzie pogoda albo że jej nie będzie. Tak właśnie się znało niektórych ludzi: nie ze szczegółów, lecz z zarysu, z przesiadywania z nimi w czyimś ogrodzie i patrzenia na zbocza wzgórz, ściekające purpurą w odległe wrzosowisko. Właśnie taka była jej znajomość z panem Carmichaeliem. Czuła jednak,

że był teraz jakoś odmieniony. Nigdy nie przeczytała ani jednej linijki jego poezji. Mimo to wyobrażała sobie, że wie, jakie są jego wiersze – powolne w toku i dźwięczne, pełne i dojrzałe. Opowiadały o pustyni i wielbłądzie, o palmie i zachodzie słońca. Były zupełnie pozbawione pierwiastka osobistego – mówiły coś niecoś o śmierci, prawie że nic o miłości. W nim samym był jakiś dystans. Bardzo niewiele potrzebował od ludzi. Czyż nie przemykał się ciężkavo koło okna salonu z gazetą pod pachą, starając się uniknąć pani Ramsay, której z jakiegoś powodu nie bardzo lubił? A ona właśnie dlatego usiłowała go zwykle zatrzymać. Przystawał niechętnie i składał jej głęboki ukłon. Pani Ramsay, podrażniona tym, że niczego od niej nie chce, pytała go {jeszcze to Lily brzmiało w uszach), czy mu nie potrzeba płaszcza, pledu lub gazety? Nie, niczego nie potrzebował (znów się kłaniał). Było w niej coś, czego nie lubił. Może przeszkadzała mu jej władczość, pewność siebie, tą jakaś rzeczowość? Taka była bezpośrednia.

(Hałas skrzypiących zawiasów zwrócił jej uwagę na okno, salonu, z którym się droczyła lekka bryza.)

Byli na pewno ludzie, myślała Lily, którzy bardzo nie lubili pani Ramsay, którzy uważali, że jest zbyt zadufana w sobie, zbyt pewna swych sądów. (Tak, uświadomiła sobie, że nie umieściła nikogo na schodku do salonu, ale to jej nie przeszkadzało. Pani Ramsay nie była jej tam teraz potrzebna.) Także i uroda jej obrażała ludzi. „Jakie to monotonne – mówili – zawsze jesteś taka sama!”

Woleliby inny typ urody – ciemny i żywy. A poza tym nie potrafiła być stanowcza w stosunku do męża. Pozwalała mu urządzać takie sceny. A sama była powściągliwa. Nikt właściwie nie wiedział, w jaki sposób zmarła. I, wracając do pana Carmichaela i jego niechęci dla niej, zupełnie nie można było sobie wyobrazić, żeby pani Ramsay stała i malowała albo przez cały ranek leżała na trawniku i czytała. To było nie do pomyślenia. Bez słowa, z koszyczkiem na ramieniu, jedyną wskazówką co do jej zamiarów, szła, by odwiedzać biednych, wysiadywać w ich dusznych izdebkach sypialnych. Niejeden raz widywała ją Lily, jak z podniesioną głową wychodziła do miasta w czasie, gdy inni byli zajęci jakąś grą czy rozmową. Przyglądała jej się po powrocie z tych wypraw. Myślała sobie wtedy, na wpół ze śmiechem (pani Ramsay tak pedantycznie rozdawała filiżanki z herbatą) i na wpół ze wzruszeniem (jej piękność. zapierała dech w piersiach) – patrzyły na ciebie oczy pełne bólu. Umiałaś go odczuć.

A za chwilę pani Ramsay irytowała się, że się ktoś spóźnił albo że masło było nieświeże lub czajnik wyszczerbiony. Przez cały czas, kiedy się skarżyła na nieświeże masło, człowiek myślał o greckich świątyniach i o tym, że przebywa w obecności piękna. Ale o swych wyprawach do biedaków nigdy nie mówiła – po prostu szła do nich o umówionej porze. Tak jak jaskółki instynktownie lecą na południe, a słoneczniki obracają się do słońca, tak i ona, kierowana nieomylnym instynktem,

zwracała się do rodzaju ludzkiego, ścieląc sobie gniazdo w jego sercu. Ta skłonność, jak wszelkie instynkty, niepokoiła trochę ludzi nie posiadających jej – na przykład pana Carmichaela i samą zresztą Lily. Obydwoje byli raczej zdania, że czyn jest nieskuteczny, że największą wartość ma myśl. Jej wyprawy były wyrzutem dla nich – zmieniały im perspektywę świata; protestowali przeciwko temu widząc, jak zanikają ich własne predyspozycje. Charles Tansley podobny był pod tym względem do pani Ramsay – i po części dlatego nie lubiło się go. Burzył w człowieku zastany obraz świata. Mechanicznie grzebiąc pędzlem wśród liści babki zastanawiała się nad tym, jaki mógł być los Tansleya. Wiedziała, że otrzymał docenturę, ożenił się i mieszkał w Londynie w dzielnicy Golder's Green.

Pewnego razu podczas wojny słyszała, jak przemawiał. Coś potępiał, kogoś oskarżał. Perorował na temat braterskiej miłości. Nie dowierzała mu: jak mógł kochać ludzi, kiedy nie odróżniał jednego obrazu od drugiego, kiedy stojąc za jej plecami (palił machorkę „po pięć pensów za uncję, panno Briscoe”) uważał za stosowne powiedzieć jej, że kobiety nie potrafią ani pisać, ani malować, pewnie nie bardzo sam w to wierzył, ale może z jakiejś innej przyczyny chciał, by tak było? Chudy, czerwony i krzykliwy, głosił z podium miłość (między rozgarniętymi pędzlem liśćmi babki krążyły mrówki, czerwone, energiczne mrówki, bardzo przypominające Charlesa Tansleya). Siedząc w sali, do połowy tylko

zapełnionej, patrzyła z ironią, jak zalewał miłością chłodną pustkę; nagle ujrzała przed oczami tę starą beczułkę, czy co to tam było, podskakującą na fali, i panią Ramsay, jak szuka okularów na kamienistej plaży. „Ach, mój Boże! Jakież to nieznośne! Znów zginęły. Niech się pan nie trudzi, panie Tansley. Każdego lata gubię tysiące okularów”; przyciskał na to brodę do kołnierzyka, jak by się wzdrygał przed taką przesadą, a jednocześnie tolerował ją u niej, bo ją lubił – i uśmiechał się z wdziękiem. Musiał się jej zwierzać podczas jednej z tych dłuższych wycieczek, kiedy towarzystwo się rozdzielało i wracano do domu pojedynczo. Pani Ramsay opowiadała potem Lily, żełożył na wykształcenie swej małej siostrzyczki. Świadczyło to o nim bardzo dobrze. Pojęcie, jakie mam o Tansleyu, jest bez wątpienia groteskowe, myślała Lily rozgarniając pędzlem liście babki. Zresztą, większość naszych wyobrażeń o innych ludziach jest groteskowa. Służą nam jedynie do naszych własnych celów. Tansley był dla niej kozłem ofiarnym. Nieraz, będąc w złym humorze, wyobrażając sobie, że głaszcze jego chude ciało. Gdy chciała go poważnie traktować, to musiała się odwoływać do któregoś z określeń pani Ramsay i patrzeć nań jej oczami.

Usypała mały pagórek, by obserwować, jak się mrówki będą na niego wspinać. Ta interwencja w ich świat odebrała im zdolność decyzji. Jedne pędziły w tę stronę, inne w przeciwną.

Trzeba by mieć pięćdziesiąt par oczu: – rozmyślała – by

poznać tę kobietę ze wszystkich stron. A jedne z tych oczu powinny nie dostrzegać jej urody. Najbardziej jednak byłby potrzebny tajemny zmysł, który jak powietrze wkradałby się przez dziurki od kluczy i badał ją wtedy, gdy robi na drutach, rozmawia czy siedzi samotna i milcząca, przy oknie; ten zmysł objąłby jej myśli, życzenia, grę wyobraźni i utrzymywał je zawieszony w sobie, jak powietrze utrzymuje dym parowca. Czym był dla niej żywopłot, czym ogród, czym fale rozbijające się o brzeg? (Lily podniosła oczy tak, jak to nieraz czyniła pani Ramsay, i usłyszała również fale, bijące o plażę.) A gdy dzieci, grające w kriketa, wykrzykiwały: „Łapaj, trzymaj!” – jakie to struny drgały i dźwięczały w pani Ramsay? Przebywała na moment robotę na drutach i słuchała w napięciu. Po chwili znów wracała do swego zajęcia; a pan Ramsay, który spacerował tam i z powrotem, nagle zatrzymywał się przed nią; gdy tak stał wpatrzony, panią Ramsay wstrząsał dziwny dreszcz podniecenia. Lily wyraźnie widziała pana Ramsaya w tej właśnie postawie.

Wyciągał do żony rękę i pomagał podnieść się z krzesła. Wyglądało to tak, jak by gest ten był powtórzeniem czegoś z przeszłości: może pochylił się nad nią kiedyś w ten sam sposób i pomógł jej wysiąść z łódki, która nie mogła dopłynąć bliżej do brzegu wyspy, a panowie musieli ułatwiać paniom wydostanie się na ląd. Była to staroświecka scena, która aż prosiła się o krynoliny i spodnie ze strzemiączkami. Przyzwalając, by

jej pomógł, pani Ramsay myślała pewnie (tak sobie Lily wyobrażała), że nadeszła chwila, by dać odpowiedź: tak, wyjdzie za mąż. I powoli, spokojnie wyszła na brzeg. Prawdopodobnie powiedziała tylko jedno słowo, pozostawiając swą rękę w jego dłoni. „Wyjdę za ciebie” – pewnie powiedziała z ręką w jego ręce, tylko tyle. A potem jeszcze nieraz ten sam dreszcz ogarniał ich, rozmyślała Lily, otwierając dróżkę mrówkom – to było widać. Nic tu nie zmyślała, usiłowała tylko odtworzyć coś, co szereg lat temu otwarte było dla jej wzroku, ale czego nie umiała wtedy dostrzec. W wirze codziennego życia, przy tych wszystkich dzieciach i różnych gościach miało się jednak poczucie, że jakiś wzór stale się powtarza: rzeczy padają na to samo miejsce, na które już uprzednio padły inne, i wywołują echo, które dzwoni i wibruje w powietrzu.

Byłoby jednakże błędem, gdyby – widząc, jak odeszli wtedy, trzymając się pod ramię: ona w zielonym szalu, a on z krawatem fruującym na wietrze, i przeszli obok altany – chcieć upraszczać charakter ich wzajemnego stosunku. Przy jej porywach i żywości usposobienia, a jego trwogach i ponurych nastrojach ich pożycie nie mogło być błogim spokojem. O, nie. Zdarzało się, że rankiem trzaskały drzwi sypialni. Bywało, że się zrywał od stołu w gniewie. Potrafił także cisnąć talerz przez okno. A wtedy się wydawało, że w całym domu trzaskają drzwi i fruują zasłony niby w porywistym wietrze, ludzie się rozbiegali w pośpiechu, by zabezpieczyć okna

haczykami i przyprowadzić wszystko do porządku. Kiedyś w takim momencie spotkała na schodach Paula Rayleya. Zaśmiewali się bez końca, jak para dzieci, bo pan Ramsay, znalazłszy przy śniadaniu skorka w swym mleku, cisnął wszystko przez okno na taras. „Skorek – szeptała Prue przerażona – w mleku”. Innym się zdarzało, że znajdowali stonogi, ale on wznosił wokół siebie mur świętości, za którym tak królował w majestacie, że skorek w jego mleku stawał się czymś wprost potwornym.

Lecz to ciskanie talerzami i trzaskanie drzwiami męczyło panią Ramsay i trochę ją przygaszało. Czasami więc zapadały między nimi długie, sztywne milczenia; pani Ramsay wpadała wtedy w irytujący Lily nastrój, będący mieszaniną skargi i pretensji; nie mogła jakoś przetrzymać burzy spokojnie i śmiać się wraz z nimi wszystkimi – widocznie w jej znużeniu coś się ukrywało. Siedziała w milczeniu i dumiała. Po pewnym czasie mąż zaczynał krążyć ukradkiem koło miejsca, w którym się znajdowała – spacerował na przykład pod oknem, przy którym pisała listy lub rozmawiała; a ona starała się być zawsze zajęta, gdy przechodził – unikała go udając, że go wcale nie widzi. Stawał się wtedy gładki jak jedwab, miły i wytworny, by ją sobie w ten sposób zjednać. Opierała się jeszcze nadal tym zabiegom, a nawet przybierała na krótki okres przynależną jej wielkiej urodzie dumę i wyniosłą postawę, której normalnie była całkowicie pozbawiona; odwracała wtedy głowę, spoglądała przez ramię, mając zawsze przy boku Mintę, Paula lub Williama Bankesa. A

on, stojąc na uboczu, niby wcielenie zgłodniałego wilczura (Lily wstała z trawnika i patrzyła na schodki i na okno salonu, w którym go wtedy widziała), wymawiał wreszcie jej imię, raz jeden, głosem wilka szczekającego wśród śniegu; jednakże ona ciągle trwała w oporze; wymawiał więc jej imię ponownie i tym razem było coś takiego w tonie jego głosu, co czyniło na niej wrażenie; nieoczekiwanie porzuciła ich wszystkich i szła do niego, po czym odchodzili razem w stronę gruszy, krzaków malin i grządek kapusty, gdzie roztrząsali swoje wzajemne urazy i pretensje. Lecz jak się zachowywali i co mówili? Tyle było jednak godności w ich wzajemnym stosunku, że Lily, Paul i Minta odwracali się, ukrywali swoją ciekawość i zażenowanie i zajmowali się aż do wieczora zrywaniem kwiatów, rzucaniem piłki lub rozmową; przy kolacji znów, jak gdyby nigdy nic, wszystko było normalnie: on siedział przy jednym końcu stołu, a ona – przy drugim.

„Dlaczego któreś z was nie zajmie się botaniką?... Dlaczego, mając takie nogi i ramiona, nie weźmiecie się do...?” – Tak przemawiali ze śmiechem do dzieci. Wszystko było, jak normalnie, tylko powietrze między nimi drżało jeszcze, jak by od cięcia jakiegoś ostrza; ale i to minęło – widok dzieci, siedzących jak zwykle wokół stołu nad talerzami z zupą, odświeżył się jakoś w ich oczach po tej godzinie spędzonej wśród grusz i zagonów kapusty. Lily zauważyła, że pani Ramsay zwracała szczególną uwagę na Prue, która, jak zwykle, siedziała

wśród braci i sióstr, z takim napięciem czuwając, by wszystko szło gładko przy stole, że się sama wcale nie odzywała. Jakież Prue musiała sobie robić wyrzuty za tego skorka w mleku! Jak zbladła, gdy pan Ramsay cisnął talerzem przez okno! Jak ją przybijały te okresy długiego milczenia między rodzicami! Teraz jednakże matka starała się Prue pocieszyć: uspokoiła ją, że wszystko jest już dobrze, i zapewniła, że szczęście stanie się jej udziałem W przyszłości. Prue jednakże cieszyła się tym szczęściem krócej niż przez rok.

Pani Ramsay upuściła kwiaty z koszyka – przypomniała sobie Lily mrużąc oczy i odsuwając się, by popatrzeć na obraz (którego nie dotykała jednakże); wszystkie jej zmysły znajdowały się w transie; po wierzchu były niby to zmrożone, a wewnątrz niesłychanie rozkołysane.

Upuściła kwiaty z koszyka, rozsypała je, rozrzuciła po trawie z jakimś ociąganiem się i wahaniem, lecz nie żaląc się i nie skarżąc – czyż nie posiadała daru doskonałego posłuszeństwa? I sama poszła ich śladem. Poprzez pola i doliny, białe, usiane kwiatami – tak by to Lily namalowała. Wzgórza były surowe w swym kształcie. Skaliste i strome. A fale głucho biły w skały na dole. Ruszyli razem we trójkę. Pani Ramsay szła nieco szybciej przodem, jak by spodziewała się, że zaraz kogoś spotka.

Nagle to okno, na które patrzyła, zbladło od czegoś jasnego, co się za nim pojawiło. Widocznie ktoś w końcu przyszedł do salonu i usiadł na krześle. O Boże, wzdychała, niechże tam siedzi dalej i nie wychodzi, by się

tu kręcić i zagadywać do mnie. Na szczęście, ten ktoś siedział spokojnie; usadowił się tak, że rzucał dziwaczny, trójkątny cień na schodek. Zmieniało to trochę kompozycję obrazu, ale wyglądało interesująco i mogło się okazać korzystne dla kompozycji. Wrócił jej poprzedni nastrój. Trzeba stale patrzeć, nie pozwalając sobie ani przez chwilę na rozluźnienie napięcia emocjonalnego – z mocnym postanowieniem, by nie dać sobie przeszkodzić i nie nabrać się na jakieś głupstwa. Trzeba się skoncentrować na tym, co się widzi, i nie pozwolić, by coś nowego psuło kompozycję. Maczając z rozmysłem pędzel myślała, że trzeba się nauczyć odbierać zwykłe doznania: krzesło to krzesło, a stół to stół; a jednocześnie umieć czuć: to jest cud, to jest ekstaza. Więc może ten problem da się w końcu rozwiązać. Lecz cóż to się stało? Jakaś fala białości przesunęła się za szybą okienną. Widocznie przeciąg rozwał firanki. Wszystko w niej zadrżało i znów była wydana na tortury serca.

– Pani Ramsay! Fani Ramsay! – krzyknęła czując, że dawna groza wraca: pragnąć, tak pragnąć i nie być zaspokojonym. Czyż pani Ramsay mogła nadal mieć taką władzę nad nią? A potem niepostrzeżenie – jak by zjawą pani Ramsay się wstrzymała – całe przeżycie stało się częścią zwykłych doznań, na równi z oddaniem krzesła czy stołu. Pani Ramsay – było to zgodne z niezwykłą dobrocią, którą okazywała Lily – zasiadła tam po prostu na krześle; ruszając drutami przy robocie czerwonawobrazowej pończochy, rzucała cień na

schodek. To ona tam siedziała.

Lily czując, że weszła w posiadanie czegoś, czym się musi podzielić, a jednocześnie z trudem tylko zdolna do porzucenia sztalug (tak pełna była tego, co zobaczyła, tak o tym myślała), przeszła koło pana Carmichaela, trzymając pędzel w ręku, i dotarła aż do końca trawnika. Gdzie była teraz ich łódź? Co się działo z panem Ramsayem? Był jej potrzebny.

13

Pan Ramsay dobiegał już prawie końca lektury. Trzymał rękę wzniesioną nad książką, jak by w gotowości, by natychmiast przewrócić stronicę, gdy tylko będzie skończona. Siedział z gołą głową, zupełnie bezbronny wobec biegu wypadków, a wiatr rozwiewał mu włosy. Wyglądał bardzo staro. James, patrząc na jego głowę raz na tle Latarni, raz na tle fal, które nadbiegały z otwartego morza, myślał, że jest podobny do starego kamienia, leżącego na piasku wyglądał tak, jak by się już stał fizycznie tym, czym był w ich wyobraźni – ucieleśnieniem samotności, stanowiącej dla nich obydwójga prawdę o świecie.

Czytał pospiesznie, jak by pragnął jak najszybciej dojść do końca. Byli już rzeczywiście zupełnie blisko Latarni. Majaczyła tuż przed nimi, pobłyskując bielą i czernią, a

fale rozbijały się o nią na białe rozpryski, jak szkło rzucone o ścianę. Widać już było rysy i szczeliny w skale i okna na wieży; na jednym z nich można było dostrzec białą plamę, a na skale pod Latarnią – zieloną kępkę trawy. Jakiś mężczyzna wyszedł z wieży popatrzeć na nich przez lornetkę i znów się schował. A więc to jest ta Latarnia, myślał James, na którą się patrzyło przez zatokę tyle lat: ciężka wieża na gołej skale. Zadowolony był, że jest taka. Wygląd jej pomógł mu do skryzalizowania pojęcia, jakie miał o swym własnym charakterze. Zaczął myśleć o domowym ogrodzie i przypomniał sobie, jak starsze panie ciągnęły za sobą krzesła po trawniku – na przykład stara pani Beckwith; zawsze opowiadała o tym, jaka ta Latarnia jest piękna i przyjemna, i jacy powinni być dumni i szczęśliwi; naprawdę jednak, myślał James patrząc na Latarnię stojącą na skale, wygląda właśnie tak. Spojrzał na ojca, który siedział z podkurczonymi nogami i czytał z natężeniem. Obydwaj teraz posiadli wiedzę o Latarni. – Pędzimy, gnani przez burzę – musimy zatonać – zaczął mówić półgłosem do siebie, dokładnie w ten sam sposób, jak ojciec.

Zdawało się, że milczenie trwało już od wieków. Cam była zmęczona patrzeniem na morze. Woda unosiła obok nich kawałki czarnego korka; na dnie łodzi leżały martwe ryby. A ojciec ciągle czytał; razem z Jamesem patrzyli na niego i przysięgali sobie, że będą zwalczać tyranię aż do śmierci; a on, nieświadom ich myśli, ciągle czytał. W ten sposób ucieka od świata – myślała Cam. To wysokie

czoło nad wielkim nosem, ta pstrokata książeczka, którą dzierżył przed sobą w zaciśniętej dłoni – to była jego droga ucieczki. Gdy się próbowało ściągnąć go na ziemię, rozpościerał skrzydła jak ptak i ulatywał, by przysiąść gdzieś daleko na samotnej, niedosiężnej gałęzi. Wpatrywała się w olbrzymią przestrzeń morza. Wysepka stała się teraz taka malutka, że straciła nawet swoje podobieństwo do liścia. Wyglądała jak czubek skały, który w każdej chwili może zakryć jakaś wielka fala. A jednak ten drobny kształt mieścił w sobie tyle ścieżek, tarasów, tyle pokoi sypialnych – całą nieskończoność różnych rzeczy. Ale, jak to przed zaśnięciem bywa, że świat maleje i w końcu z miliona szczegółów pozostaje tylko jeden, tak i teraz wszystkie te ścieżki, tarasy i pokoje sypialne zaczęły się roztopiać i znikać; pozostała jedynie bladoniebieska kadzielnica, kołysząca się rytmicznie w jej mózgu. Zmieniła się w wiszący ogród, a potem w dolinę pełną ptaków, kwiatów i antylop... Cam zasypiała.

– No, chodźcie – powiedział pan Ramsay, gwałtownie zamykając książkę.

Ale dokąd? Na spotkanie jakiej to niezwykłej przygody? Zbudziła się z wstrząsem. Czy mają lądować, czy gdzieś się wspinać? Dokąd ich prowadził? Po długotrwałym milczeniu słowa ojca zaskoczyły ich. Cóż miały za sens? Powiedział, że jest głodny i że czas coś zjeść. A ponadto. – Popatrzcie – dodał – oto Latarnia. Jesteśmy niemal na miejscu.

– Bardzo się dobrze spisuje – odezwał się Macalister,

chwaląc Jamesa. – Trzyma łódź prosto na kursie.

Ojciec nigdy mnie nie chwali – pomyślał James z goryczą.

Pan Ramsay otworzył paczkę i rozdał im kanapki z serem. Czuł się szczęśliwy, że mógł jeść razem z rybakami. James, przyglądając się, jak ojciec kraje scyzorykiem ser na cienkie, żółte plasterki, pomyślał, że on by chętnie mieszkał w domku rybackim i łąził po przystani w towarzystwie starych rybaków, spluwając od czasu do czasu na ziemię – tak jak oni. Obłupując jajko na twardo, Cam miała wrażenie, że wszystko jest tak, jak być powinno. Czuła się teraz, jak wtedy w gabinecie, w którym starsi panowie czytali „Timesa”. Teraz mogę rozmyślać, o czym mi się żywnie podoba, x nie wpadnę w przepaść ani się nie utopię, bo on tu jest, czuwa nade mną . – myślała.

Jednocześnie płynęli szybko wzdłuż skał; bardzo to było podniecające, bo zdawało się, jak by robili dwie rzeczy na raz: jedli w słońcu i uciekali przed sztormem po rozbiciu statku. Czy wystarczy im słodkiej wody i zapasów? – zadawała sobie pytanie; ciągnęła dalej w myślach swoją opowieść, świadoma jednakże tego(co się wokół niej działo.

Pan Ramsay zwrócił się do starego Macali – stera mówiąc, że dla nich miną wkrótce wszystkie zmartwienia, ale ich dzieci będą świadkami dziwnych wydarzeń. Macalister odpowiedział na to, że w marcu poprzedniego roku skończył siedemdziesiąt pięć lat; pan Ramsay miał

siedemdziesiąt jeden. Macalister nigdy w życiu nie był u doktora i miał dotąd wszystkie zęby. „Chciałbym, by moje dzieci żyły właśnie w ten sposób” – Cam była pewna, że takie musiały być myśli ojca, bo nie pozwolił jej wyrzucić kanapki do morza mówiąc, że jeśli nie chce więcej jeść, to powinna włożyć ją z powrotem do paczki – pewnie myślał przy tym o rybakach i ich życiu. Nie powinna marnować jedzenia. Zabrzmiało w tym ton takiej mądrości, jak by wiedział o wszystkich sprawach zachodzących w świecie; Cam pospiesznie schowała kanapkę; wtedy ojciec dał jej z własnej paczki piernik z orzechami gestem hiszpańskiego granda, podającego kwiat damie w oknie (jego grzeczność była wprost wyszukana). Ubrany był przy tym bezpretensjonalnie, nawet niedbale i jadł zwykły chleb z serem; a przecież wiódł ich na wielką wyprawę, podczas której najpewniej zatoną.

– Właśnie tu ten statek poszedł na dno – nagle powiedział chłopak Macalistera.

– Trzech ludzi utonęło w miejscu, w którym jesteśmy teraz – dorzucił stary rybak. Na własne oczy widział, jak się czepiali masztu. James i Cam lękali się, by pan Ramsay, rzuciwszy okiem wokoło, nie wystrzelił słowami wiersza:

Lecz mnie burzliwsze zalewały fale;

nie byliby w stanie tego wytrzymać – zaczęliby głośno wrzeszczeć, wydawało się, że nie będą w stanie znieść

jeszcze jednego wybuchu wrących w nim namiętności; ale ku ich zdumieniu powiedział tylko: „Aha”, jak by uważał: Po cóż z tego robić od razu całą historię? Takie już jest życie, że marynarze topią się podczas sztormu – to rzecz zupełnie normalna; głębiny morskie (obsypał ich okruszkami z papieru, w który były zawinięte jego kanapki) nie są w końcu niczym innym, jak tylko wodą. Zapalił następną fajkę i wyjął zegarek. Popatrzył nań z uwagą – prawdopodobnie dokonywał jakichś matematycznych obliczeń. W końcu powiedział z triumfem:

– Brawo! – James przyprowadził łódź do wyspy, jak urodzony marynarz.

Więc jednakże – pomyślała Cam zwracając się w myśli do Jamesa – masz nareszcie to, co ci się należało! Wiedziała, że James właśnie pochwały pragnął, a teraz kiedy ją otrzymał, będzie tak zadowolony, że wcale nie spojrzy na nią ani na ojca, ani na kogokolwiek innego. Z lekka zachmurzony i nadąsany siedział sztywno z ręką na sterze. Był jednak tak zadowolony, że nie zamierzał nikomu pozwolić uszczknąć ani odrobiny ze swego szczęścia. Pochwalił go ojciec. Niech wszyscy sądzą jednak, że jest mu to całkowicie obojętne. No więc – Cam myślała – doczekałeś się wreszcie.

Zmienili hals i żeglowali szybko obok ściany skalnej, unoszeni długimi, sprężystymi falami, które gwałtownymi ruchami podawały ich jedna drugiej. Po lewej stronie widać było grupę skał brunatniejących pod wodą, która

była w tym miejscu przejrzysta i zielona; na jednej z wyższych skał bez przerwy rozbijały się fale: strzelały w górę słupem wody i spadały na dół ulewą kropelek. Słysząc było uderzenia rozbijającej się wody: szmer opadających kropelek i szum, i syk toczących się fal; wpadały na głązy jak dzikie zwierzęta, które w swej swobodzie bezustannie kłębią się i przewalają.

W tym momencie zobaczyli dwóch mężczyzn – na platformie Latarni, którzy ich obserwowali, przygotowując się do przyjęcia łodzi.

Pan Ramsay zapiął marynarkę i podwinął spodnie. Wziął dużą paczkę, kiepsko zapakowaną przez Nancy w brązowy papier, i położył ją sobie na kolanach. Siedział zupełnie gotów do lądowania, ze wzrokiem utkwionym w wyspie. Jego oczy dalekowidza ciągle jeszcze wyraźnie widziały ich wyspę o kształcie liścia pionowo stojącego na złotym talerzu. Co on tam dostrzegał? – zastanawiała się Cam. Dla niej wszystko było zamazaną plamą. O czym teraz myśli? Czego szuka z takim uporem i napięciem, w zupełnym milczeniu? Obydwoje z Jamesem obserwowali go, jak siedzi z gołą głową, trzymając paczkę na kolanach, i wpatruje się w jakiś delikatny, błękitny kształt podobny do mgiełki pozostawionej przez coś, co się już wypaliło. „Czegóż pragniesz?” – obydwójce mieli ochotę go zapytać. Obydwoje chcieli powiedzieć: „Zażądaj od nas czegokolwiek”, a damy ci to”. Ale on nie żądał od nich niczego. Siedział wpatrzony w wyspę i zapewne myślał: „Zginęliśmy każdy samotnie”, a może: „Dotarłem,

odszukałem”. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Włożył kapelusz.

– Weźcie te paczki – powiedział wskazując ruchem głowy na rzeczy przygotowane przez Nancy dla Latarni. – To są paczki dla mężczyzn – dodał. Idealnie wyprostowany, wysoki, podniósł się i stanął na dziobie łodzi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie ma Boga” – myślał James. „Jak gdyby chciał rzucić się przed siebie w przestworza” – myślała Cam; z paczką w ręku skoczył lekko jak młodzieniec na skałę, a Cam i James podnieśli się, by pójść w jego ślady.

– Musiał już dotrzeć – powiedziała Lily Briscoe głośno, czując nagle, że jest ogromnie zmęczona. Latarnia roztopiła się w błękitnej mgiełce i była już prawie niewidoczna; patrzenie na nią i myślenie o tym, jak pan Ramsay dobija, stawało się jednak wielkim wysiłkiem, całkowicie wyczerpującym jej ciało i umysł. Ach, ale jakież ulgi doznała wreszcie. Dała mu w końcu to wszystko, czym pragnęła go obdarzyć, gdy opuszczał ją tego ranka.

– Wylądował – powiedziała głośno.

A wtedy nadbiegł do niej, lekko dysząc, stary pan Carmichael; z zieleńcem we włosach i trójzębem w ręku (właściwie była to tylko francuska powieść) wyglądał jak stary, kudłaty, pogański bożek. Stał obok niej na brzegu trawnika, kołysząc się z lekka, i przysłoniwszy oczy ręką powiedział: – Już pewno wylądowali. – Potwierdził to, co Lily czuła. Wcale nie potrzebowali do siebie mówić.

Myśli ich biegły tym samym torem – odpowiedział jej na pytanie, którego nie zadała. Stał obejmując ramionami całą ludzką słabość i cierpienie; pomyślała, że z wyrozumiałością i współczuciem zastanawiał się nad ludzkim przeznaczeniem. Opuścił powoli ręce i ten zamykający wszystko gest był jak wieniec z fiołków i żonkili, który, rzucony z wielkiej wysokości, spadał wolno, by wreszcie lec na ziemi.

Szybko, jak by ją coś odwołało, odwróciła się do sztalug. Oto był przed nią jej obraz – ze wszystkimi barwami zieleni i błękitu, z liniami biegnącymi w górę i w poprzek, z całym wysiłkiem, by osiągnąć zamierzony cel. Powieszają go w mansardzie, myślała, a może nawet zniszczą. Lecz cóż to miało za znaczenie? – zadała sobie pytanie, biorąc znów pędzel do ręki. Spojrzała na schodki – były puste; spojrzała na płótno – było zamazane. Z nagłym napięciem, jak by przez chwilę dane jej było bezbłędne widzenie, przeciągnęła pędzlem przez środek płótna. Dokonała tego, co chciała. Obraz był skończony. Odkładając pędzel z ostatecznym wyczerpaniem, pomyślała: Przeżyłam swoją wizję.

POSŁOWIE

Virginia Woolf należy do grona entuzjastów i twórców formy powieści, zwanej powieścią psychologiczną.

Zapoczątkował ją już na początku naszego stulecia Henry James, a w latach dziesiątych troje pisarzy, niezależnie od siebie, stworzyło techniką jej właściwą: Marcel Proust we Francji, James Joyce i Dorothy Richardson w Anglii.

W miejsce świata widzianego obiektywnie postawili oni świat oglądany poprzez psychiką bohatera. Pociągnęło to za sobą szereg charakterystycznych innowacji w technice powieściowej, strukturze i stylu powieści, jak np. wprowadzenie czasu psychologicznego: powolne rozciąganie wybranego dnia, a nawet godziny przeżytej przez bohaterów na całe rozdziały, z równoczesnym pomijaniem całych lat w ich życiu; odwracanie porządku zdarzeń, skoki w czasie, itd. Przedstawienie wewnętrznych perypetii bohaterów przybierało różne formy: u Prousta był to artystyczny opis wspomnień i analiza uczuć i wrażeń. James Joyce i Dorothy Richardson zastosowali monolog wewnętrzny, czyli nieprzerwany ciąg myśli, oparty na zasadach swobodnego kojarzenia według teorii wiedeńskiej szkoły psychologicznej. Stąd nazwa metody „strumienia świadomości”.

Virginia Woolf, czerpiąc po trosze z tych wszystkich wzorów, stworzyła jednak odrębną, swoistą postać

powieści. Obdarzona z natury wrażliwością, intuicją i wyobraźnią bardzo kobiecą, postanowiła ukazać świat w odczuciu kobiety. Jej zdaniem kobiety, powieściopisarki popełniały zawsze błąd, usiłując patrzeć na życie oczami mężczyzny.

Do świadomej realizacji zamierzeń twórczych była doskonale przygotowana. Urodzona w r. 1882, spędziła całe , życie w środowisku wybitnych intelektualistów. Ojciec jej, sir Leslie Stephen, był filozofem, profesorem uniwersytetu Cambridge i w jego domu zbierali się wielcy myśliciele, pisarze i artyści owych czasów. W r. 1912 poślubiła Leonarda Woolfa, znanego historyka i ekonomistę. Wspólnym dziełem państwa Woolf było założenie wydawnictwa „Hogarth Press”. Dom ich stał się ośrodkiem życia intelektualnego Londynu, salonem literackim tzw. grupy „Bloomsbury”, do której zaliczali się uczeni i pisarze tej miary, co Bertrand Russell, E. M. Forster, Lytton Strachey, Victoria Sackville-West.

Wykształcenie humanistyczne Virginii Woolf, zdobyte w domu, było gruntowne i rozległe. Czytanie klasyków w oryginale (tradycyjna droga angielskich sfer uniwersyteckich), doskonała znajomość literatury europejskiej, ciągły kontakt z twórcami nowoczesnej myśli filozoficznej stworzyły specyficzne warunki dla rozwoju jej talentu. Już pierwsza jej powieść, „The Voyage Out” (1915), ukazuje dojrzałość myśli, wrażliwość artystyczną i subtelność wyobraźni, stawiając Ją od razu w rzędzie pisarzy najwyższej klasy: myślicieli,

poszukiwaczy prawdy i własnych rozwiązań artystycznych. Utrzymana jeszcze w tradycyjnej formie opowieść o młodej dziewczynie, która umiera w chwili, gdy jej świadomość zaledwie zbudziła się do życia, zdradza poetycką i malarską celność stylu autorki i zawiera już wyraźny element mistycyzmu i niepokoju filozoficznego.

W następnej powieści, „Night and Day” (1919), wzmagają się moment introspekcji, rośnie urzeczenie autorki tajemnicą ludzkiego serca i losów. Lecz dopiero „Jacob’s Room” (1922) zaczyna serię eksperymentów nad techniką powieści. Pod wpływem „Ulyssesa” Joyce’a Virginia Woolf przyłącza się do twórców szkoły „strumienia świadomości”. W miejsce faktów zjawiają się migawkowe, słabo ze sobą powiązane obrazy wrażeń, doznań i strzępków myśli, przepływających przez świadomość dziecka, a później młodzieńca, który zginie przedwczesną śmiercią na wojnie.

W „Pani Dalloway” (1925) migawki „strumienia świadomości”, choć pozornie bezładne, tworzą zwartą całość. W jednym dniu, opisanym w powieści – w dniu urodzin bohaterki, pięćdziesięcioletniej Klarysy Dalloway; – widzimy całe jej życie w perspektywie spełnionych i chybionych możliwości, cenę, jaką zapłaciła za spokojny i dostatni byt.

W powieści „Do Latarni morskiej” (1927) artystyczna wizja autorki, jej idee, koncepcje, jej odczucie świata i ludzi znalazły najpełniejszy może wyraz, najpiękniej

zharmonizowały się z formę dojrzałą, świadomą, odpowiadającą w pełni możliwościom jej talentu. W koncepcji postaci pani Ramsay koncentrują się niemal wszystkie zagadnienia, niepokojące Virginie Woolf. Tajemnica sensu życia, związek życia i sztuki, mężczyzny i kobiety, samotność człowieka, dramat świadomości, antyteza przemijania i ciągłości życia.

Nie bez powodu podjęła autorka technikę impresjonistyczną w swych powieściach. Działo tu równocześnie jej gorące zainteresowanie malarstwem (a wtedy właśnie Anglia zachwyciła się impresjonizmem), wpływ Prousta, który sławił technikę impresjonistyczną w malarstwie i stosował ją w powieści, a także – jej własna filozofia.

Virginia Woolf, córka filozofa-agnostyka, wyrosła w kulcie wyrafinowanej wrażliwości, wysubtelnienia nerwów, w klasie społecznej najmniej narażonej na wstrząsy, w społeczeństwie, którego stabilizacja zdawała się całkowicie utrwalona. Walka o byt, trudy codziennego życia były jej obce. Narastanie problemów społecznych, wojna, atmosfera niepewności, obnażenia tragizmu życia stanowiły dla niej wstrząs, gdyż i jako człowiek, i jako artysta głęboko przeżywała ludzką niedolę. Poznała uczucie bezsensu życia, a zarazem czuła gorączkową potrzebę, odnalezienia jego sensu. Konflikt ten rozstrzygnęła w sposób *par excellence* poetycki: Rozumującej świadomości sens życia zawsze się wymyka i tylko świeżość widzenia świata, taka, jaką Proust

odnalazł w obrazach Elstira w tomie „W cieniu zakwitających dziewcząt” – bezpośrednie wrażenie zmysłów daje prawdziwe odczucie życia, jego zmysłowy „smak”, który jest zarazem momentem odkrycia świata, uchwyceniem sensu życia. Wizje takie, nieskażone myślą i pamięcią, miewają przede wszystkim artyści i dzieci: mały James Ramsay, Nancy, Lily Briscoe.

Dlatego dzieło literackie w rozumieniu Virginii Woolf powinno trafiać do czytelnika nie drogą opisu i analizy, nie poprzez intelekt. Obowiązkiem pisarza jest tak przekazać treść, żeby czytający miał wrażenie, iż bezpośrednio zetknął się z życiem we wszystkich jego przejawach, żeby widział barwy, światła i cienie, słyszał każdy szmer, doznawał smutku lub radości i wszelkich nastrojów i uczuć od najprostszych do najbardziej skomplikowanych i niewyraźalnych.

Zgodnie z tradycją takie przekazywanie nastrojów i wrażeń w, syntetycznych skrótach było domeną poezji, Virginia Woolf pragnie dokonać tego w powieści. I udaje się jej to dzięki temu, że jej proza jest właściwie poezją – i tak ją należy czytać i rozumieć. Wszystko tam jest obrazem poetyckim, metaforą, symbolem. Wszystko apeluje do wzmożonej wrażliwości czytelnika.

Pani Ramsay to urzekający obraz życia, kobiecości, macierzyństwa. Instynktowna mądrość natury czyni z niej niezawodną, opokę, na której wspierają się wszyscy: mąż, dzieci, przyjaciele i obcy. Każdy, kto się z nią zetknie, wchodzi w krąg miłości, spokoju i afirmacji życia – czy

dzieje się to wtedy, gdy rozdziela soczyste plastry *Boeul en Daube* (czujemy jego smak), czy kiedy zarzuconym na czaszkę dzika szalem koi obawy usypiających dzieci, czy wtedy, gdy po prostu siedzi i robi pończochę. na drutach. Jej siłą jest. naturalny, niewymuszony brak egoizmu. Poświęcanie się dla innych jest u niej potrzebą. Lecz mimo tych wszystkich, związków miłości pozostaje wewnętrznie niezależna, a siły do ciągłego ofiarowywania siebie czerpie z niezbędnych chwil samotności i kontemplacji.

W utworach Virginii Woolf samotność jest dla człowieka tragiczną koniecznością, a zarazem potrzebą. Wszyscy jej bohaterowie, którzy się w jakiś sposób liczą, to samotne dusze, kultywujące wewnętrzną niezależność. Niezawodnie, angielska powściągliwość ma tutaj swoją wymowę. Lily Briscoe, która aż się jeży na myśl, że pan Ramsay domaga się od niej współczucia, odzyskuje do niego sympatię, gdy już jej nie zagraża rozmowa na tematy osobiste.

Dyskretna powściągliwość obowiązuje wszędzie, nawet w idealnym związku kobiety i mężczyzny, jakim jest małżeństwo Ramsayów. W związku takim kobieta stanowi konieczne dopełnienie mężczyzny. Jego intelekt uzupełnia intuicją i wyobraźnią, jego samotność. ogarnia uczuciem; i dopiero to połączenie pierwiastka męskiego i kobiecego stwarza pełnię człowieczeństwa. Podobną rolę w stosunku do sztuki spełnia życie. Wizja artystyczna malarki, Lily Briscoe, realizuje się dzięki pani Ramsay –

nawet wówczas, gdy jej dawno nie ma wśród żyjących. Lecz właśnie pani Ramsay umiała utrwalić przemijającą chwilę, nakazać życiu „zatrzymaj się”, pani Ramsay, uosobienie pełni i istoty życia, od którego sztuka oderwać się nie jest w stanie.

Koncepcję uzupełniających się pierwiastków męskiego i kobiecego podejmuje Virginia Woolf w powieści fantastycznej, „Orlando” (1928), gdzie bohaterka jest na przemian mężczyzną i kobietą, a dzieje jej życia obejmują całe stulecia.

Jedną z największych swych powieści, „The Waves” (1931), Virginia Woolf upodobniła jeszcze bardziej do poezji, przeplatając monologi wewnętrzne bohaterów fragmentami prozy poetyckiej – opisami krajobrazu – symbolizującymi dzieje człowieka od urodzenia do śmierci. Losy sześciorga przyjaciół i ich charaktery poznajemy wyłącznie z myśli, jakie snują o sobie i o innych; główną koncepcją autorki jest przeświadczenie, że życie człowieka wydaje się nieuchronnie zdeterminowane przez osobowość.

„The Years” (1937), opowieść o losach pewnej rodziny na przestrzeni kilku dziesiątków lat, nawraca do tradycyjnej formy powieściowej i jest interesująca głównie ze względu na stronę obyczajową.

W ostatniej powieści Virginii Woolf, „Between the Acts” (1941), widać już znaczne osłabienie sił twórczych i załamanie psychiczne, które doprowadziło ją do samobójczej śmierci w r. 1941.

Powieści Virginii Woolf, stanowiące kiedyś wydarzenie literackiego świata, mają wszelkie szanse przetrwania.

Poezja, która związała się organicznie z formą powieściową, rozmyślna (zamierzona) deformacja rzeczywistości, widzianej wyłącznie poprzez psychikę bohaterów i przez nią zdeterminowanej, stanowią zdobycze, z których powieść może długo jeszcze czerpać.

Jej wyczucie człowieka w najgłębiej ukrytych wzruszeniach i konfliktach jest subtelne i czasem przerażająco trafne. Piękno i poezja jej stylu „malującego wzruszenia akwarelą”, jak mówi Leon Edel, przekazuje w sposób doskonały jej wizję życia, którą rzuciła jako wyzwanie tradycyjnej szkole powieści w jednym ze swych licznych esejów, zatytułowanym „Mr Bennet and Mrs Brown”;

„Życie nie jest ciągiem symetrycznie rozstawionych reflektorów, życie to świetlista aureola, spowijająca nas przejrzystym woalem od zarania do kresu naszej świadomości. Czyi: nie jest zadaniem powieściopisarza przekazanie tej zmiennej, niepoznanej, nieuchwytniej duszy życia, jakkolwiek splątane są ścieżki, którymi się błąka?”

Bronisława Bałutowa